KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/79 1954



• «La Culture» • Revue mensuelle •

LIST EPISKOPATU – 8. V. 1953.

F. FEJTÖ: **HOROSKOPY WSCHODNIO-EUROPEJSKIE**

E. RACZYŃSKI: **EUROPEIZM CZY REGIONALIZM**

SPIS RZECZY:

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj-Mai 1954

INSTYTUT  LITERACKI

Noty biograficzne autorów

François FEJTÖ, pisarz i historyk, socjalista węgierski, ur. w 1909. W roku 1935 założył w Budapeszcie wraz z poetą Atillą Jozsef i esseistą Paulem Ignotus'em anty-totalitarny miesięcznik *Szep Szo* (Argument).

W roku 1938 skazany na więzienie za artykuły protestujące przeciw polityce przymierza z Niemcami, uciekł do Francji, gdzie osiadł na stałe utrzymując jednak kontakt ze swoim krajem. Po zakończeniu wojny Fejtö przyjął kierownictwo Biura Prasowego Poselstwa Węgierskiego w Paryżu, lecz w roku 1949, jednocześnie ze swoim przełożonym, posłem hr. Michel Karolyi, zerwał z reżimem „demokracji ludowej" i wyjaśnił swoje stanowisko w artykule o procesie Rajka opublikowanym w francuskim miesięczniku „Esprit".

François Fejtö pracuje obecnie w Agence France-Presse jako główny komentator wydarzeń, zachodzących w Europie Wschodniej oraz współpracuje z szeregiem pism jak „Homme et Monde", „Esprit", „Revue Socialiste", World Today" i in., oraz z licznymi pismami we Francji i zagranicą.

François Fejtö wydał we Francji szereg książek, m. in. *Vie de Heine* (1946), *Le Printemps des Peuples* (1948), *Histoire des Démocraties Populaires* (1952) i *Un Habsbourg révolutionnaire : Joseph II* (1953) — dwie ostatnie były omawiane w „Kulturze" w ubiegłym roku.



Edward RACZYŃSKI, ur. 19. 12. 1891 w Zakopanem. Studia prawnicze i polityczne w Krakowie, Lipsku, Londynie (School of Economics and Political Science). Doktorat prawa w Krakowie 1915. Wstępuje do Służby Zagranicznej w 1919; kolejno w Kopenhadze, Londynie, i w Centrali w Warszawie; delegat na konferencję rozbrojeniową w Genewie, 1932-1934; minister pełnomocny akredytowany przy Lidze Narodów 1932-1934; ambasador R.P. w Londynie 1934-1945; kierownik Ministerstwa Spraw Zagran. 1941-1943 od 1942 jako minister stanu w gabinecie gen. Sikorskiego. Po cofnięciu uznania rządowi polskiemu w Londynie przez rząd brytyjski — naczelny polski przedstawiciel przy brytyjskim tymczasowym komitecie Treasury dla spraw polskich 1945-1947; naczelny polski doradca przy bryt. min. pracy i opieki społ. 1947 — od roku 1952 honorowy. Ogłasza artykuły na tematy polityczne w pismach polskich i obcych, zwłaszcza brytyjskich; nakładem instytutu historycznego im. gen. Sikorskiego opracowanie o sojuszu polsko-brytyjskim; ustępy w sprawach polskich w *Dictionnaire Diplomatique* wyd. Academie Dipl. Internationale, etc.

IMPRIME EN FRANCE

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, PARIS (XVIIIe)

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

RUBIS D'ORIENT

1.

Nazwę tę noszą w handlu rubiny pochodzenia azjatyckiego, ciemno-czerwone, nieco mętne, podobne do kropel krwi i ropy zastygłych na brzegach ran. Aluzja do zranionego ciała jest w nich podniesiona do godności jednego z najdroższych kamieni, szlifowanych najstaranniej i oprawnych najczęściej w złoto. Na rubin taki można patrzyć godzinami. Skupiona w nim wartość rynkowa i symboliczna jest wynikiem długiej historii ludów, religii i obyczajów. Wiele rubinów pojawiających się na rynku ma nadto własną historię. W różnych oprawach przechodziły z pokolenia w pokolenie, z rąk do rąk, zanim przyniosły nieszczęście ostatniemu posiadaczowi, zmuszając go do sprzedaży biżuterii.

W starych powieściach drogie kamienie grają rolę talizmanów. Z najgorszych przygód wychodzono cało wyjmując z kieszeni jeden z tych bezcennych kamieni, które można było wszędzie zamienić na konia, bezpieczne ukrycie, gościnę, wikt i opierunek. W okresach niepewności życia i posiadania kamienie były najbardziej poszukiwaną formą inwestycji kapitału. Łatwe do ukrycia, ważyły niewiele. W tej postaci można było wynieść wielki majątek uciekając wpław przez rzekę.

Zależność cen kamieni i złota od niepewności posiadania widoczna jest i w naszych czasach. Podczas wojen, rewolucji i masakrów złota moneta jest często warta życia, i żadna cena nie odstręcza jej nabywców. Najwyższy kurs złotego dolara notowano w Szanghaju przed zajęciem go przez wojska komunistyczne.

Podobnym potrzebom odpowiadały modlitewniki zdobione ręcznymi rysunkami Dürera lub Holbeina, miniatury i miniaturowe rzeźby koreańskie pozwalające mieć całe muzeum w jednej kieszeni. Pewne właściwości tego rodzaju dzieł sztuki zachowały w naszych czasach *livres d'art*.

Jeżeli drogie kamienie utraciły z czasem większą część swego prestiżu, stało się to nie dzięki zwiększonemu bezpieczeń-

stwu życia i posiadania, lecz dzięki konkurencji innych talizmanów jak *lettres de change*, akredytywy, depozyty bankowe upłynniające się za wymówieniem tajnego hasła itd. O ile się nie mylę, Casanova był pierwszym z wielkich awanturników posługujących się systematycznie przekazem bankowym. Ostatnim ciosem zadanym drogim kamieniom były wielkie wahania cen rynkowych, które po pierwszej wojnie światowej pozbawiły brylanty 80% uprzedniej wartości. Sprzedaż wartościowego kamienia stała się operacją delikatną, wymagającą czasu i znajomości rzeczy. Podczas ostatniej wojny wielu posiadaczy takich preciosów przypłaciło życiem próby ich spieniężenia.

Wiele pięknych i osobliwych kamieni, wyróżniających się spośród tysięcy innych, można dziś nabyć po przystępnych cenach. Do skondensowanej w nich historii ludów, religii i obyczajów przybył rozdział nowy obwieszczający niepewność talizmanów.

2.

Stałość i ciągłość warunków, niezbędna do tego, aby *lettres de change* mogły zastąpić rubiny i szmaragdy, jest bardzo nierówno rozłożona. Kraje górzyste, gdzie każdego przejścia broniły warowne zamki, sprzyjały ciągłości i pewności posiadania. Kraje płaskie, otwarte ze wszystkich stron nie miały po temu warunków. Obyczaje, jakie się w nich ustaliły, były na miarę panującej w nich niepewności.

W młodości zwiedzałem Besarabię, zaczynając od Chocimia, z którym łączyły mnie pewne wspomnienia rodzinne. Jeden z moich przodków był mianowicie komendantem garnizonu granicznego w leżącym na drugim brzegu Dniestru Żwańcu i z komendantem tureckiego Chocimia wymieniał uprzejme listy i drobne upominki, z których kilka zachowało się u mego dziada. Brzegi Dniestru w tej mało uczęszczanej okolicy przewoźnicy nazywali wciąż jeszcze „Laczczyna" i „Tureczczyna", mimo że od przeszło stu lat granice Polski i Turcji cofnęły się daleko od tych brzegów. Stojący na wzgórzu w bezludnym jarze zamek chocimski był wówczas ruiną dobrze zachowaną i imponującą swym rozmiarem. Kilkumetrowej grubości mury, wysokie jak zamek św. Anioła w Rzymie, otaczały kołem pełne schodów i rusztowań podwórze i wznoszący się w nim barokowy pałac zbudowany przez sprzymierzonych z Wysoką Portą Genueńczyków. Nieco dalej stał opuszczony minaret. Chocim był jednym z punktów, w którym stykały się trzy wielkie cywilizacje powstałe na ruinach świata antycznego.

Leżące o parę kilometrów dalej miasteczko miało pozory trwającej przez wieki tymczasowości, właściwe miasteczkom tej części Europy. Jednopiętrowe, ubogie domy drewniane stały wzdłuż paru sumarycznie zabrukowanych ulic. Na rynku odbywał się tego dnia jarmark, na którym uderzyła mnie budowa

straganów, pozwalająca jednym rzutem oka ogarnąć wszystkie znajdujące się w nich towary, i pewien szczególny wygląd kupców. Jak się dowiedziałem, byli oni w większości synami, wnukami i prawnukami kupców zamieszkałych od dawna w Chocimiu i pamiętających liczne okupacje i zmiany reżimów. Business ich miał więc cechy ciągłości i trwałości opornej na zmiany losu. Mimo to wyglądali tak, jak gdyby na umówiony gwizdek gotowi byli w każdej chwili zniknąć razem z towarami w zaroślach.

Dalej na południe, w swej części mołdawskiej, kraj stawał się coraz bardziej płaski i bezleśny. Domy opalano w zimie słomą złożoną na strychu i ściąganą do środkowej ubikacji, na którą wychodziły paleniska wszystkich pieców. Zajęty tym przez większą część dnia kalefaktor wpychał osobliwymi widłami słomę do żarzących się pieców.

Dokoła zabudowań mieszkalnych zwracała uwagę rzadkość drzew. Kalkulacje mieszkańców były widocznie tak krótkoterminowe, że żaden z nich nie liczył się z możliwością korzystania z dobroczynnego cienia posadzonych przez siebie drzew. Najczęściej sadzono szybko rosnące lecz mało użyteczne akacje, których liście w tamtejszym klimacie zamykają się w najupalniejsze dni. W miasteczkach sklepy i stragany miały wszędzie charakter równie lekki i tymczasowy jak w Chocimiu.

Krótkość przewidywań ludności stanowiła kontrast z długością historii i dawnością tradycji kraju, w którym dni tygodnia nosiły nazwy planet, nie zaś, jak w krajach sąsiednich, liczby porządkowe kalendarza kościelnego. Na wybrzeżu czarnomorskim wznosiły się niegdyś mury miast greckich. Przez środek kraju biegły widoczne dotąd wały Trajana. Miejscowi kupcy sprzedawali niegdyś zboże i skóry Grekom, koszule żołnierzom rzymskim i tytoń tureckim. Od czasów późnego imperium rzymskiego do okupacji rosyjskich nikt jednak nie płacił żołdu stojącym tu wojskom, które co pewien czas brały się do ogólnego rabunku. Taka była tradycja odnawiającego się tam przez tysiące lat handlu i życia. Złote monety i błyszczące kamienie zaszyte w fałdach kaftanów lub zakopane w ziemi były niezbędnym warunkiem odradzania się splądrowanych miasteczek jak Feniks z popiołów.

Zdolność stałego podnoszenia się z klęsk wymaga nie tylko przechowywania kosztownych błyskotek, lecz także posiadania innych talizmanów, przede wszystkim gotowych formuł bezbłędnego zachowania się w obliczu nagich szabel, gotowych do strzału rusznic i władców dyktujących z konia nowe prawa, a wreszcie szkolonej zdolności otrząsania się w jednej chwili z wszystkich sentymentów, z wszystkiego co mówią stare pieśni i ciemne oczy kobiet, i oceniania szybkim spojrzeniem znikomych szans słabszego w grze czystej przemocy. Rolnicy przeciwstawiali tej ostatniej antyczny brak potrzeb i umiejętność uprawiania roli i tkania płócien przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi.

Fragmenty tego doświadczenia widoczne są w folklorze, w pieśniach stroficznych opiewających z epickim spokojem niesprawiedliwy los i w opowiadaniach ludowych — na jarmarkach widziałem jeszcze lirników i opowiadaczy historii — mówiących z cierpkim humorem o sprzedajności sędziów, o kaprysach i zaślepieniu władców.

Z pamięci ludowej wyłaniają się czasami fragmenty imponujących tradycji. Na drugim końcu Rumunii, w górach na wołoskiej granicy stary przemytnik, opowiadając mi o różnych przypadkach swego długiego życia, rzekł sentencjonalnie: ,,Zły to interes chcieć żyć za wszelką cenę; trzeba zawsze pytać ile kosztuje''. Przyjrzawszy się uważnie tym słowom można rozpoznać w nich ludowe streszczenie nauki L. A. Seneki, który w czasach bezwzględnego despotyzmu na tej właśnie kruchej podstawie usiłował oprzeć godność człowieka. Za życie płacić trzeba nieraz bardzo drogo, ale należy zachować pozory, że w każdym wypadku istnieje granica, poza którą wybiera się śmierć.

Rumunia posiadała wszystkie dane, aby być jednym z najbogatszych krajów Europy, i Bukareszt miał nawet pewne zadatki nowego Chicago. Brakło jej tylko bezpieczeństwa i ciągłości. Jak w wielu innych krajach tej części świata, praca nie prowadziła tam do powodzenia, i lud w swej bezprzykładnej cierpliwości musiał kontentować się okruchami mądrości wieków. ,,Straszliwą cenę płacę za bezużyteczną mądrość'', mógłby powiedzieć z emigracyjnym poetą.

3.

Drogie kamienie dostarczały poetom niezliczonych metafor, ale ich związek ze słowem nie kończy się na tym. Słowo bezcenne, mieniące się barwami tęczy było odwiecznym ideałem piszących. Wyrażenie ,,szlifować wiersze'' datuje się z starożytności klasycznej. Przedstawiając czytelnikom nową księgę epigramatów, Martialis mówi, że są oszlifowane na nowo: *lima rasa recenti*. Czemu szlifuję z uporem moje wiersze? pyta Owidiusz. Niektórzy probują rywalizować wręcz z samym kamieniem, jak Claudius Calaudianus w *de crystallo cui aqua inerat*, gdzie w pięciu wariantach łacińskich i greckich opisuje kryształ z zamkniętą w nim kroplą wody, w słowach naśladujących przejrzystość i błyskotliwość swego wzoru.

Między szlifowanym słowem i drogim kamieniem istnieje nadto głębokie powinowactwo funkcjonalne. Zmuszony do spędzenia zimowych miesięcy 1939-1940 samotnie w nieoświetlonym budynku, spostrzegłem wkrótce, że z dwuch porzuconych bibliotek i życia spędzonego na czytaniu pozostało mi właściwie tylko to co zachowało się w mojej zawodnej, spłukanej różnymi kataklizmami pamięci. W zimowe wieczory, oświetlone tylko żarzącym się w uchylonych drzwiczkach pieca drzewem, usiłowałem zrobić inwentarz rzeczy pamiętanych. Przez długi czas słysza-

łem tylko fragmenty muzyki. Potem dopiero w tej płynnej materii zaczęły się ukazywać słowa. Zrazu były to same fragmenty wierszy lub napisów lapidarnych. O porządku ich ukazywania się z niepamięci decydował nie bliższy lub dalszy język, ale oszlifowanie słów, ich kadencja lub przeznaczenie do wiecznego trwania na kamiennych płytach. Te pierwsze lśniące w nocy słowa były jak drogie kamienie, które w razie klęski można zamienić na konia lub bezpieczne ukrycie. Stało się wówczas dla mnie jasne, że w nich leży moja jedyna szansa życia i odnowienia się z popiołu przeszłości.

Nawet w swych formach prymitywnych, w naiwnej twórczości ludowej słowo zbliża się do funkcji drogiego kamienia. Przysłowia są próbą przekazania w najbardziej skondensowanej i doskonałej mnemotechnicznie formie dorobku myślowego powstałego z gorzkiego najczęściej doświadczenia pokoleń. Temu samemu celowi służą sentencje umieszczane na miskach przez garncarzy i przez cieśli nad drzwiami domów.

4.

Wszystkie te wspomnienia i refleksje przychodzą mi na myśl, kiedy przeglądam dwa tomiki rumuńskiego pisarza E. M. Ciorana wydane przez Gallimarda. Pierwszy z nich, z 1949, nosi tytuł *Précis de décomposition*, drugi, z 1952, *Syllogismes de l'amertume*. Jeden w formie rozprawy, drugi w luźniejszej formie aforyzmów są refleksjami emigranta patrzącego na rozpadanie się świata, od którego nie szuka żadnej ucieczki.

E. M. Cioran jest niezrównanym mistrzem słowa. Od dawna nie widziano prozy tak zwartej i lotnej zarazem. O wirtuozerii autora mogą dać pojęcie tylko cytaty, które wyjmujemy z tomiku aforyzmów:

C'est en vain que l'Occident se cherche une forme d'agonie digne de son passé.

Quelle tristesse de voir des grandes nations mendier un supplément d'avenir!

L'Orient s'est penché sur les fleurs et le renoncement. Nous lui opposons les machines et l'effort, et cette mélancolie galopante — dernier sursaut de l'Occident.

Pendant trois siècles, l'Espagne a gardé jalousement le secret de l'Inefficacité; ce secret, l'Occident tout entier le possède aujourd'hui...

Les grands peuples, ayant l'initiative de leurs misères, peuvent les varier à volonté; les petits sont réduits à celles qu'on leur impose.

L'ambition de chacun de nous est de sonder le Pire, d'être le prophète parfait...

Si la foi, la politique ou la bestialité entament le désespoir, tout laisse intacte la mélancolie : elle ne saurait cesser qu'avec notre sang.

W tych krótkich zdaniach znajdujemy wiele bliskich nam myśli. Są to krople ropy i krwi zastygłe na naszych ranach emigrantów. Nowością natomiast jest ich forma deklasująca najsławniejszych stylistów naszych czasów. E. M. Cioran został wyróżniony przez Prix Rivarol, nagrodą przeznaczoną dla cudzoziemców piszących po francusku. Nagroda ta była udziałem różnych sławnych pisarzy, lecz po raz pierwszy zapewne przyznano ją autorowi, którego forma słowna miałaby podobną wagę, otwierając perspektywę na wielką próbę jaka stoi przed światem zachodnim, zanim myśl jego pogrąży się w mroku dialetycznego materializmu czy innego prymitywizmu utylitarnego. Bliskie kataklizmy mogą zmyć w jednej chwili sterty drukowanego słowa, wszystkie *romans fleuves*, wszystkich *cymini sectores*, producentów nic nie znaczących więcej finezji, i manierystów, których *bagoût* straci od razu swą rangę literacką, kiedy dawne stolice spadną do rzędu zaścianków. Literatura współczesna, opłacająca swą autonomię brakiem aktualności pozaliterackiej, wydaje się zupełnie nieprzysposobiona do takich ewentualności.

Rzymianie patrzyli przez kilka wieków na zbliżający się koniec. Mury Aureliana, otaczające dziś jeszcze Rzym, wzniesiono na kilka pokoleń przed pierwszym oblężeniem miasta przez barbarzyńców. W długim okresie oczekiwania dokonano ostatniej selekcji klasyków, którzy w tym wyborze zachowali się do naszych czasów. Podjęte wówczas próby znalezienia form artystycznych odpowiadających perspektywie historycznej nie były dotąd nigdy na serio badane. Znajdujący się znów w obliczu podobnych przewidywań świat zachodni nie odczuwał dotąd potrzeby tworzenia form mogących przetrwać wielką próbę w naszej własnej pamięci, nie mówiąc o pamięci następnych pokoleń.

W zamęcie myśli będących jak gdyby prefiguracją zmroku, proza Ciorana jest jednym z najaktualniejszych wzorów literackich. Posiada zarazem lekkomyślność antycypującą obyczaje przyszłych podróżnych bez bagaży i odwieczny upór szlifierzy przerabiających słowa na talizmany.

W wspaniałej szacie francuskiej Cioran przekazuje Zachodowi coś z tradycyjnej mądrości swego kraju. W jego prozie jest coś z gorzkich jak chinina czereśni, z których nad Morzem Czarnym smażono najwykwintniejsze konfitury. Szaleństwa ludów oraz przesunięcia się granic i ośrodków władzy sprawiły, że byłe mocarstwa Europy zachodniej znalazły się dziś w położeniu dawnej Rumunii. Czas więc, aby ich czytelnicy zapoznali

się z cierpką mądrością tego kraju i z sztuką przyrządzania z niej najwybredniejszych łakoci.

NOWA POWIEŚĆ PARNICKIEGO

Dzięki uprzejmości redaktora „Kultury" miałem możność przeczytania ostatnio w rękopisie nowej powieści Teodora Parnickiego. Z natury swego talentu i uprawianego rodzaju literackiego Parnicki zajął w swym pokoleniu pisarzy polskich stanowisko wybitne lecz odrębne. Każda jego powieść jest wydarzeniem znajdującym się być może poza zasięgiem mód i aktualności literackich, lecz mającym swe miejsce w prądach długofalowych, obejmujących większe okresy czasu. Dopiero w szerszej perspektywie twórczość Parnickiego ukazuje właściwe proporcje.

Powieść współczesna podobna jest do konia, którego dosiadało tylu znakomitych i ostrych jeźdźców, że stał się w końcu starą szkapą, kulawą i dychawiczną, na której daleko zajechać nie można. W wyścigach literackich uwaga widzów przeniosła się od dawna z konia na jeźdźca. Tok opowiadania nie niesie więcej sam, jak w czasach Balzaka i Stendhala. Nawet Eugène Sue interesuje dziś tylko swą techniką powieściową. Od dawna też powieści, wyzbywając się coraz bardziej swej substancji, kokietują czytelnika nowością lub wirtuozerią kompozycji i stylizacji, jeżeli nie pozą i manieryzmem autorów, ulubieńców publiczności.

Ewolucja ta jest w pewnej mierze powrotem do typu powieści XVII i XVIII wieku, które nie pretendowały do złudzenia rzeczywistości lecz pociągały czytelnika dowcipem i wdziękiem inwencji. Dowcip i wdzięk są jednak substancją rzadką i lotną, i nadmierne rozcieńczenie jej przy wielkiej fabrykacji jest wręcz niebezpieczne dla całego rodzaju literackiego. Toteż nigdy nie ustawały poszukiwania nowych i bogatych materii powieściowych, których liczba wzrosła bardzo od czasów naturalistów.

Do poszukiwań tego rodzaju można zaliczyć także ostatnie próby regeneracji powieści historycznej. Podjęte jednocześnie w różnych krajach, próby te posiadają pewne wspólne rysy polegające na odkryciu świata antycznego i założeniu, że powieść historyczna nie może się obyć bez złudzenia rzeczywistości.

Od Defoëgo można odróżnić powieści starające się wywołać to złudzenie oraz powieści nie mające takiej ambicji i zwracające się do czytelników umiejących ocenić umiejętność operowania tworami czystej wyobraźni. Wprowadzenie złudzenia rzeczywistości pozwoliło powieściopisarzom rozszerzyć znacznie zakres swych czytelników, ofiarując im wzruszenia innej natury niż sam tylko podziw dla geniusza autora.

W powieści historycznej złudzenie rzeczywistości ma inne

zadanie. Sensu i uroku wieków minionych nie należy szukać w podręcznikach historii ani nawet w monografiach będących dla przeszłości tym czym katalogi są dla muzeów. Żywy kontakt z przeszłością rodzi się dopiero z wysiłku wyobraźni, niezbędnego dla oswojenia obcości tekstów, dokumentów i pomników historycznych. Dla tej przyczyny wywartościowanie w powieści materii historycznej wymaga stworzenia złudzenia obcowania z dokumentem. Nie liczące się z tym wymaganiem powieści historyczne dawne, jak *Ostatnie dni Pompei* i *Quo vadis*, zdają się operować postaciami syntetycznymi z nylonu lub galalitu.

Pierwszy wszedł na tę drogę poeta i essayista angielski Robert Graves w powieści *I, Claudius* będącej rodzajem dziennika cesarza Klaudiusza. Tę samą formę posiadają ostatnia powieść Thorntona Wildera z czasów Juliusza Cezara i dziennik Hadriana pani Yourcenar. Do rodzaju tego mogą się brać oczywiście tylko autorzy znający na wylot wszystkie teksty i realia świata antycznego i posiadający rodzaj wyobraźni niezbędnej do asymilacji tego materiału. Dzięki tym wymaganiom rodzaj ten uchylał się dotąd od spospolitowania przez naśladowców i przez dłuższy czas posiadał tylko dwuch protagonistów, Gravesa i Parnickiego, do których po kilkunastu latach dołączyli Wilder i pani Yourcenar. Powieści ich są być może jedyną żywą więzią łączącą jeszcze świat zachodni ze spadkiem po Grekach i Rzymianach.

Parnicki od razu przejawił swą oryginalność w samym wyborze tworzywa. Gdy trzej pozostali autorzy zatrzymali się w granicach historii szkolnej, między Cezarem i Hadrianem, autor *Aecjusza* sięgnął do czasów późnego cesarstwa, nieuporządkowanych dotąd przez historyków i dających możność nie tylko nowej stylizacji postaci i wypadków znanych, ale dostarczających nowego i plastycznego tworzywa. Wartość tej materii dla powieści historycznej ocenił także po pewnym czasie Graves pisząc swego *Belisariusza*.

Nowa powieść Parnickiego jest dziełem talentu dojrzałego i przemyślenia różnych aspektów uprawianego przez autora rodzaju powieściowego.

Już na pierwszy rzut oka uderza czytelnika subtelność jej budowy. Powieść pisana jest w pierwszej osobie, w formie listów syna króla Partów, strzeżonego przez Rzymian w Aleksandrii w charakterze jednego z zakładników, jacy ówczesnym zwyczajem gwarantowali wykonanie umów pokojowych zawieranych przez Rzym z monarchami krajów pogranicznych. Listy te pisane są do Marcii, ostatniej kochanki cesarza Commodusa, która po wzięciu udziału w zamordowaniu tego ostatniego skrywa się również w Aleksandrii. Pośredniczy w tej korespondencji siostra zakładnika, wnosząca do akcji atmosferę podejrzeń i nieuchwytnych zamiarów otaczającą zazwyczaj władców absolutnych. Planowane kilkakrotnie spotkanie strzeżonego zakładnika z ukrywającą się korespondentką rozbija się o różne przeszkody, budząc w końcu w autorze listów podejrzenie, że jest ofiarą misty-

fikacji i że jego romans epistolarny z Marcią jest tylko tworem tego własnej wyobraźni.

Struktura, w której potęgujące się złudzenie rzeczywistości rozwiewa się na końcu w fikcyjności założeń tej ostatniej, zasługuje na uwagę. Obok właściwej akcji powieści, na drugim planie rozwija się dramat słowa pisanego nie mogącego przekroczyć granic fikcji. Wieloplanowość budowy daje powieści Parnickiego pewną głębię perspektywy właściwą wielkim kompozycjom.

Opowiadanie zaczyna się *ex abrupto i* czytelnik czuje się zrazu jak obcy, który znalazł się nagle w świecie powiązanym tysiącem intryg znanych wszystkim prócz niego. Pierwsze stronice powieści podobne są do mozajki, której kamienie leżą bezładnie, nie dając żadnego klucza do całości obrazu. Szczegóły układają się jednak po paru rozdziałach w obszerną kompozycję z kilkunastu postaci.

Dzięki tej budowie opowiadanie zdaje się iść krok za krokiem za badaczem przedzierającym się przez gęstwinę tekstów i dokumentów z czasów Septymiusza Severa, za którego panowania rozwija się akcja powieści. Historia późnego cesarstwa jest wciąż jeszcze obszernym zbiorem fragmentów częściowo tylko układających się w wiążące się ze sobą serie faktów. Czytający teksty współczesne zatrzymuje się przy każdym nowym nazwisku pytając: kto to jest? co o nim wiadomo? W miarę posuwania się lektury i przeglądania słowników i indeksów niektóre postacie nabierają wyrazu, inne natomiast pozostają zagadkowe jak posągi bez głów i tułowi. Każdemu, kto zetknął się z historią tego okresu powieść Parnickiego daje uderzające złudzenie obcowania z tekstami i dokumentami antycznymi.

Chaos niezliczonych religii i wieża Babel ludów i języków późnego cesarstwa są przyciosane przez Parnickiego do miary dokumentów epoki, w której sama cesarzowa rzymska, będąca zresztą jedną z najbardziej interesujących postaci świata antycznego, pochodziła z rodziny kapłanów Baala. Dbałość o autentyczny szczegół autor posuwa tak daleko, że — pisząc w imieniu Parta zrodzonego z Greczynki — hellenizuje lekko nazwiska rzymskie. Od strony kuchni literackiej nowa powieść Parnickiego przedstawia się jako potrawa o smaku ostrym, zaprawiona wszystkimi korzeniami Aleksandrii, i znawcy będą mieli o czym dyskutować.

Do najszczęśliwszych rysów ostatniej powieści Parnickiego należy jej zdecydowane oderwanie się od *vie romancée,* gdy serwituty tego nieudanego rodzaju literackiego ciążą nadal *Idom marca* i *Pamiętnikowi Hadriana.* Miejsce na *vies romancées* powstało w okresie, kiedy u historyków krytyka zaczęła przeważać nad syntezą i kiedy tzw. historia kultury zepchnęła postacie historyczne na drugi plan naszej wizji przeszłości. Nowy rodzaj literacki narodził się jednak w czasie niepomyślnych dlań manieryzmów i stylizacji, wydając twory przeważnie groteskowe i mało pochlebne dla gustów literackich lat międzywojennych. W swej ostatniej powieści Parnicki oddala się rezolutnie od ma-

nowców pseudo-biografii i przywraca powieściopisarzowi jego prawa. Poza Marcią, której milcząca obecność ustala przybliżoną datę akcji, postacie jego są powieściowe; utkane z najstaranniej dobranego materiału historycznego, nie są mchem rosnącym na pomnikach Plutarcha, lecz posiadają nieprzymuszoną swobodę tworów wyobraźni.

Szata słowna powieści — cokolwiek by o tym mogli sądzić specjaliści od *Literaturwissenschaft* — nie da się rozłożyć na części jak maszyna. Efekty stylistyczne nie leżą w założeniu powieści historycznej typu uprawianego przez Parnickiego. Chodzi w niej raczej o sugestywność słowa mającego dać czytelnikowi złudzenie rzeczywistości. Jak jednak ustawić grube i kanciaste w naszych nieporadnych rękach słowa, aby zaczęły opalizować i świecić? Bez czarnoksięstwa to się zrobić nie da. Otrzymanie tych efektów przy pomocy słów najprostszych jest jednym z sekretów Parnickiego.

Romans potomka Arsakidów z tajemniczą Rzymianką dałby się zapewne najłatwiej opisać po łacinie, językiem *Satiriconu* lub językiem Ammiana Marcellina, czujnym i niespokojnym, starającym się zanotować na zawsze całą dziwność wypadków trwających jedną chwilę i rozwiewających się natychmiast w przeszłości. Trudniej już byłoby to zrobić w językach romańskich, mających swą elegancję powstałą w czasach Baroku i nie przylegającą dokładnie do tematów antycznych. W *Salammbô* czy w *Aphrodite* Flaubert i Pierre Louys prześlizgują się w lekkich aluzjach i peryfrazach nad wielu rzeczami, które Petronius i Suetoniusz mówią wprost. Łatwość, z jaką Parnicki traktuje swój egzotyczny na pozór temat nie uciekając się do żadnych omówień i stylizacji, wynika być może z wiekowej symbiozy języka polskiego z łaciną. Nie tylko groby naszych królów pokryte są łacińskimi napisami, ale nawet metryka piszącego te słowa zredagowana jest w języku Tertulliana. Sarmaci mniej biegli w sztukach klerykalnych pisali jak umieli, mieszając swobodnie język szlacheckiego zaścianka z mową Forum Romanum, jak na cmentarzu w Zaleszczykach, na grobie miejscowego nauczyciela

Hic jacet Kurhanek
Luceat ei kaganek
Quia docuit A. B. C.
Requiescat in pace

Dzięki długiemu współżyciu obu języków mowa potoczna Polaków zachowała widocznie jakieś tajne powinowactwo z językiem i stylizacją pisarzy rzymskich.

Powieści Parnickiego i jego znakomitych kolegów wskazują na nowy zakręt drogi, jaką spadek po świecie antycznym przechodził w ciągu wieków z rąk do rąk. Przez długi czas był on udziałem ludów zamieszkałych na dawnym terytorium cesarstwa rzymskiego i stamtąd — niesiony przez łacinę kościelną i renesansową — przenikał do krajów dalszych. W wie-

kach średnich autorzy starożytni nie byli łatwo dostępni. W listach Petrarki znajdujemy wiadomość z jakim trudem poeta zdobywał rękopiśmienne kopie autorów rzymskich. Wynalazek druku udostępnił pisarzy klasycznych — w poprawnych tekstach opracowanych przez humanistów — większej liczbie czytelników. Odtąd spadek literacki po Grekach i Rzymianach nieśli razem badacze filolodzy i ogół wykształconych. Mało kto posiada obecnie taką znajomość świata antycznego jaką miał np. Jean Racine. Jeszcze w początku XIX wieku Gibbon liczył więcej czytelników niż jakikolwiek historyk naszego czasu. Potem zainteresowanie światem antycznym ograniczało się coraz bardziej do kół uniwersyteckich, do czytelników *Hermesa* i *Rhenisches Museum*. Wojny, rewolucje i przemiany wewnętrzne, jakim uległa większość krajów Zachodu, zrujnowały przeważną część ośrodków badań historycznych. Przez pewien czas wydawało się, że świat antyczny zniknie z pamięci ludów. Odrodzenie w nowej szacie powieści historycznej wskazuje, że zainteresowanie tym światem toruje sobie nowe drogi.

Paweł HOSTOWIEC

Horoskopy wsch.-europejskie na r.1954

Rozwój Europy Wschodniej po drugiej wojnie światowej i jej obecna sytuacja wynikają w pierwszym rzędzie z istniejącego po zakończeniu wojny światowej i dotąd się utrzymującego układu sił międzynarodowych. Można powiedzieć, że to jest oczywiste założenie, przy którym należy obstawać, zwalczając dość rozpowszechnioną tendencję, usiłującą przedstawić powojenną historię krajów znajdujących się w tej części Europy jako wynikającą wyłącznie czy przeważnie z autentycznego procesu rewolucyjnego.

Bo przecież bez zwycięskiego pochodu czerwonej armii w kierunku Europy środkowej, bez sowieckiej okupacji połowy Niemiec — Europa Wschodnia na pewno nie byłaby dziś tym, czym jest. Zresztą nawet sami przywódcy demokracyj ludowych podkreślają rozstrzygający charakter ,,pomocy'' Związku Sowieckiego przy ustalaniu ich reżimów. Zacytuję choćby — spomiędzy tylu innych — oświadczenie szefa węgierskiej partii komunistycznej. Mathias Rakosi, w pracy opublikowanej przez teoretyczny organ jego partii (*Tarsadalmi Szemle*, luty-marzec 1952), stwierdził, że ,,obecność wyzwalających wojsk sowieckich na Węgrzech przekreśliła od samego początku wszelki poważny opór''; że ,,uniemożliwiła wojnę domową, której w innych okolicznościach należało się spodziewać''. W rzeczywistości, dzięki ,,pomocy'' wielkiego mocarstwa, które na zasadzie umów międzynarodowych kontrolowało ich kraje wojskowo i politycznie,

---

Zamieszczając niezmiernie interesujący artykuł François Fejtö, zawierający szereg słusznych obserwacji i konstatacji, będących w dużym stopniu rozwinięciem poglądów poruszanych na łamach ,,Kultury'', pragniemy zaznaczyć, że nie podzielamy wszystkich opinii autora, specjalnie dotyczących ewolucji Z.S.S.R. po śmierci Stalina. Zwracamy uwagę Czytelników na zamieszczone na stronie 154 w ,,Przeglądzie miesięczników'', streszczenie artykułów B. Nikołajewskiego i S. Szwarca (wydrukowanych w kwietniowym numerze ,,Socjalisticzeskowo Wiestnika''), które wydają się nam pierwszą rzeczową i realną analizą. (Redakcja).

partie komunistyczne w krajach Europy Wschodniej mogły prowadzić wojnę domową „na zimno", podczas gdy partie chłopskie i socjal-demokratów — nawet jeżeli stanowiły łącznie niezaprzeczalną większość — były rozbrojone, a wszelka ich akcja sparaliżowana.

Mając to na uwadze i podtrzymując wszystkie nasze zastrzeżenia dotyczące sowieckiej interpretacji układów w Teheranie, Jałcie i Poczdamie (układy te w żadnym wypadku nie przewidywały całkowitej sowietyzacji tej części Europy (1) — byłoby niewątpliwym błędem przypisywanie — jak to się często robi — *wszystkich* aspektów rozwoju Europy Wschodniej po wojnie bezpośredniemu czy pośredniemu działaniu Związku Sowieckiego. Nie należy zapominać o samej *naturze obszaru,* podlegającego temu działaniu. Co najmniej w dwóch krajach: Czechosłowacji i Jugosławii, do których być może należy dodać i Bułgarię, wpływy sowieckie zaszczepiły się na żywotnych ruchach komunistycznych, których siłę zwiększyła wyraźna zbieżność interesów narodowych z interesami Związku Sowieckiego.

Zarówno w czasie wojny, jak i zaraz po jej ukończeniu, Związek Sowiecki uważany był przez przeważającą część opinii tych krajów za przywódcę słowiańszczyzny, przedstawiciela wielkiego odwetu Słowian nad imperializmem niemieckim, zaś w wypadku Jugosławii — za przeciwwagę włoskiej ekspansji na Bałkany. W pewnej mierze można więc porównać powodzenie komunizmu w tych krajach do sukcesu odniesionego przez ruch komunistyczny w Chinach, który również czerpał swoją siłę z podłoża narodowej rewolucji. Komunizm bowiem ma najwięcej szans w krajach, w których może wykorzystać nie tylko niezadowolenie proletariatu wiejskiego i miejskiego z istniejącego porządku społecznego i ekonomicznego, lecz również nastroje nacjonalistyczne. Należy przy tym zaznaczyć — w pełni potwierdza to przykład Jugosławii i, nieco mniej jaskrawo, Czechosłowacji — że nacjonalizm poparty w pewnych warunkach przez Związek Sowiecki, może się obrócić przeciwko niemu. Dzieje się to wtedy gdy sowiecka racja stanu i uniżoność agentów Rosji usiłują narzucić danemu krajowi kierunek obrażający jego suwerenność i dumę narodową.

---

(1) Potworne porozumienie, z października 1944, zawarte w Moskwie pomiędzy Churchillem i Stalinem, a którego istnienie potwierdził Churchill w swoich „Pamiętnikach" — pozostawiło jednakże trochę miejsca — jeśli nie dla niepodległości krajów w stosunku do których było zawarte — to przynajmniej dla wpływów brytyjskich i zachodnich. Czytając „Pamiętniki" Churchilla należy postawić sobie pytanie dlaczego w dalszym ciągu odpowiedzialnym za istniejący obecnie podział Europy czyni się Roosevelta, kiedy jest jasne, że głównym jego twórcą był Churchill? Oh, prawdopodobnie z powodów czysto brytyjskich: premier Jego Królewskiej Wysokości chciał po prostu uprzedzić tym podziałem Europy — podział całego świata pomiędzy Stany Zjednoczone a Rosję, z którego to podziału Imperium Brytyjskie mogłoby ciągnąć korzyści.

Ale zarówno w Polsce, która jest krajem słowiańskim, ja na Węgrzech czy w Rumunii, krajach nie-słowiańskich Związe Sowiecki nie mógł liczyć na tradycyjną sympatię. W tych kra jach tradycyjne uczucia narodowe miały zawsze charakter ant rosyjski i anty-sowiecki, i nie ma żadnej wątpliwości, że be presji sowieckiej komuniści nie mogliby w nich nigdy zagarną władzy i wykorzystać dynamiki narodu. Ale nawet ten fakt n powinien wpływać na niedocenienie wagi pewnych czynnikó społecznych i ekonomicznych, które ułatwiły komunizmowi p wodzenie.

UPADEK BURŻUAZJI

Atrakcyjność sowieckiej ekspansji polega na tym, że opie się ona nie na burżuazji — jak to robią wielkie mocarstwa z chodnie w krajach o słabym rozwoju gospodarczym — ale klasie robotniczej, a raczej na utożsamiającej się z nią par komunistycznej, która czerpie swoje soki żywotne z proletaria i inteligencji technicznej. Partie komunistyczne zaś posiada technikę obejmowania władzy i rządu, bardzo skuteczną pr układzie społecznym zbliżonym do tego jaki istniał w Rosji prze rewolucyjnej.

Komuniści, ukształtowani w szkole stalinizmu, wyucze przez trzydzieści lat rozwoju sowietyzacji — jeżeli tylko da s im odpowiednie środki, natychmiast koncentrują swoje wysi na owładnięciu państwem, eliminując uprzednio, z całą dokła nością, wszelkie inne wpływy. Wszędzie gdzie partia obejmu władzę — czy to przy bezpośredniej pomocy Związku Sowie kiego (jak np. w Polsce i w krajach dawnych satelitów niemie kich), czy na skutek bardziej niezależnego ruchu rewolucyjne (Jugosławia, Czechosłowacja) — komunizm występuje jako sp cyficzna forma etatyzmu, w której aparat państwowy, pocz kowo naszpikowany ,,wtyczkami'' przez komunistów, podejmu zadania historyczne, które burżuazja bądź pominęła, bą nie miała czasu zrealizować. Największa zręczność kom nizmu polega na tym, że przejmuje on program swoich prz ciwników, jak na przykład Lenin, który zdyskontował progra agrarny socjal-rewolucjonistów konsekwentnie go realizując. J śli idzie o Europę Wschodnią z 1945 roku, komuniści przywłas czyli sobie po prostu programy partii włościańskich, socj demokratycznych, a nawet narodowych.

Zadanie komunistów szczególnie ułatwił fakt, że — z w jątkiem jednej Czechosłowacji — burżuazje wschodnio-europ skie, to jest klasy tradycyjnie rządzące, nie potrafiły, jak się w daje, sprostać swej misji narodowej, a więc: wyzwolić energ produkcyjne, stworzyć społeczeństwo bardziej zwarte i doprow dzić do federacji, mogącej przeciwstawić się presji otaczający je wielkich mocarstw. Strach przed rodzącym się proletariat

zbyt szybko zahamował twórczy rozmach burżuazji i klasy średniej w Europie Wschodniej. Pod naciskiem złożonych zagadnień nowoczesnego społeczeństwa zdecydowały się one na kompromis z wielką własnością ziemską i oddały się pod opiekę kasty wojskowej, która dała początek rządom arbitralnym, społecznie zacofanym. Zależąc od zagranicznego kapitału, którego wpływ polityczny i ekonomiczny był często sprzeczny z interesami narodowymi, burżuazje te — jeszcze przed wprowadzeniem reform, które w krajach bardziej gospodarczo rozwiniętych znaczyły ich dojście do władzy — stały się konserwatywne, jeśli nie całkiem reakcyjne; podały się do dymisji zanim zaczęły rządzić.

I właśnie z powodu bankructwa historycznego burżuazji narodowych, z powodu nieudanych reform, niskiego poziomu wychowania politycznego mas i ich kierowników — niedorozwinięte gospodarczo kraje Europy Wschodniej były w chwili ukończenia drugiej wojny światowej owymi ,,najsłabszymi ogniwami kapitalizmu'', na które — w korzystnych warunkach — akcja komunistyczna mogła wywrzeć wpływ. Żeby zdać sobie sprawę z wagi ,,terenu'' w podboju komunistycznym, wystarczy porównać ewolucję większej części krajów satelickich z równoczesnym rozwojem Austrii i Finlandii. W tych ostatnich krajach komuniści usiłowali posłużyć się takimi samymi receptami do zawładnięcia państwem i partiami nie-komunistycznymi, ale rezultat był odmienny. Działanie komunizmu udaremnił opór partii socjaldemokratycznych i drobno-mieszczańskich, chrześcijańsko-społecznych czy chłopskich, doświadczonych w walce politycznej i mających na swym czele nieprzekupnych przywódców.

EKONOMICZNA WYDAJNOŚĆ KOMUNIZMU STALINOWSKIEGO

Mówiąc o problemie ,,terenów gospodarczo zacofanych'', Eugene Black, przewodniczący Międzynarodowego Banku Odbudowy, powiedział kiedyś: ,,Jakieby nie były prawa i obowiązki różnych narodów — rozwój gospodarczy nie jest artykułem eksportowym. To jest coś, co można osiągnąć jedynie wewnątrz danego kraju poprzez przyjęcie odpowiedzialności, zaciekłą pracę i ofiary. Moim zdaniem byłoby niebezpiecznym złudzeniem wierzyć, że poziom życia mas może być podwyższony bez zmiany struktury ekonomicznej, która pozwala na to, aby mniejszość korzystała z największej części dochodu narodowego (2)''.

I tu leży sedno zagadnienia. Związek Sowiecki w istocie miał tę przewagę na terenach poddanych swemu wpływowi, że posiadał w ekipach komunistów, którym dał władzę, agentów

(2) Por. ,,Quelques causes économiques de l'influence communiste en France'', Herberta Lüthy (*Preuves*, listopad 1951).

zgłodniałych czynu, gotowych do przeprowadzenia tej ,,zmiany struktury ekonomicznej'' jaka się sama narzucała, skłonnych do zorganizowania najwyższego wysiłku i narzucenia ofiar bez których nie mógł być zapewniony rozwój ekonomiczny żadnego kraju gospodarczo zacofanego.

Czyż zasadniczym elementem fascynacji, jaką wywiera komunizm nie tylko na biednych, lecz również na tylu intelektualistów, techników, a nawet mieszczan wrażliwych na problemy społeczne, nie jest fakt, że w obliczu partii burżuazyjnych czy reformistów, w gruncie rzeczy pogodzonych z zastojem panującym w ich krajach poddanych wpływom kapitalistycznym, komunizm objawia się jako jedyny lek, jako uniwersalne rozwiązanie problemów socjalnych naszych czasów, jako siła par excellence dynamiczna, siła twórcza?

Wydajność jest mitem Nr 1 komunizmu stalinowskiego. W imię tej wydajności, w imię tej zdolności twórczej, komunizm stalinowski żąda pełnej władzy i narzuca rezygnację z wolności obywatelskich i ,,habeas corpus''. Z racji niezaprzeczalnego rozwoju przemysłowego w Związku Sowieckim socjalizm totalitarny działa na wyobraźnię elity rewolucyjnej krajów gospodarczo zacofanych, osaczających przecież świat zachodni który z powodów zarówno strategicznych jak i ekonomicznych powinien zapewnić sobie ich przyjaźń i współpracę (3).

Z tego przede wszystkim powodu ewolucja krajów włączonych w orbitę Związku Sowieckiego zasługuje na pogłębione studia. Nie mogąc sobie zjednać krajów, którymi zawładnął, pomocą finansową i techniczną tej miary jaką mogłaby być pomoc Zachodu, Związek Sowiecki, sam zaangażowany w wyścig do uprzemysłowienia, daleki jeszcze od końca, dał krajom Europy Wschodniej — za pośrednictwem kontrolowanych przez siebie partii komunistycznych — *system* rozwoju, mający na celu przyspieszenie ich modernizacji. Ten system jest z grubsza kopią metody zastosowanej w Związku Sowieckim po Rewolucji Październikowej; zamierzono jednak oszczędzić krajom demokracji ludowej pewnych wstrząsów, które — jak mówiono — miały swoje źródło w specyficznie rosyjskiej rzeczywistości. Tak więc, biorąc za podstawę schemat rozwoju Rosji sowieckiej — kierownicy komunistyczni w Europie Wschodniej wierzyli, że zaoszczędzą swoim krajom okresu ,,komunizmu walczącego'', narzuconego Rosji przez wojnę domową i blokadę Zachodu; chcieli oni bez wahania przejść od polityki leninowskiego N.E.P.'u do etapu bardziej rozwiniętego czyli do budowy socjalizmu; etap ten zawiera w sobie kolektywizację rolnictwa i realizację długoterminowych planów przemysłowych.

---

(3) Por. doskonałe studium na ten temat Tibora Mende: ,,World Power in the Balance'' (The Noonday Press, New York, 1953, str. 93-116). Obecnie ukazało się w wydawnictwie Du Seuil (Paryż, 1954)) francuskie wydanie tej książki pt. *Regards sur l'histoire de demain.*

TRZY ETAPY ROZWOJU DEMOKRACJI LUDOWYCH

Według teoretyków demokracji ludowych rok 1948 był „rokiem zwrotnym". Odstępstwo Jugosławii (czerwiec 1948) zaznaczyło czerwoną linią koniec okresu „burżuazyjnego i parlamentarnego" demokracji ludowej, który charakteryzowały: reforma rolna, upaństwowienie, nowe, demokratyczne konstytucje republikańskie i odbudowa gospodarcza. W międzyczasie, korzystając z udziału w rządach koalicyjnych, partie komunistyczne, pod przykrywką demokratyczną, oddały się systematycznemu opanowywaniu struktury państwowej. Opanowały policję i siły zbrojne i — stosując, jak to określił M. Rakosi, „technikę salami" stopniowo zniszczyły nie-komunistyczne partie polityczne. To była „dobra robota". Jakiś współczesny Makiawel patrzałby na nią z przyjemnością. Teoretycy komunizmu, mówiąc o tym rozwoju, pokrywają przeważnie milczeniem rolę jaką odegrały tu strategiczne względy Związku Sowieckiego. Bo w rzeczywistości dopiero w chwili kiedy Związek Sowiecki — w odpowiedzi na doktrynę Trumana i Plan Marshalla — powziął decyzję całkowitego włączenia „bloku" wschodnio-europejskiego w swój krąg ekonomiczny, polityczny i kulturalny — partie komunistyczne tego obszaru zostały skierowane, czasem nawet wbrew woli, w stronę drugiego, cięższego etapu rozwoju. Według określenia węgierskiego ideologa, Josepha Révai — dopiero wtedy demokracja ludowa objawiła się jako „specjalna forma dyktatury proletariatu", to jest dyktatury partii komunistycznej, która w swoim ręku zatrzymała całość władzy.

Inauguracją tego „drugiego etapu" było rozpoczęcie kolektywizacji rolnictwa (która miała szczególnie brutalny charakter w Bułgarii). W tym samym okresie czasu kraje Europy wschodniej zaangażowały się w długofalowe plany uprzemysłowienia, kładąc przede wszystkim nacisk na rozwój przemysłu ciężkiego (4). Masowe czystki przeprowadzone w łonie samych Partii oraz w administracji, prześladowanie kułaków i drobnomieszczaństwa, kampanie propagandowe przeprowadzane w okresie procesów pokazowych (Rajk, Kostov, itd.) złożyły się na stworzenie atmosfery terroru i sztucznego entuzjazmu, niezbędnej — wedle techników stalinizmu — do wykonania na taką miarę zakrojonych projektów. Ekonomiści krajów poddanych wpływom sowieckim zmobilizowali cały kapitał finansowy i ludzki w celu rozwinięcia przemysłu ciężkiego, zaniedbując rolnictwo, dezorganizując aprowizację przez zastosowanie środków kolektywizacji i poprzez strach jakie te środki budziły u chłopów,

(4) Czechosłowacja i Bułgaria 1949-1953: Węgry 1950-1954: Polska 1950-1955: Albania i Rumunia 1951-1955.

nawet tam, jak na przykład w Polsce, gdzie były one dozow
ne ostrożnie.

Niewątpliwie, że to zaplanowane uprzemysłowienie, mając
na celu położenie kresu zastojowi ekonomicznemu krajów Eur
py Wschodniej, w pewnej mierze było zgodne z interesami tyc
krajów. Mogło zabsorbować przeludnienie, zapewnić pełne z
trudnienie, stworzyć warunki dla późniejszego, harmonijneg
rozwoju. Rezultaty osiągnięte na tym polu w Polsce, Czechosł
wacji, a nawet na Węgrzech, są nie do zlekceważenia. W sum
produkcja przemysłowa krajów Europy Wschodniej znaczn
wzrosła. Kraje te są w obecnej chwili lepiej wyposażone niż prze
wojną. Poziom produkcji przemysłowej w Polsce, poczynając o
roku 1953, przewyższył produkcję włoską, zaś według dzienni
„Żołnierz Wolności" z 20 lutego 1954 roku — jest równy fra
cuskiej. Stworzono nowe gałęzie przemysłu, które bądź w ogó
dawniej nie istniały, lub których wytwórczość była minimaln
na przykład ciężki przemysł maszynowy, przemysły specjalnyc
stali, traktorów i samochodów, przemysł wielkich maszyn elek
trycznych itp. Produkcja polskiego przemysłu chemicznego by
w roku 1953 dwa i pół raza większa niż w roku 1945 (5). Now
wielkie piece huty Kościuszki, wielkie piece stalowni i walcow
ni w hucie B. Bieruta w Częstochowie, walcownia żelaza hut
Bobrek itd., są osiągnięciami przynoszącymi zaszczyt narodow
polskiemu. W Czechosłowacji cała produkcja przemysłowa, za
angażowana w „planie Gottwalda" podwoiła się od roku 194
do 1953, w tym samym czasie podwoiła się również wytwórczoś
środków produkcji. Na Węgrzech, nad brzegami Dunaju, ta
gdzie trzy lata temu były jeszcze pastwiska, wznosi się komb
nat-olbrzym metalurgiczny, a przemysł mechaniczny powiększy
swoją produkcję od roku 1950 do 1952 więcej niż dwukrotnie.

Mamy tu do czynienia z doniosłymi rezultatami, które zmie
niły kartę ekonomiczną Europy Wschodniej. A jednak kryzy
gospodarczy, który rozpoczął się w roku 1952, a wybuchnął jas
krawo po śmierci Stalina, rzucił światło na pewne aspekty teg
rozwoju, które każą wątpić w realną wydajność metod ekono
micznych, stosowanych przez komunistów.

KRYZYS W LATACH 1952-1953

Z końcem roku 1950 i na początku 1951 sowieccy rzeczo
znawcy z KOMEKON'u (Rada wspólnej pomocy gospodarczej
koordynująca plany, stworzona w styczniu 1949 roku) nakazał
wszystkim rządom komunistycznym krajów Europy Wschodnie
dość znaczne podwyższenie norm produkcyjnych w stosunku d

(5) Por. raport Komitetu Centralnego o „wynikach osiągniętych prz
wykonaniu Planu Sześcioletniego i głównych zadaniach gospodarczych n
okres 1954-1955 (*Nowe Drogi*, Warszawa, październik 1953).

pierwotnych planów sporządzonych na okres 1952-1955 (6). Nie później jednak jak w roku 1952 stało się jasne, że plany te są *niewykonalne*, z jednej strony z powodu trudności zaopatrywania w surowce i energię, z drugiej zaś strony wskutek przepracowania ludzi i dotkliwego braku produktów rolnych. Nikt jednak, w Europie Wschodniej nie śmiał, bez zgody Kremla, publicznie stwierdzić tego oczywistego faktu. I tak, na przykład w Czechosłowacji, aby odwrócić uwagę robotników i techników od prawdziwych powodów depresji gospodarczej, zaczęto, starym zwyczajem, szukać „kozłów ofiarnych". Ale proces Slansky'ego i towarzysząca mu czystka nie okazały się skuteczne, przeciwnie pogłębiły jeszcze niepokój. Na Węgrzech, Ernest Gerö, naczelny planifikator reżimu, w artykule opublikowanym dnia 19 grudnia 1952 roku w czasopiśmie Kominformu, potwierdził „wzrastające braki produkcji przemysłowej", dodał jednak, że powstały one „skutkiem zaniedbania dyrektorów przedsiębiorstw, którzy nie stosowali się ściśle do zarządzeń Rady Ministrów" i którzy „przez oportunizm" przeciwstawiali się często otrzymywanym od zwierzchników „planom narzuconym i całkowicie realnym", których wykonanie — jak to stwierdzili technicy danych przedsiębiorstw — było możliwe. Według Gerö plan „narzucony" stawał się planem wykonalnym i należało go realizować „za każdą cenę".

NOWA LINIA POLITYCZNA I GOSPODARCZA

Dopiero po śmierci Stalina i przeprowadzonej w następstwie rewizji polityki sowieckiej, kierownicy komunistyczni krajów Europy Wschodniej zaczęli tłumaczyć się z „błędów" popełnionych na skutek wykonywania poprzednich rozkazów Moskwy, błędów które spowodowały groźne zachwianie równowagi w życiu ekonomicznym i kopały co dzień większą przepaść między aparatem komunistycznym a masami. Pierwszy gest zrobili kierownicy komunistyczni Niemiec Wschodnich, ale został on zakłócony wypadkami czerwcowymi; następnie nowemu przewodniczącemu rady węgierskiej, Imre Nagy, następcy Mathiasa Rakosi'ego, przypadł zaszczyt zapoczątkowania w dniu 4 lipca 1953 roku „nowej linii politycznej i ekonomicznej" komunizmu w Europie Wschodniej. Zaraz potem podobny zwrot nastąpił

(6) Oto kilka cyfr, ilustrujących znaczenie podwyższenia zadań pierwotnych, jakie wprowadzono w roku 1951: W Polsce Plan Sześcioletni przewidział inwestycje przemysłowe rzędu 191 na rok 1951, 239 na rok 1952 i 278 na rok 1953 (według wskaźnika 1949 równa się 100). Plan uzupełniający podwyższył te cyfry do 219, 275, 320. W Czechosłowacji ogólna suma inwestycji w roku 1951 (105 miliardów koron czeskich) przekroczyła o 51 procent plan pierwotny. Na Węgrzech plan produkcji przemysłu ciężkiego początkowo ustalony na 204 (1948 równa się 100) został podwyższony do 380 itd.

w Czechosłowacji i Rumunii oraz — w sposób mniej jaskraw — w Polsce i Bułgarii.

Nie ulega wątpliwości, że ta nowa linia odpowiada życz niom rządu Malenkowa, który z powodów zarówno wewnętr nych jak i zewnętrznych stara się złagodzić surowość system stalinowskiego i ożywić zrezygnowaną apatię sowieckich pracow ników, obiecując im szybkie polepszenie stopy życiowej. Łąc ność pomiędzy programem rolnym Imre Nagy'ego, ogłoszony 4 lipca 1953, a oświadczeniem Mikołaja Chruszczewa, wygłosz nym 7 września tegoż roku — nie ulega wątpliwości. Ale narz cone przez Związek Sowiecki *opóźnienie* rewizji polityki, któr szkodliwy charakter widoczny był już na początku 1952 rok sprawił demokracjom ludowym znaczne straty, których ogro oceniać można jedynie z oficjalnych publikacji. Czyż te szkod same przez się, nie skazują systemu w jaki Związek Sowiec ,,jednoczy'' kraje Europy Wschodniej, odbierając im stopniow ale aż do ostatnich śladów — niepodległość narodową i niszcz rozpęd demokratyczny z lat 1945-1948? Zachwianie równowag spowodowane interwencją sowiecką w życie gospodarcze, niez przeczalne obniżenie stopy życiowej pomiędzy 1950 a 1953 r kiem wzmocniły, zawsze żywe, uczucia narodowe krajów, któ z trudem zmuszają się do ,,poświęcenia bez granic'' i posłuszer stwa ,,do śmierci'', wymaganych w stosunku do Związku S wieckiego. Nawet w Czechosłowacji i Bułgarii, gdzie przed r kiem 1948 Rosja cieszyła się o wiele większymi sympatiami, n gdzie indziej, ,,patriarchalizm sowiecki'' będący czynnikiem ro kładu, odczuwany jest jako zniewaga godności narodowej.

POWRÓT DO NEP'u

Ale wróćmy do nowej polityki gospodarczej, zapoczątkowa nej w lecie 1953 roku. Jest niewątpliwie rzeczą ciekawą obserwo wanie i analiza sposobu, w jaki teoretycy partii komunistycz nych w Europie Wschodniej zabierają się do publicznego ,,wy znania błędów'', usiłując jednocześnie uratować twarz i nie na razić Związku Sowieckiego. Twierdzą więc stale, że ,,nowa po lityka'' nie jest, w dosłownym tego słowa znaczeniu, zwroter w rozwoju demokracji ludowych. Nie idzie tu wcale — zapew niają — o ,,gwałtowny powrót'' do leninowskiego N.E.P.'u. Nie zasady postępowania, ustalone przez Lenina dla okresu, w któ rym sektor socjalistyczny w przemyśle winien współpracowa z szerokim niezsocjalizowanym sektorem w rolnictwie *nigdy ni przestały być ważne* w krajach demokracji ludowej (7). Zastoso wanie N.E.P.'u rozpoczęto w ciągu ,,roku zwrotnego'' (1948) Powodzenie uzyskane od tego czasu zarówno na polu ekonomicz

(7) Por. Laszlo Nemes: ,,Sur quelques relatives à l'application en Hon grie de la N.E.P. (*Szabad Nep.*, 9 luty 1954).

nym jak i politycznym zawdzięcza się recepcie leninowskiej. Odwrotnie, wszystkie ,,braki'' należy tłumaczyć ,,ciężkimi błędami'' popełnionymi w związku ze stosowaniem N.E.P.'u w okresie pomiędzy rokiem 1951 a czerwcem 1953.

Na czym polegają błędy? Przede wszystkim *,,na przyśpieszonym tempie socjalistycznego przeobrażenia rolnictwa''*. Myśleliśmy — powiedział węgierski teoretyk, że uda się nam, dzięki stałej pomocy Związku Sowieckiego i współpracy z demokracjami ludowymi, rozwiązać szybciej zagadnienie budowy socjalizmu. To było, naturalnie, zgodne z rzeczywistością. Zapomnieliśmy jednak, że właśnie dzięki istnieniu Związku Sow., możemy realizować postęp wolniej, równiej, bez gwałtownych wstrząsów''. Koncentrując się na ,,gwałtownej kolektywizacji rolnictwa'' komuniści Europy Wschodniej ,,zaniedbali'' zastosowania taktyki leninowskiej, która poleca również ,,zachęcanie'' indywidualnych producentów, stanowiących zawsze ważniejszą część ludności wiejskiej. W praktyce polityka rolna partii komunistycznych krajów Europy Wschodniej — z wyjątkiem może polskiej partii komunistycznej, która działała z większą rozwagą — usiłowała wywrzeć coraz silniejszą presję nie tylko na ,,kułaków'', których chciano ,,zlikwidować'', ale również na wiejskich ,,średniaków'' aby ich zmusić do wstępowania do spółdzielni, zorganizowanych na wzór kołchozów. Puszczono w ruch całą maszynerię: wprowadzono ograniczenia handlu, uboju i transportu, oraz obowiązkowe a przytłaczające dostawy dla Państwa, po cenach nieraz niższych od cen własnych.

Wynik takiego postępowania nie był trudny do przewidzenia: zniechęceni chłopi siali i zbierali coraz to mniej; spółdzielnie tworzone pod przymusem, miały wydajność niewystarczającą, najczęściej o wiele niższą od małych gospodarstw indywidualnych. Demokracje ludowe, jedna po drugiej zaczynały odczuwać brak produktów żywnościowych; ten niedostatek odbijał się na jakości pracy przemysłowej. Dalszy ciąg jest znany : niezadowolenie robotnika doprowadziło do wybuchów w Pilznie, Csepel, Haskovo i w całych Niemczech Wschodnich. Groziło ponadto przeniesieniem się do innych krajów Europy Wschodniej, a nawet do Związku Sowieckiego, gdzie następcy Stalina, robiąc bilans dziedzictwa, spostrzegli jaką groźbą dla przyszłości ich kraju może być stały zastój w rolnictwie.

Nastąpiła całkowita rewizja polityki rolnej. Naturalnie nie miała ona takiego samego znaczenia w samym Związku Sowieckim, gdzie kolektywizacja od dłuższego czasu jest już faktem dokonanym, jak w krajach demokracji ludowej, gdzie sektor prywatny jest jeszcze dość znaczny. W Rosji postanowiono ożywić zapał rolników pozwalając im poświęcać więcej czasu i wysiłku na uprawę działek prywatnych; równocześnie zastosowano energiczne środki w celu polepszenia technicznego zarządu kołchozów i sowchozów i powiększenia powierzchni ziemi uprawnej. W demokracjach ludowych zaś zatrzy-

mano albo zwolniono postęp kolektywizacji (8), powiększono inwestycje, przyznane rolnictwu, zmniejszono obowiązkowe dostawy dla Państwa oraz w znaczny sposób powiększono ceny płacone przez Państwo za te dostawy, przywracając w pewnej mierze wolność handlu produktami rolnymi. Jednocześnie powiększono przyznany chłopom przydział artykułów codziennego użytku.

Zarówno bojowi komuniści jak i ,,masy'' uważają nową politykę za tymczasową taktykę, co naturalnie znacznie pomniejsza jej skuteczność. Tu i ówdzie bojowi robotnicy okazali pewną nieufność wobec zastosowanych środków, twierdząc, że w konsekwencji mogą one wzmocnić element kułacki i tak zwanych ,,kapitalistów'' wiejskich. W istocie religijna wiara w wielką kolektywną eksploatację wpływa bardzo osłabiająco na ustalenie prawidłowej linii politycznej. Posuwając bowiem naprzód kolektywizację i uciskając wolnych chłopów komuniści dezorganizują rolnictwo, a tym samym podstawy uprzemysłowienia, które jest pierwszym punktem ich *credo*. Z drugiej strony, jeżeli zmuszeni koniecznością ekonomiczną, decydują się na zachęcanie indywidualnych gospodarstw do większej produkcji — polepszają być może sytuację żywnościową, ale stwarzają dla siebie samych polityczne niebezpieczeństwo. Każdy chłop ,,średniak'' czy biedny, któremu się uda, automatycznie zmienia się w ,,kułaka'' i przez samo swoje istnienie, przez swój dostatek, zadaje kłam komunistycznej tezie, głoszącej *absolutną* wyższość *wielkiej* zbiorowej eksploatacji. Strach przed tym zaprzeczeniem jest dla komunistów największą przeszkodą przed wprowadzeniem taktyki, która byłaby może naprawdę wydajna, gdyby była szczera. Zresztą mamy prawo postawić pytanie, czy prawdziwe powodzenie komunistów w krajach Europy Wschodniej w tej dziedzinie, nie dotknęłoby zbytnio uczuciowości kierowników sowieckich, którzy — na ogół — nie lubią gdy ktoś robi cokolwiek lepiej niż oni! Gdyż teoretycznie myśl o niebezpieczeństwie, jakie mógłby przedstawiać dla komunistów niezsocjalizowany, pełen sił żywotnych sektor rolniczy, wydaje się nieco przesadzona przy takiej budowie ekonomicznej gdzie cały przemysł, banki, transport i wszystkie kluczowe pozycje ekonomiczne znajdują się pod kontrolą państwa.

(8) Obietnica, uczyniona w lipcu 1953 roku przez premiera Imre Nagy, upoważniająca przymusowo skolektywizowanych chłopów do opuszczenia ,,kooperatyw'' — spowodowała na Węgrzech w ciągu lata, poważne kłopoty. Cały system kooperatyw groził załamaniem się gdyż chłopi masowo opowiadali się za ich rozwiązaniem. Partia i policja musiały energicznie interweniować, aby zapobiec anarchii. W sumie 90% skolektywizowanych chłopów zatrzymano w kooperatywach.

BŁĘDY PLANOWANIA

Kierownicy komunistyczni krajów Europy Wschodniej przyznali się ponadto, po śmierci Stalina, do drugiego błędu, którym było podjęcie się zbyt ambitnych planów rozwoju przemysłowego. Przede wszystkim na Węgrzech i w Czechosłowacji zarysowała się coraz bardziej wzrastająca dysproporcja pomiędzy potrzebami ciężkiego przemysłu a zdolnością produkcyjną kopalni i przemysłu energetycznego. Te nowe trudności dodane do braku środków żywnościowych i produktów pierwszej potrzeby spowodowały znaczny spadek aktywności gospodarczej. Projekty wielkich inwestycji, przekraczające realne możliwości dezorganizowały coraz bardziej bieżącą produkcję. Środki przedsięwzięte w celu gwałtownego powiększenia wydajności pewnych gałęzi przemysłu odniosły skutek wprost przeciwny — mianowicie spadek produkcji.

Wydaje się, że ,,planowanie'' na modłę sowiecką kryje w sobie silną dozę dyletantyzmu i błądzenia po omacku. Zresztą im bardziej dana struktura ekonomiczna jest rozwinięta, tym bardziej staje się skomplikowana i gorzej znosi brutalne, jednostronne i małoprzewidujące zarządzenia. Tak pojęte planowanie zamiast zmobilizować i racjonalnie zużytkować wszystkie siły, kończy się marnotrawstwem. Węgry, Czechosłowacja i Rumunia zapłaciły bardzo wysoką cenę za ,,pomoc techniczną'' niesioną przez niektórych sowieckich ekspertów, którzy uważali za swój obowiązek *a priori* odrzucić każdą uwagę podyktowaną rozsądkiem, uważając ją za oznakę ,,burżuazyjnego oportunizmu''. Eksperci ci, chcący ,,zreorganizować'' całość życia ekonomicznego w jedną, dobrze urządzoną całość, nie mogli nawet nadać równego i skoordynowanego rytmu pracy poszczególnym przedsiębiorstwom. Prasa krajów Europy Wschodniej przynosiła każdego dnia przykłady świadczące o kolejnych etapach zapału i depresji, jakie charakteryzowały życie w fabrykach i w wyniku doprowadzały do wyniszczenia ludzi, wzrostu ceny kosztu i pogorszaniu się jakości produkcji.

Powyższe błędy nie miały w sobie nic przypadkowego. Ich tłem była zależność gospodarki w krajach satelickich od Związku Sowieckiego oraz mentalność, która chętnie podporządkowuje względy ekonomiczne względom doktrynalnym. ,,Gigantyzm'' i pośpiech to dwie pokusy, którym bolszewicy najłatwiej ulegają . Tam gdzie są panami nic i nikt nie może zahamować kosztownych i z góry skazanych na niepowodzenie doświadczeń, ,,masy'' zaś bez możliwości ucieczki poddane są wszystkim konsekwencjom wyolbrzymionych planów. To jest jedna z lekcyj, jaką można wyciągnąć z historii lat 1951-1953 w demokracjach ludowych. Być może że powodem nie jest gospodarka planowana, ale specjalne metody planowania, które mylnie chciano wprowadzić do Europy Wschodniej.

Niewątpliwie Rosjanie zyskaliby sobie o wiele więcej przyjaciół w krajach Europy Wschodniej, gdyby nie wymagali od ekonomistów tych krajów uniżonego kopiowania systemu planowania, którego największy błąd leży w *przesadnej centralizacji*. Ażeby plany rozwoju mogły stać się naprawdę sprawą narodową, mogącą pociągnąć cały naród a szczególnie młodzież, muszą wyrastać ,,z dołu'' na szczeblu poszczególnych przedsiębiorstw przemysłowych; trzeba o nie rzeczywiście zaczepić związki zawodowe a nie uważać je jedynie za narzędzia decyzyj, powziętych poza nimi. Zresztą, w Czechosłowacji, na początku 1954 roku dało się zauważyć trwożliwe próby w tym kierunku. Nic bowiem nie jest bardziej w tej chwili potępiane w demokracjach ludowych jak ,,pogarda mas'' i ,,skostnienie biurokratyczne'', które cechowały cztery lata planowania...

DEMOKRACJA LUDOWA I ,,NOWE KLASY RZĄDZĄCE''

Demokrację ludową przedstawia się jako specjalną formę dyktatury proletariatu, realizowaną bez rozlewu krwi, ale w rzeczywistości proletariat, jako klasa zorganizowana, nie ma w niej żadnej realnej władzy. Niewątpliwie uzyskał on znaczne korzyści, jak na przykład rozszerzenie systemu świadczeń społecznych, płatne urlopy , dla wielu możliwość wybicia się w hierarchii społecznej i zapewnienia dzieciom lepszego wykształcenia. O ile poziom życia robotników wykwalifikowanych stosunkowo obniżył się, to w przeciwieństwie najbardziej upośledzone warstwy proletariatu wzniosły się na wyższy szczebel. Bezrobocie w przemyśle znikło i istnieje tylko gdzie niegdzie w formie szczątkowej. Nadmiar ludności wiejskiej został w wielkiej części zabsorbowany. Podjęty przez rządy komunistyczne wysiłek uprzemysłowienia znacznie, a często nawet nadmiernie, powiększył szeregi urzędników i stworzył z klasy robotniczej czynnik decydujący w życiu narodowym. Oficjalna propaganda zmierza — w interesie samej produkcji — do wzmocnienia uczucia godności i odpowiedzialności klasy robotniczej. Ale ta tendencja, sama w sobie chwalebna, neutralizowana jest przez totalitarne środki, pozbawiające robotników ich reprezentatywnych organizacji i zmieniające syndykaty robotnicze w rządowe agencje propagandy i policji przemysłowej. Myślę, podobnie jak Aneurin Bevan, że na dłuższą metę jest niemożliwe ,,uczyć robotników tysiąca i jednej czynności, niezbędnych w nowoczesnym przemyśle'' żądając od nich ,,posłuszeństwa politycznego''. Wydaje się że *najsilniejszym dążeniem objawiającym się w życiu demokracji ludowych jest pragnienie uwolnienia syndykatów spod dominującego wpływu partii i rządu.*

Można by porównać państwo komunistyczne do ucznia czarodziejskiego, który wyzwolił złe moce i następnie stracił nad nimi panowanie. Przyspieszając bowiem — w interesie uprzemy-

słowienia — rozwój poziomu technicznego społeczeństwa, rządy komunistyczne przyczyniają się do stworzenia wielkiej warstwy wykwalifikowanych robotników i specjalistów żądnych postępu, który znowu hamują zbyt sztywne kadry dyktatury totalitarnej. Zainteresowanie w wytwórczości jakie ujawniają technicy i szefowie przedsiębiorstw kłóci się ze zbyt centralistycznym, biurokratycznym i policyjnym charakterem systemu. Podwyższenie indywidualnej wydajności wymaga rozwoju ścisłej umysłowości, myśli krytycznej i inicjatywy, które mogą istnieć jedynie w klimacie bardziej swobodnym, w którym dyscyplina społeczna wynika w pierwszym rzędzie ze spontaniczności i zrozumienia.

Komuniści, w mieszaninie terroru i sztucznego entuzjazmu, w kolejnym podwyższaniu kar i nagród, usiłują znaleźć czynnik zastępczy dla atmosfery wolności. Ta namiastka, aczkolwiek daje pewne rezultaty, nie rozwiązuje jednak problemu. Prawdziwe niebezpieczeństwo, które zagraża trwałości tych nowych dyktatur wypływa nie z opozycji dawnych klas rządzących, właścicieli ziemskich i wyzutej z majątku burżuazji, nadejść może ono ze strony ,,nowych, dźwigających się wzwyż, klas społecznych'', których potęga wzrasta z samego faktu działalności reżimu. Niebezpieczeństwo zagraża ze strony nowej ,,inteligencji technicznej'', która zasmakowała w planowanej produkcji i chce się uwolnić z więzów dyletanckiej biurokracji; chłopi czy to zgrupowani w spółdzielniach produkcyjnych, czy pracujący indywidualnie są w opozycji do bezdusznych urzędników; coraz więcej niezdyscyplinowanych robotników broni się przy pomocy wędrówek, absenteizmu, różnych oszustw a nawet poprzez dorywcze strajki przeciwko dyscyplinie i normom pracy, które uważają za nadmierne i nieproporcjonalne do ich zarobków. Niebezpieczeństwo grozi także ze strony walczących komunistów, którzy odkrywają sprzeczności pomiędzy wpojonymi w nich zasadami, a rzeczywistością społeczną. To właśnie ci — jak się wydaje — robotnicy komunistyczni spalili w czerwcu 1953 na wielkim placu w Pilźnie, kukły Gottwalda i Stalina.

Nie należy jednak zapominać, że — jak to widać na przykładzie Związku Sowieckiego — Państwo i Partia mogą bardzo długo przeciwstawiać się ,,wyzwaniu'' rzuconemu przez wszystkie moce, udoskonalając mechanizm czystek, samokrytyki, nadzoru, a jednocześnie robiąc od czasu do czasu ustępstwa to na rzecz chłopów, to klasy robotniczej, czy inteligencji. ,,Nowy kierunek'' odnawia starą taktykę przywłaszczania sobie idej przeciwnika i realizowania swego programu poprzez jego wynaturzenie. Ale te ustępstwa dowodzą jednocześnie istnienia presji sił ludowych przeciwko dyktaturze.

Rozdźwięk pomiędzy kierownictwem komunistycznym w krajach Europy Wschodniej a ludnością wyraża się w ,,braku czy utracie kontaktu z masami'' o czym często z rozżaleniem donoszą oficjalne organy partii w Budapeszcie, Pradze czy Warszawie. W rzeczywistości żąda się od przywódców aby wyjaśniali swemu

otoczeniu projekty rządu i zachęcali je do zachwytów nad najwyższymi zarządzeniami. Zadanie to bardzo niewdzięczne, zwłaszcza gdy dotyczy środków niepopularnych. Jest bardzo trudno „odzyskać kontakt" zerwany w okresie trudnych lat w chwili gdy rząd skłania się do odprężenia. Jaki stopień osiągnęła nieufność pomiędzy masami i komunistami wskazuje najlepiej zarzut głównego redaktora dziennika „Szabad Nép", z dnia 4 marca 1954, wysunięty wobec organizacji partyjnych, że „zamknęły się w sobie" zamiast nieść masom „dobrą nowinę" nowej polityki rządowej. Narzeka się również często na młodzież która coraz bardziej przestaje się interesować zebraniami politycznymi. Odczuwa się coraz większe zmęczenie propagandą mimo jej coraz to nowych tematów i pokazowych czynności. Robotnicy i urzędnicy opuszczają zebrania szukając odpoczynku w życiu prywatnym.

Duchowa izolacja, do jakiej prowadzi komunistów w krajach Europy Wschodniej posłuszeństwo Kremlowi i doktrynalna sztywność, narzucane przez tę zależność, wyraża się także w ich niezdolności do stworzenia nowej kultury. Z jednej strony widzi się dostęp do kultury szeroko otwarty oraz masowe powiększenie się środków jej rozprzestrzeniania, z drugiej — artystów, myślicieli i literatów w szponach sztywnego dogmatyzmu, który paraliżuje ich spontaniczność. Na tym odcinku „nowa orientacja" przyniosła pewne odprężenie, nie uwalniając jednak naprawdę umysłów. W roku 1954 odrzuca się jako „schematyczny" sztuczny optymizm, który był ogólną regułą w latach poprzednich i który zmierzał do wychwalania bez granic twórczych zalet zawsze nieomylnej partii. Od chwili jednak gdy Malenkow przywrócił do łask satyrę i wyraził życzenie zobaczenia „nowych Gogolów", sztuczny optymizm ustąpił miejsca bardziej umiarkowanemu entuzjazmowi, zawierającemu już w sobie pewną dozę rzeczowej krytyki (9). Znowu można się śmiać; czasem można nawet płakać i mówić o miłości i kwiatach bez żadnego związku z pilnymi zadaniami narodowej gospodarki. Zabawy i tańce są dozwolone na zebraniach młodzieży, ale wszystko to dzieje się w granicach zakreślonych przez doktrynerów partii, co tłumaczy zarówno skrępowanie twórców jak i publiczności.

Nie brak więc w łonie nowych reżimów ani powodów do konfliktu, ani wewnętrznych sprzeczności, podczas gdy opozycja społeczna jest ciągle dopingowana urazami na tle narodowym i religijnym. Rosja, zwalczając to co nazywa „burżuazyjnym szowinizmem", prześladuje w rzeczywistości instynkt patriotyczny narodów zamieszkujących Europę Wschodnią i ich bunt przeciwko obcemu panowaniu. Zamiast eliminować nacjonalizm stawia mu się sztuczne tamy. Tak samo jest z religią:

(9) W „Gazette littéraire", wychodzącej w Budapeszcie, pisarz Bela Illes, dawny pułkownik armii sowieckiej, sprecyzował, że ta „dawka" krytyki nie powinna nigdy przekroczyć 10% całości danej pracy.

zwalczając ultramontanizm kleru, pragnąc przekształcić biskupów i księży w pomocników oficjalnej propagandy, komuniści doprowadzili do wzrostu autorytetu Kościoła, który dla wielu ludzi, nawet nie praktykujących, wydaje się ostatnim szańcem wolności sumienia.

Nawet więc zakładając utrzymanie się międzynarodowego *status quo* nie można uważać obecnej struktury demokracji ludowych za ostateczną. Ale, o ile dobrze widać *przeciwko* czemu skierowana jest dążność społeczeństw, nie rozróżnia się jeszcze pozytywnego sensu ewolucji. Wszystko co można powiedzieć, to to, że ewolucja ta zmierza do wyzwolenia żywotnych sił społecznych, do pewnej formy demokracji, różniącej się od demokracji parlamentarnej, której podłoże społeczne i gospodarcze jest bardziej niż kiedykolwiek wadliwe.

W tym względzie polityczny rozwój Jugosławii po roku 1949 jest dość pouczający. Chęć komunistycznych przywódców jugosłowiańskich ,,udemokratycznienia'' reżimu — bez przywrócenia systemu partii politycznych — wyraziła się pewną ilością środków, bardziej lub mniej skutecznych, zmierzających do ,,ucywilizowania'' władzy policji, do ustalenia podziału pomiędzy czynnościami Państwa i Partii, do wyposażenia klasy robotniczej w ustawowe środki i w Rady Robotnicze, które by jej pozwoliły bronić się przed zbytnią centralizacją. Jednocześnie większość rolniczych spółdzielni produkcyjnych, ustanowionych pod przymusem, została uprawniona do rozwiązania się. Jest obecnie niezaprzeczalnym faktem, że kierownicy demokracji ludowych zaczęli w latach 1953-1954 *kopiować* środki przedsięwzięte przez Tito w latach 1948-1953, które poprzednio uznali za objawy odradzania się kapitalizmu. ,,Nowa orientacja polityczna'', wprowadzona w 1953 roku, może być określona jako *,,titoizm bez Tito'',* albo raczej jako ,,titoizm'', nakazany przez Kreml. Z drugiej strony ,,titoizm'', który w swoim założeniu był dążeniem do ,,shumanizowania'' stalinizmu i uczynienia go bardziej strawnym dla Zachodu, również ewoluował. Na początku 1954 roku sprawa Dżilasa ujawniła ostrość problemów jakie stawia ,,demokratyzacja'' tam, gdzie partia komunistyczna zachowuje monopol władzy politycznej. Stosunki pomiędzy tą partią, z natury rzeczy robotniczą i intelektualną i włościaństwem, które się ledwie toleruje, stanowią główne zagadnienie nie tylko dla Jugosławii, ale także dla innych krajów Europy Wschodniej.

Przyszłość tych krajów, jeśli chcielibyśmy ją przewidzieć wychodząc z posiadanych danych, ukazuje się raczej w formie ,,zliberalizowanego *status quo'',* niż jako odnowienie. Ale ta przyszłość będzie mogła przyjąć jakąś bardziej harmonijną formę jedynie wówczas jeżeli opozycja chłopska przeciwko sowieckim formom socjalizmu nie przyjmie postawy czysto reakcyjnej, albo jeżeli stanie się możliwy jakiś sojusz, jakieś realne porozumienie pomiędzy socjalistycznymi robotnikami i wolnymi chłopami. Obecna sytuacja ma w sobie także zarodek najbardziej gwałtownej walki klas (aby nie mówić o walkach narodowych). Gdyby

do tego doszło wojsko mogłoby odegrać rolę arbitra i drzwi byłyby otwarte dla nowej interwencji zagranicznej, co mogłoby na nowo odtworzyć reżimy ,,autorytatywne".

PRZYSZŁOŚĆ DEMOKRACYJ LUDOWYCH I KONIUNKTURA MIĘDZYNARODOWA

Akcja ,,demokratyzująca", płynąca z nowych sił i dążeń społecznych, niewątpliwie da się odczuć w organizacji politycznej krajów komunistycznych jedynie w takim wypadku, jeżeli sytuacja nie ulegnie zmianie pod wpływem czynników zewnętrznych. Najbliższa przyszłość Europy Wschodniej ukształtuje się mniej pod wpływem własnego rozwoju wewnętrznego niż jako funkcja rozwoju samego Związku Sowieckiego (widzieliśmy to już po śmierci Stalina) oraz rozwoju stosunków pomiędzy Związkiem Sowieckim a Blokiem Atlantyckim. Pewne odprężenie w tych stosunkach daje się zauważyć od marca 1954 roku. Konferencja berlińska, styczeń-luty 1954, zaznaczyła się podjęciem rozmów pomiędzy Zachodem i Wschodem, które nastąpiło po pięcioletnim zerwaniu. Wykazała ona również — przynajmniej w odniesieniu do losu Niemiec i Europy Wschodniej — że stanowiska obu stron bynajmniej się nie zmieniły. Ani jedna, ani druga strona nie wysunęła żadnego nowego rozwiązania. Przeciwnie, można było stwierdzić, że przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, niedawno energiczny herold doktryny ,,odepchnięcia", nie skorzystał z okazji przedstawienia jasno na konferencji problemu uwolnienia demokracji ludowych Europy. Ostrożność Sekretarza Stanu tłumaczy się, być może, dokonanym ostatnio przez Rosjan postępem nad badaniami atomowymi, oraz trudnościami na jakie natrafiają Stany Zjednoczone przy realizacji wspólnoty obrony europejskiej.

A tymczasem świadectwa tysięcy uchodźców, potwierdzone przez obserwatorów, zgodne są w stwierdzeniu, że szerokie warstwy społeczeństwa w krajach Europy Wschodniej, obejmujące nie tylko wydziedziczone dziś, a dawniej kierownicze klasy, ale robotników, chłopów i pracowników intelektualnych pokładają nadzieję w działaniu mocarstw zachodnich, jedynie zdolnych do wyzwolenia ich z sytuacji, która wydaje im się nie do zniesienia. Wielkie rozgłośnie Zachodu: Głos Ameryki, Radio Wolnej Europy, B.B.C. i Radio Watykańskie, których audycje przebijają żelazną kurtynę, podtrzymują te nadzieje i namawiają do oporu. Oficjalne osobistości świata zachodniego, a specjalnie Stanów Zjednoczonych, nie przestają wygłaszać deklaracji, w których wyrażają pragnienie, żeby kraje Europy Wschodniej uwolniły się same. I to nie są jedynie tylko deklaracje. Prezydent Truman podpisał w październiku 1951 roku dekret, przewidujący kredyt 100 milionów dolarów rocznie, przeznaczony na udzielenie pomocy zarówno działaniu emigrantów, jak rów-

nież ruchom oporu, które organizują się wewnątrz bloku sowieckiego. Stany Zjednoczone opierają się przede wszystkim na politycznych partiach emigracyjnych, w łonie których przedstawiciele dawnych klas rządzących: arystokracji, burżuazji, wysokich urzędników państwowych, wojskowych i dwójkarzy — odgrywają rolę dominującą z uszczerbkiem dla socjalistów, syndykalistów i ludowców, których wpływ jest bardzo ograniczony. Ta sytuacja uległa jeszcze pogorszeniu po dojściu do władzy w Stanach Zjednoczonych partii Republikańskiej. Jest znakiem czasów, że czechosłowaccy mężowie stanu jak Hubert Ripka czy Zenkl, którzy schronili się w Stanach Zjednoczonych, byli wezwani przed Komisję Badawczą Senatu dla Spraw Bezpieczeństwa w celu odpowiedzenia na zarzuty „pro-komunizmu", postawione im przez kilka klerykalno-prawicowych dzienników czeskich z Chicago i przez ośrodki słowackich separatystów oraz Niemców sudeckich związanych z maccartyzmem. Cel tej kampanii oszczerstw, rozpoczętej przeciwko liberalnym politykom był jasny: zdyskredytować w oczach opinii uchodźców, którzy broniąc zasad Tomasza Masaryka przeciwstawili się polityce, która — zgodnie z określeniem zamieszczonym w liście jaki w tej kwestii napisał do mnie p. Ripka — „skończyłaby się zastąpieniem sowieckiej okupacji w krajach Europy Wschodniej przez nową okupację niemiecką".

Hubert Ripka nie był jedynym, który dojrzał niebezpieczeństwo jakie mogłoby stworzyć dla Wschodu Europy odrodzenie się niemieckiej siły militarnej. Mimo, że byłaby ona, jakoby, skierowana głównie przeciwko Związkowi Sowieckiemu, tym niemniej groziłaby pochłonięciem na nowo obszaru leżącego między Niemcami a Rosją. Zresztą odczuwa się obecnie wpływ niemiecki na życie polityczne emigracyj z krajów Europy Wschodniej. I tak na przykład Tibor Eckhardt, jeden z przywódców prawego skrzydła emigracji węgierskiej, odrzucił propozycję współpracy polsko-węgierskiej, uczynioną mu w roku 1953 przez Rowmunda Piłsudskiego, jednego z leaderów polskich na wygnaniu — motywując swoją odmowę rozbieżnościami w sprawach terytorialnych jakie wyrosną pomiędzy wolną Polską a zjednoczonymi Niemcami, a w których Węgry (według Eckhardta) nie mogłyby stanąć po stronie Polski. Z drugiej strony Hubert Ripka, poparty przez socjalistów i liberałów, rekrutujących się spośród uchodźców wielu krajów Europy Wschodniej, opracował projekt federacji Europy Środkowej, której celem byłaby obrona krajów Europy Wschodniej *„zarówno przed niebezpieczeństwem niemieckim jak i rosyjskim"* (10).

Jeśli idzie o punkt dotyczący Niemiec, opinia elementów patriotycznych emigracji, która odzwierciadla bez wątpienia troski opozycji *wewnętrznej* — nie zawsze zgadza się z poglądami kierowników krajów zachodnich, w których znaleźli schronienie. Należy sobie jednak życzyć, aby szlachetnie udzielone prawo

(10) Hubert Ripka: „A Federation of Central Europe", New York 1953.

azylu nie było tłumaczone jako pociągające za sobą obowiązek uchodźców uwikłania przyszłości ich krajów w tryby interesów, które nie są interesami ich krajów.

TAK SIĘ DZIEJE W EUROPIE...

W styczniu 1952 roku, podczas zwołanego do Londynu Kongresu uchodźców z Europy Środkowej i Wschodniej, ,,Economist'' użalał się, że ,,nieznane są zupełnie rzeczywiste cele dyplomacji zachodniej w stosunku do Europy Wschodniej, ani środki jakimi je chce realizować''. Z drugiej strony, w swojej zrozumiałej, jeśli nie wybaczalnej niecierpliwości, wielu emigrantów myśli tak, jak to powiedział jeden z nich na tymże kongresie: *Za dużo mówi się o pokoju.*

Możliwość wojny nie jest całkowicie wykluczona. Ale mniej się o niej myśli w roku 1954 niż w 1952. Wojna Koreańska nie skończyła się ogólną pożogą; wojna w Indochinach może skończyć się tak samo w konsekwencji konferencji Genewskiej; fronty ,,zimnej wojny'' stabilizują się. Rosjanie, a być może i Chińczycy, są, jak się wydaje, zdecydowani wstrzymać się od nowego marszu naprzód, mogącego sprowokować zbrojny konflikt. A jeżeli jest nieprawdopodobne aby Związek Sowiecki rozpoczął wojnę, w jakiż sposób może ona wybuchnąć? Myśl krucjaty w celu odrzucenia komunizmu chińsko-sowieckiego w celu definitywnego zniszczenia go, nie dojrzała w świecie zachodnim. Często mówi się: demokracja nie jest systemem politycznym sprzyjającym idei wojen prewencyjnych czy ideologicznych. Zresztą, dla tych którzy znają sytuację na Zachodzie jest zupełnie jasne, że Zachód, podczas najbliższych lat, będzie zbyt zajęty wewnętrzną konsolidacją, aby myśleć o załatwieniu ostatecznych porachunków, o jakimś *show-dawn* — jak to mówią Amerykanie — z komunizmem sowieckim czy chińskim. Zachodowi idzie przede wszystkim o to aby środkami zarówno gospodarczymi jak i społecznymi podciąć grunt propagandzie komunistycznej we Francji, Włoszech, w Afryce Północnej, na Bliskim Wschodzie i południowym-wschodzie Azji. Czyż nie byłoby absurdem z jego strony budować ambitne plany ,,Odrzucenia'' podczas gdy komunizm, to żniwo poronionych reform, szerzy się w ich własnym domu,

A jeżeli tak jest w istocie, to czy należy stracić nadzieję na polepszenie się losu Europy Wschodniej, przynajmniej w najbliższej przyszłości? Choć mogę być uznany za utopistę twierdzę, że nie należy wykluczyć ewentualności uwolnienia drogą negocjacji. W istocie Zachód, jeżeli nie skapituluje, jeżeli sprecyzuje swoją politykę, swoje cele i środki — ma zawsze atuty do wygrania, inaczej mówiąc do uzyskania ustępstw ze strony Związku Sowieckiego. Ten ostatni co prawda okazał się na konferencji berlińskiej, niewzruszony. Plan bezpieczeństwa, przedstawiony

przez Mołotowa miał na celu utrzymanie europejskiego *status quo*, to jest podziału Europy poprzez wykluczenie jakichkolwiek wpływów amerykańskich. Zamiast więc zwrócenia wolności krajom Europy Wschodniej, włączonych w sferę wpływów sowieckich, plan Mołotowa zmierza w konsekwencji do podporządkowania tymże wpływom również krajów Europy Zachodniej. Ale jest oczywiste, że zgodnie ze swymi zwyczajami, dyplomacja sowiecka przedłożyła ten plan jedynie jako punkt wyjścia do ewentualnych rozmów. Dopóki to nie nastąpi Zachód trzyma ciągle Niemcy Zachodnie a Stany Zjednoczone w dalszym ciągu tworzą na granicach bloku sowieckiego potężne bazy strategiczne, które nie bez racji niepokoją kierowników Kremla. *Z punktu widzenia historycznego i strategicznego włączenie Europy Wschodniej w sferę wpływów sowieckich jest w rzeczywistym związku z budową baz w Turcji, Grecji, Zachodnich Niemczech, etc.*

Wyraziłem już pogląd, że Związek Sowiecki podporządkując sobie kraje pograniczne więcej stracił niż zyskał dla swego bezpieczeństwa. Oto jest w tej chwili otoczony siecią baz strategicznych o wiele potężniejszą niż był nią dawny „cordon sanitaire", którego odbudowy tak bał się w roku 1945. Z drugiej strony dopóki trwa sowietyzacja Europy Wschodniej współpraca pomiędzy Związkiem Sowieckim a Europą Zachodnią słusznie nie wykroczy poza pewne, bardzo wąskie granice.

Nie brak więc elementów do „przetargu". Rozmowy są możliwe nawet na temat Niemiec, będących kluczem sklepienia przyszłości Europy Wschodniej i Środkowej. Ale ich warunkiem jest bardziej skrystalizowana świadomość ze strony europejskiej.

Po zniszczeniu połowy Europy po trochu zaczyna się zauwa-ważać, że jest ona nie do zastąpienia. Widząc ją pod obuchem obcych praw, budowaną przez obce jej z ducha ideologie (sowiecką i amerykańską), można sobie lepiej zdać sprawę z tego co jest w Europie szczególnego, co tworzy jej jedność, jej solidarność i wielkość mimo tylu różnic ras, religii i prądów. Chęć rozczłonkowania Europy nikomu nie przyniosła szczęścia. Już Montesquieu pisał, że „w Europie już tak jest, że wszystkie państwa wzajemnie od siebie zależą. Francji tak samo potrzebne jest bogactwo Polski czy Moskwy, jak Guyenne potrzebna jest Bretania a Bretanii Anjou. Europa jest państwem złożonym z wielu prowincji". Historia ostatnich trzydziestu lat tragicznie potwierdziła te słowa. I nie przestaje ich potwierdzać poprzez następujący paradoks, *par excellence* europejski: Narody Europy Wschodniej, którym Związek Sowiecki narzucił swoje pojęcie socjalizmu, biurokratyczne i terrorystyczne, marzą z taką samą siłą o wolności jak miliony Europejczyków zachodnich, w których oczach Związek Sowiecki jest pierwszym krajem gdzie „oddano sprawiedliwość biednym" — wzdychają do socjalizmu. Robotnik Budapesztu czy Pragi zawiedziony przez okrutne doświadczenia — oczekuje ratunku z Paryża czy Londynu, a w tym samym czasie iluż robotników francuskich, włoskich czy belgij-

skich przerzuca swe marzenia do ziemskiego raju, do kraju Wschodu, gdzie zniknął kapitalizm! Ten osobliwy krzyżowy ogień sprzecznych dążeń i przeciwstawnych mitów jest nie tyl nowym objawieniem tego co Hegel nazwał „ironią uniwersalnego umysłu". Wskazuje również drogę do jedności europejskiej poprzez syntezę socjalizmu i wolności, sprawiedliwości i demokracji — syntezę, która jest prawdziwym orędziem, obietnicą i nadzieją Europy.

François FEJTÖ

(Tłumaczyła z francuskiego Zofia HERTZ)

Scylle i Charybdy ukraińskiej poezji

I.

„Francja — to klasycyzm!", wołał niegdyś w najwyższym uniesieniu Charles Maurras. „Klasycyzm — to twoja droga, Ukraino" — pisał w tym samym czasie Mykoła Zerow, zanim go barbarzyńscy septetrioni wyprawili utartym zwyczajem na Wyspy Sołowieckie, gdzie ukradkiem i aż do śmierci z katorżniczej pracy, wyczerpania, głodu i cyngi przekładał Horacego i Wirgiliusza.

Hasło w zasadzie takie same, ale jakie olbrzymie dysproporcje! Maurras apoteozował klasycyzm, ponieważ widział w nim dziejową dumę i zarazem misję starej, tradycyjnej Francji, jej namacalną rzeczywistość i spełnienie przeznaczeń. Dla Zerowa klasycyzm miał być odtrutką na rozkładowe wpływy Moskwy, na wampira stepowej przeszłości, wysysającego krew i mózg ukraińskiego narodu, gwarancją uzyskania niepodległości i niezakwestionowaną legitymacją powrotu do kultury zachodniej.

Plastyczny kształt, poddany jasnym liniom,
w metalu kuty zarys, zwarty styl —
oto jest twoja droga, Ukraino...

Brzmiało to na pozór, zwłaszcza w ustach szczerego wielbiciela i świetnego tłumacza Heredii i Leconte de Lisle'a, jako niewinny manifest poetycki, coś jakby kijowskie echo gautierowskiego wiersza w wersji Miriama:

...i by swobodnym był krok twój,
na nogi
obcisły koturn lekko wzuj!

Ale w ówczesnych warunkach Zerow, rzecz prosta, nie mógł ograniczać się do poezji tylko. Hermetyczna, zwarta, oszczędna forma sonetu była dlań całym programem narodowym i politycznym. Energicznym odcięciem się od malowniczych hajdawerów z saroczyńskiego jarmarku i od monotonnego śpiewu bandu-

rzystów. Banicją, wydaną zarówno na epileptyczną dostojewszczyznę, jak i czumacko-małorosyjski romantyzm. Skuteczną szczepionką przeciw dżumie wichrów eurazjatyckich. Wskazaniem kierunku *ad fontes* cywilizacji śródziemnomorskiej i zachodnio-europejskiej. A nade wszystko odważnym aż do prowokacji odrzuceniem słynnej teorii ,,inżynierów dusz'', pomnożonej przez marksizm i elektryczność. Sonet stawał się w rękach tego skromnego profesora filologii klasycznej czternastostrzałową bronią, wymierzoną przeciw panowaniu Moskwy w Złotym Kijowie. Toteż czujni opiekunowie ,,młodszego brata'' bardzo szybko to zrozumieli.

Funkcja literatury — i to właśnie w jej społecznym i politycznym aspekcie — przejawia się niekiedy w sposób jak najbardziej niespodziewany. Mogło się wydawać, że klasycyzujący poeta, przekładający Rzymian i Greków, a sam piszący wytrzymane do ostatnich granic technicznej surowości aleksandryny i ,,zimne'', ,,suche'' sonety o Herkulesach i Nauzykach, Astreach i Owidiuszach, stał całkowicie poza jakąkolwiek walką i konfliktami bieżącego dnia. Ukraina ówczesna przechodziła przecież przez ostre zmagania narodowe i społeczne; bliski już był proces ,,Związku Wyzwolenia'', przymusowa kolektywizacja, połączona ze sztucznym głodem, a na terenie literackim pogrom neo-klasyków, zesłanie Mykoły Kulisza i samobójcza śmierć Chwylowego. A jednak Zerow był pisarzem zaangażowanym w całym znaczeniu tego słowa.

Wdzięczna Nauzyka, jasny kwiat Feaków!
Złotym promieniem na ziemię zesłana!
Przed tobą pielgrzym w wędrownych łachmanach
i bezgraniczna przestrzeń morskich szlaków.

Królewskim gestem rozpierzchłą gromadę
służebnic wołasz i strach uspokajasz,
a nimb świetlisty głowę twą przystraja
i wdzięcznie świeci ponad czołem bladym.

A Odysseusz na twarzy się mieni
i już jest gotów pod czarem jej źrenic
zapomnieć bezmiar smutków, trosk i zdrady.

Jasna i prosta, jak żywiąca rosa,
różowym pluskiem cichych mórz Hellady
śmieje się ufnie Piękność złotowłosa.

Wprowadzając artystyczny ład i równowagę marmurowego posągu do rozwichrzonej i cierpiącej na wszelkiego rodzaju przerosty poezji ukraińskiej, kładąc fundamenty surowej dyscypliny na piachu, wciąż podmywanym przez propagitki wojującej majakowszczyzny, a najczęściej po prostu przez wzburzone bałwany partyjnej grafomanii, Zerow działał z pełną świadomo-

ścią. Nie chodziło mu o to, aby współcześni Ukraińcy ,,śmieli się śmiechem Rzymian, płakali łzami Greków'', ale o przeciwstawienie klasycznego ładu stepowej anarchii, zorganizowanej architektury — rozpływającej się w palcach bolszewickiej ,,małorosyjszczyźnie'', tradycyj antycznego artystostwa — kolektywnej użytkowości ,,społecznego zamówienia''. Rekonstruując na papierze ruiny Chersonesu Taurydzkiego, wskazywał Ukrainie drogę do Europy. I być może właśnie ta świadomość wzmogła w nim przyrodzony spokój, jakże lekkomyślnie utożsamiany niekiedy z brakiem większego temperamentu.

Kiedy majowa wstanie noc bezchmurna,
gdy się rozwija kwiat i rosną żyta,
wówczas i ona najczyściej rozkwita,
jako w miniony, stary wiek Saturna.

Spoglądasz: gaje i rozlew spokojny
przypominają tamte lata złote,
gdy tarczą lud nie zbroił się, ni grotem
i spały dzikie a bezsławne wojny.

Aż krew spłynęła w hucznych surm rozgwarze,
stąpają woły pod ciężarem jarzem,
więc z ziemi grzesznej Astrea odlata.
I tylko w niebie dalekim, o wiośnie
gwiazdami srebrzy się jej wiotka szata
i zgody kłos w wzniesionej dłoni rośnie (*).

Spuścizna Zerowa jest bardzo szczupła rozmiarami. Wydany jeszcze za życia zbiorek ,,Kamena'' zawiera poza przekładami, przeważnie mistrzowskimi, garść sonetów i aleksandrynów; na emigracji ukazał się ostatnio ,,Katalepton'', w którym wydawca, brat Zerowa, również poeta i tłumacz, piszący pod pseudonimem Oresta, zebrał całą resztę skąpej twórczości przywódcy kijowskich neoklasyków. Ale wpływ Zerowa na współczesną poezję ukraińską był olbrzymi, działa po dziś dzień i jest utrwalany świadomie przez niektóre odłamy krytyki emigracyjnej. Jak później zobaczymy, nie zawsze z pozytywnymi wynikami.

Krytyka ta nie od dziś grzeszy skrajnością swoich ocen i tez, nic więc dziwnego, że dla jednych Zerow stał się niemal największym poetą ukraińskim XX wieku, dla innych — w ogóle poetą nie jest. Prawda leży, oczywista, pośrodku. Niewątpliwie

(*) W obydwu przekładach tłumacz zgrzeszył dowolnością formalną, mianowicie nie zachował poczwórnych rymów w pierwszych zwrotkach. Przeszkody były nie do pokonania, a mając do wyboru: zachowanie wierności filologicznej i obrazowej, albo odejście zbyt daleko od treści za cenę zachowania rymów oryginału, wybrałem to pierwsze. Wiem zresztą, że sam Zerow byłby wielce zgorszony tak daleko posuniętym liberalizmem.

Zerow był poetą ograniczonym w swoich możliwościach, poetą w pewnym sensie gabinetowym, choć i o tym nie trzeba zapominać, że okna takich gabinetów nierzadko wychodzą na szerokie drogi i że widać z nich dalekie perspektywy. Znał zbyt dobrze swój własny warsztat i nie szukał nowych narzędzi. Jego szklanka mogła być niewielka, ale ,,pił tylko ze swojej szklanki''. Ale w jego, na pierwszy rzut oka beznamiętnych wierszach, ,,przeintelektualizowanych'', jak chcą niektórzy, czujniejsze ucho uchwyci bez trudu przyspieszony rytm owych tragicznych lat, w których rozwijała się twórczość poety aż do zwykłej w sowieckich warunkach katastrofy.

Wysoka w stepie wznosi się mogiła:
ziemskie w niej ziemi oddano opiece.
Tam wieczny sen po dni burzliwych spiece
wreszcie znalazła zniweczona siła.

Lecz czymże śmierć, gdy pieśń rozlewa w żyłach
ognisty napój, blask z wichurą miece
i wolne duchy zwołuje na wiece,
jakimi bujnie stara przeszłość żyła.

Pobożny gościu, na ziem padnij czołem!
Z swej duszy hymny wyśpiewaj wesołe,
choć łza powieki twe i rzęsy klei:

Tam pradziad-Dniepr, stepowych dal rozstajów,
a tutaj góra, szum szerokich gajów
i krzyż, jak symbol męki i nadziei.

Ten poetycko wcale nie najlepszy, pod względem treści wielce wymowny sonet stanowi jeden z nielicznych wyjątków w liryce Zerowa. Głównie przez nadmierną, jak na twórcę tego typu, bezpośredniość i więcej: deklaratywność. Zerow nie musiał pisać o ,,Mogile Szewczenki'', by celnie wyrazić sens swojej epoki. Gdy w jednym z jego aleksandrynów czytelnik trafiał na skargę Owidiusza, rzuconego między barbarzyńskie otoczenie, wiedziano dobrze o co chodzi. Bohdan Krawciw, nie krytyk, ale właśnie poeta, najpełniej scharakteryzował tę cechę Zerowa:

I żal, i ostry ból i trwożnych dni niepokój
tyś umiał wcielić w rytm, nie nagląc swego kroku,
w sonetów zwarty gest, w aleksandrynów ład...

Nie n a g l ą c swego kroku. Inni spieszyli się nadmiernie, potykając się, myląc drogę i tracąc oddech. Większość ich ulegnie zasłużonemu zapomnieniu, podczas gdy nieliczne wiersze Zerowa pozostaną w antologii ukraińskiej poezji. I nie tylko jako świadectwo przebycia ważnego etapu rozwojowego na drodze do ostatecznego wyklarowania własnej osobowości.

II.

Zerow nie był sam. Jeśli neoklasycyzm kijowski związany jest przede wszystkim z jego imieniem, stało się tak dlatego, że był on najbardziej konsekwentny i skoncentrowany w jednym kierunku. Jednak narzucenie liryce ukraińskiej koniecznej dyscypliny, klarowności i wyrazistych konturów było dziełem wielu pisarzy. I tu paść musi przede wszystkim nazwisko Maksyma Rylśkiego, którego sam Zerow, oficjalny przywódca kierunku, nazywał poeta maximus.

Rylśkyj, podobnie jak autor „Kameny", otrzymał staranne wykształcenie klasyczne. Syn ziemianina-chłopomana, który zdecydował się, jak tylu innych na „reukrainizację", przeszedł na prawosławie i ożenił się z wiejską dziewczyną, ale tkwił nadal w kręgu kultury polskiej z wszystkimi jej zachodnimi powiązaniami, Maksym wychował się w atmosferze rozległych zainteresowań literackich i niewątpliwie posiadał wszechstronne oczytanie. Dokładna znajomość starożytnych, bliski kontakt z francuskimi parnasistami, dobrze przetrawione wpływy Mickiewicza i Puszkina ułatwiły mu, a w pewnym sensie i predysponowały do odegrania zasadniczej roli w rozwoju ukraińskiej poezji. Większej niż rola Tyczyny, bo ten po wspaniałym fajerwerku „Słonecznych klarnetów" stoczył się w objęcia partyjnej grafomanii i zaczął parodiować sam siebie; większej niż rola Zerowa, bo ten ani talentem ani zasięgiem nie dorównywał autorowi „Pod gwiazdami jesieni". Podkreśliłem już wysoką kulturę literacką Rylśkiego. Czytelnikowi zachodniemu takie podkreślenie może wydać się najzupełniej zbędne, bo jakże wyobrazić sobie poetę dużej miary, miary bezwzględnie europejskiej, bez literackiej kultury! Ale w kraju takim, jak Ukraina, gdzie życie narodowe jest systematycznie i od lat niszczone, gdzie celowe obniżanie poziomu intelektualnego i artystycznego stanowi zasadniczy punkt realizowanego programu, ważkość bagażu literackiego nabiera zupełnie innych proporcyj. I Zerow posiadał dużą kulturę, ale trąciła ona u niego biblioteczną erudycją; u Rylśkiego jest czymś zrozumiałym samo przez się. Nie ma w nim nic z ludowego etnografizmu, nawet w skali Szewczenki, parafialnego zasklepienia, upartego wieszania poetyckiego garnka na kołku chróścianego płotu od wiśniowego i słowiczego ogrodu. Nie jest przypadkiem, że zarówno Zerow, jak Rylśkyj — i to w jeszcze silniejszym stopniu — świadomie, programowo odeszli od Szewczenki: w studium o poetach słowiańskich, które narobiło wiele hałasu, Rylśkyj wysunął na pierwsze miejsce Puszkina i Mickiewicza; Szewczenko znalazł się zaraz po nich, ale jak gdyby od niechcenia, „dla honoru domu". Złośliwi twierdzili, że Rylśkyj najchętniej zastąpiłby autora „Kobzarza" własnym nazwiskiem. Nie lękajmy się herezji i oświadczmy bez ogródek: ze stanowiska ściśle artystycznego miałby całkowitą rację.

W pogodny dzień wczesnego winobrania
spotkali się. Na mułach dwóch powolnych
zobaczył ją, gdy zaprząg swój pogania,
cała radosny blask i śmiech swawolny.

Więc spytał pannę: Jakich uczuć grzywną
mam płacić, abym poznał twe słodycze?
A ona na to: — Lampkę pal wotywną
Cyprydzie dobrej... I klasnęła biczem

i popędziła z śmiechem zaprząg muli,
aż jeden z nich po sobie uszy stulił,
i złoty pył spod kopyt poszedł gęściej.

A on przeciągnął się, iż wzrok mu mgła przesłania
rozkoszy, i pomyślał: Jakie szczęście
być młodym w dniu wczesnego winobrania!

W tej miniaturze, której nie mógłby niczego zarzucić sam surowy poetycki matematyk, Heredia, ani autor ,,Pieśni Bilitis'' a która sprawia wrażenie odłamka antycznego marmuru, naświetlonego złotym słońcem pogodnej jesieni, jest cały Rylśkyj. Wrażliwość na urodę świata, afirmacja życia, harmonijna pogoda, celność nieomylnie dopasowanego do ekspresji słowa. Jeśli czytelnik polski odniesie inne wrażenie, proszę zapisać całkowitą winę na konto nieudolności tłumacza.

W interesującym artykule o Rylśkym, wydrukowanym w czasopiśmie ,,Kijów'' (Nr 4 — Lipiec-Sierpień 1951), Jewhen Małaniuk oddaje co należne wielkiemu talentowi i poetyckiej sztuce pisarza, ale jednocześnie podkreśla, że zabrakło mu tego wewnętrznego żaru, tego duchowego potencjału, jaki sprawia, że możemy mówić o wielkim poecie. Według Małaniuka Rylśkyj był i pozostał poetą ,,bez problemu''. On sam określił siebie bez reszty, jako ,,mnicha bez Boga i kapłana bez modlitwy''. Rylśkyj odkrzykuje się jak echo na świat i jego zjawiska; tak, Rylśkyj, jak może nikt inny w takiej formie, umie odczuć i wierzbę, co ,,zrzuca srebrne bazie na staw'', i ową Hanusię, co ,,płacze bo już pora''. Można twierdzić, że nie potrafił kochać ani nienawidzieć — d o k o ń c a. I może niezupełnie przypadkowo zjawiło się u Rylśkiego to aż do doskonałości wykończone sformułowanie:

I martwy gniew i miłość nieżyjąca...

,,Maksym Rylśkyj — dodaje Małaniuk — pomimo całego diapazonu swoich możliwości poetyckich, pomimo całego bogactwa tematycznego, pomimo całej potęgi tak wcześnie dojrzałego artystostwa, pozostał poetą niezbyt wielkiego napięcia, indywidualnością o słabym potencjale duchowym''.

Ale motto umieszczone przez Małaniuka przed artykułem, budzi w czytelniku dość energiczne zastrzeżenie w stosunku do

nazbyt już surowych osądów końcowych. „Wiedz, że najciężej na świecie nosić jest serce wyziębłe. Niech już będzie lepiej szalone, spowite w czułość i gniew”. Te wiersze ukazały się w roku 1944, po wszystkich załamaniach i gorzkich kompromisach, po „reedukacji” łagrowej, po stracie przyjaciół, po ustępstwach na rzecz żądań partyjnych. Przyznanie się do klęski — zapewne — ale i pełna świadomość upadku. To nie nasi Tuwimowie i Słonimscy, którzy wrócili dobrowolnie, a po powrocie nie stać ich było nawet na milczenie. W Polsce można jeszcze milczeć. Na Ukrainie nie można — już od dawna. Rylśkyj ma obecnie pięćdziesiąt siedem lat. Gdy otwarta walka z kulturą ukraińską nabrała drastycznego charakteru, miał lat trzydzieści parę. To znaczy, że martwa glina przymusu, któremu można było przeciwstawić jedynie postawę bohaterską (a w tych warunkach postawa bohaterska oznacza śmierć fizyczną), spadła na poetę w okresie dochodzenia do pełni dojrzałości twórczej. Więc nie wolno nam przesądzać niczego. Bowiem człowiek w kajdanach porusza się inaczej niż człowiek wolny.

Polskiego czytelnika poezyj Rylśkiego zainteresować musi zarówno jego pochodzenie, jak intymny stosunek do Mickiewicza. Rylscy byli rodziną ukraińską, całkowicie w ciągu wieków spolonizowaną. Wśród ziemian na prawobrzeżnej Ukrainie było takich rodzin wiele. W okresie ruchu „chłopomańskiego” niejeden stawał się Ukraińcem — Tadeusz Rylski właśnie, Włodzimierz Antonowicz, młodszy Siedlecki — przy czym rola ich w budzeniu świadomości narodowej była poważna, gdyż nadawali oni charakter polityczny wezbranemu nurtowi ludowemu („narodnictwo”). Jak już zanotowałem ojciec Maksyma porzucił katolicyzm i ożenił się z Ukrainką. Stanowiło to akt świadomego wyboru, ale oczywista nie mogło przekreślić psychicznego i kulturalnego spadku. Tym samym Rylśkyj-syn, będąc Ukraińcem, musiał częściowo tkwić w kręgu kultury polskiej. Jego kult Mickiewicza (z czasem nazwie go największym poetą epickim ludzkości) i kongenialny przekład „Pana Tadeusza” świadczą o tym najwymowniej. Pamiętam, w roku 1937 Henryk Józewski zdjął z półki „Pana Tadeusza” w przekładzie Rylśkiego i, pokazując mi, powiedział, wyraźnie wzruszony: „Gdy czytam tę książkę po ukraińsku, czuję się dumny, że jestem Polakiem”. Niewątpliwie, przekład ten był jednym z niematerialnych mostów, zawieszonych między Warszawą i Kijowem. Jednym z mostów, zawieszonych nad przepaścią i coraz bardziej kruszejących.

„Domyślamy się — pisze Małaniuk w cytowanym już artykule — że Mickiewicz Rylśkiego, to przede wszystkim autor „Sonetów Krymskich” i „Pana Tadeusza”. Mickiewicz-romantyk i Mickiewicz-mistyk pozostali dlań, jeśli wolno sądzić, jeśli nie obcy, to obojętni. Logicznie naprasza się jeszcze jeden wniosek, mianowicie, że Mickiewicz Rylśkiego mieścił w sobie bardzo niewiele tego, co popularnie biorąc, składa się na jego „polskość”. W istocie rzeczy był to Mickiewicz, który przekro-

c z y ł granice owej „polskości". Czy to nie krew matki usunęła z psychiki Rylśkiego „mesjanistyczne" elementy mickiewiczowskie?"

Myślę, że Małaniuk poszedł zbyt daleko. Dla Polaków Mickiewicz to przede wszystkim właśnie autor „Pana Tadeusza", ukochanej książki na całe życie (obok „Trylogii"!). „Dziady" stanowiły obowiązkową (i nudną!) lekturę w szkole i poza szkołę nie wychodziły. Gdy się czyta przekład ukraiński mickiewiczowskiej epopei, widać od pierwszej strony, jak bardzo tłumacz cieszy się swoją pracą, jak smakuje — i to nie tylko po artystowsku — każde zdanie, jak bardzo czuje się u s i e b i e wśród kłótliwej szlachty dobrzyńskiej i pod walącymi się stropami zamku Horeszków. Ciekawe — zwraca na to słuszną uwagę Małaniuk — że na twórczości Rylśkiego nie znać najmniejszego wpływu Słowackiego, którego na pewno przecież czytał. Widocznie liryczne uniesienie i mistyczne głębie krzemienieckiego archanioła, który przyznawał się do synostwa „Matki-Ukrainy", mało odpowiadały klasycznie zrównoważonej postawie tłumacza nie tylko „Pana Tadeusza", ale i — nie zapominajmy! — „Orleańskiej Dziewicy" Woltera.

A jednak pod tą równowagą krył się od początku niepokój. Gdy Rylśkyj uciekał od rzeczywistości w egzotykę i antyczną przeszłość, powstawały utwory przesycone słońcem i łagodnym uśmiechem, jak sonet cytowany uprzednio, lub taka reminiscencja lektury Wirgiliusza:

Syn Anchizesa schylił się w ukłonie
i w ślad bogini patrzył: sina przystań
tonęła w słońcu, a w obłoku mglista
postać ginęła w cichym nieboskłonie.

Z złotej pogody cały świat korzystał,
łabędzie stada modliły się do niej,
do tej, co z piennej zrodziła się toni
i rządzi ludźmi, pani wiekuista.

Zamarł Eneusz. Dłoni jej dotykiem
płonęły skronie. A pod wiatrem żwawym
fale goniły się jak konie dzikie,

na grzbietach swych trojańskie niosąc nawy,
i dwa spojrzenia — przyjazne i wrogie —
patrzyły na nie za niebiańskim progiem.

Ale kiedy indziej tragiczna rzeczywistość wdzierała się w opanowane ścisłym rygorem strofy i „żądała odpowiedzi" od artysty, rozmiłowanego w harmonii i odgradzającego się światem grecko-rzymskich bogów od powszedniej ohydy niewolniczego bytowania.

I znowu Sfinks i żąda odpowiedzi.
Stepami pełznie żmij żelaznostopy.
Chytrym przemysłem Dedalowy dziedzic
jak ptak wylata pod niebieskie stropy.

Idziesz, człowieku. Skry z pochodni sypiesz.
Lecz coraz głębsza stoi mgła nad światem.
Czyliż i tobie, nowych dni Edypie,
ślepą wędrówkę wyznaczyło Fatum?!

Fatum nie oślepiło poety, ale za jego własną zgodą zawiązało mu oczy i kłamstwem oniemiło usta. Za cenę życia. I, co gorsze, za cenę śmierci artystycznej. Ale, pokażcie mi, ilu jest na Zachodzie pisarzy i artystów, którzy mieliby prawo rzucić w Rylśkiego kamieniem!

III.

Klasycyzm nie stanowił narzuconej mody literackiej, lecz wynikł z logicznego rozwoju pewnych tendencyj, zaznaczających się wyraźnie na całej przestrzeni dziejów ukraińskich. Jego zjawienie się było przygotowane znacznie solidniej, niż narodziny impresjonizmu, czy symbolizmu, nie mówiąc już o futuryźmie. Kijowscy neo-klasycy nie stanowili ,,szkoły'' poetyckiej w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ani nawet pretendowali do tej nazwy. Zresztą Jurij Kłen (Oswald Bukhardt) wyraźnie wyłamuje się z granic ,,neo-klasycyzmu''. Fyłypowycz i Draj-Chmara zostali aresztowani i zesłani w okresie dochodzenia do krystalizacji twórczej, a puścizna, przez nich pozostawiona, jest bardzo szczupła.

Tych dwóch zniszczono fizycznie, podobnie jak Zerowa; jedyny Kłen zdołał wydostać się zagranicę; Rylśkyj załamał się. A jednak warsztat poetycki autora ,,Przez burzę i śnieg'' nie uległ całkowitemu zniszczeniu, choć zaczął służyć celom, nie mającym nic wspólnego ze sztuką. Bagaż kulturalny i samowiedza artystyczna ochroniły jego literacki okręt od definitywnej katastrofy. Nie uniknął jej Pawło Tyczyna, który zapowiadał się jako poeta genialny, a przynajmniej, jak słusznie określa Małaniuk, ,,graniczący z genialnością'' a po kilku zaledwie latach stoczył się w objęcia skrajnej grafomanii. W przeciwieństwie do Rylśkiego, zabrakło mu fundamentu tradycji kulturalnej, kontroli intelektualnej (*), a zatem gdy poddał się fizycznemu gwałtowi,

(*) Ze zdziwieniem czytałem opinie niektórych krytyków, którzy Tyczynę uważają za ,,wysoce intelektualnego poetę''. Właśnie trudno o przykład poezji bardziej samorodnej i spontanicznej, a jednocześnie w tak dużym stopniu pozbawionej hierarchii środków artystycznych i wyrobienia myślowego. Tyczyna wszedł do literatury, jak nikt przed nim ani po nim. ,,Słoneczne klarnety'' są arcydziełem muzyczności, tak swoiście ukraińskiej, że powiedzenie, iż ,,przemówił przez nie duch narodu'', nie wydaje się naj-

zawieść musiała nawet technika formy, nawet sprawność językowa. Zerow powiedział kiedyś, że „Tyczyna wyłożył wszystkie swoje atuty w „Słonecznych klarnetach", a następnie przeszedł na grę bezatutową". Można by dodać, że zmuszono go do gry fałszywymi kartami, więc zaczął iść od jednej przegranej do drugiej. Wszystkie jego późniejsze książki cechuje całkowita „atrofia najbardziej elementarnego smaku i zupełny brak śladu jakiejkolwiek kultury". A początki graniczyły z genialnością!

Debiut młodego Tyczyny był triumfalnym wtargnięciem żywiołu muzycznego, wpisywanego niezbyt świadomą, ale pewną ręką w partytury oryginalnego i świeżego symbolizmu. Taka sama świeżość i siła, ale podparte o wiele większą świadomością artystyczną, cechowały wystąpienie Mykoły Bażana, najmłodszego z pokolenia „ukraińskiego renesansu" (ur. w 1904). Nawiązał on wyraźnie do zeszłowiecznego romantyzmu, co zresztą nie przeszkodziło mu stać się poetą całkowicie współczesnym. Romantyzm na Ukrainie wyżywał się niemal całkowicie w kręgu ludowości, która po raz pierwszy została przełamana w twórczości Iwana Franki i Łesi Ukrainki, ale bróździła jeszcze przez czas dłuższy; toteż, gdy poeta dużej bezsprzecznie miary wchodził na drogę romantyczną, mógł opierać się tylko częściowo na rodzimej tradycji, pod tym względem na pewno niewystarczającej. Stąd nieuniknione koligacje obce, niekiedy świadome, kiedy indziej przypadkowe. Nie sądzę, aby Bażan znał romantyczną poezję hiszpańską, ale jakże bardzo jego „Nocny rejs" przypomina korsarskie wiersze Esproncedy! Ten „neo-romantyzm" (spłaćmy wspaniałomyślną dań zwolennikom klasyfikacji i „szufladkowości") wyglądał bardzo swoiście, skoro znajdujemy w nim oczywiste wpływy ekspresjonistyczne, futurystyczne, a nawet formistyczne. Na skutek żywiołowej tendencji do szybkiego wyrównania zaległości i opóźnień w stosunku do literatur zachodnich, w piśmiennictwie ukraińskim owego okresu powstał następujący fenomen: poszczególne prądy, tendencje i szkoły występowały obok siebie bez żadnego związku przyczynowego i często mieszały się nawet w twórczości poszczególnych pisarzy. Anachronizmy szły w parze z nowatorstwem, niekiedy najskrajniejszym, parnasizm przeplatał się z futuryzmem, krzyżowały się style i epoki. Opóźnienie było oczywiste, bujność i dynamizm owych przełomowych lat nadawały mu skrajny charakter. Przypomnijmy, że fenomeny takie znała i kultura polska; już przekwitał renesans, budził się do życia barok, a po miastach Rzeczpospolitej wznoszono jeszcze gotyckie kościoły. Najpiękniejsza bodaj pamiątka tego spóźnionego gotyku w polskim wydaniu, wileńska Święta Anna, powstała przecież mniej więcej w tym samym czasie, co podwórzec wawelski i kaplica Boimów.

mniejszą przesadą, ale gdzież owe „głębie intelektualne"? Gdy sterroryzowany poeta dał się ostrzyc marksistowskim Filistynom, utracił to, co było jego prawdziwą siłą: szczerość, bezpośredniość i żywiołowość. Słowikowi kazano kuć dziobem w bęben. Oczywista, nic z tego nie wyszło.

Mykoła Bażan debiutował dopiero w roku 1926, gdy Ryłśkyj miał już za sobą sześć tomów wierszy i ustaloną pozycję literacką, zaś Tyczyna, który skończył się na ,,Złotej wrzawie'', od dawna już grzązł aż po uszy w grafomańskiej propagitce. Romantyczny rewolucjonizm, teluryczne widzenie świata, organiczna ukraińskość, tragiczny patos, a jednocześnie nowatorstwo stylistyczne, ocierające się o futuryzm, ale w istocie nie mające z nim wiele wspólnego — oto bardzo ogólna charakterystyka Bażana. Nazywano go przez pewien czas ,,ukraińskim Majakowskim'', niewątpliwe nadużycie, choć pozornie usprawiedliwione pewnymi zbieżnościami. Oto bardzo charakterystyczne dla młodego Bażana urywki poematu, ,,Imobe z Halamu'':

Gdy ptaki zlęknione
krzykną
w papirusach znojnych
i czarnym muskusem zgęstnieje niebo,
w gąszczach lasu
kryje się wojownik
starożytnego zakonu Maghrebu.
W niebo gwiazdy wpiły się jak kraby,
w ziemię wsącza się namuł cieni,
a pod liśćmi rudych baobabów
rozkwita emalia źrenic.

Imobe z krainy Halamu,
a z nim czarnych niewolników ławy
w noc powstańczą i pod wtór tam-tamu
nabijają karabin rdzawy.

Nie marabut to od rzeki krzyczy,
nie kobiety biją w piersi bukłaki,
to tam-tam dudnieniem tajemniczym
niewolnikom podaje znaki.

W noc powstańczą, w noc ślepiów tygrysich
przez sitowia przemyka murzyn.
I nie wiedzą biali spahisi,
czemu mrok krwawe gody wróży.

W noc powstańczą, w noc tęsknej żałoby,
kiedy księżyc banany cmoktał,
podpełzł czarny niewolnik Imobe
pod biały francuski blokhauz.
— — — — — —
Groźny jęk mroczne niebo rozkrajał,
Z łona nocy pełznie wycie hyjen.
To dla ciebie, Halam, czarny kraju,
Imobe w bagnisku gnije.

Wiosną znowu zapachnie bambuli
i czad żeńskich piersi nieprzytomny.
Znojna noc kraj Halamu otuli
i o wszystkim jego serce zapomni.

Któż spamięta w noc zmysłowej zawieruchy,
kiedy zapach bambuli żądzą chlusta,
jak wpełzały sinawe muchy
w zakrwawione Imobe usta?

— — — — — —

Ale murzyn
sam się stanie
samumem,
bojownicy wstaną z rabów rzeszy
i rebelia rozjarzonym szumem
w twarz blokhauzu uderzy.

Poemat powstał w roku 1926. Był to okres sielankowy dla literatury w zestawieniu z późniejszymi czasami. Toczyły się żywe, niekiedy gwałtowne dyskusje literackie, różne tendencje i kierunki miały pełne prawa obywatelskie. Dopiero w kilka lat potem zaczęło się przyciskanie śruby, ustawianie pisarzy w szeregu i rozciąganie ich na Prokrustowym łożu doktryny marksistowskiej. Od biedy ,,Imobe z Halaamu'' zmieściłby się nawet w ramach ,,soc-realizmu'', jako poetycki wyraz ,,współczucia w stosunku do walki ludów kolonialnych'' i dowód ,,marksistowskiego internacjonalizmu''. Nie potrzeba zresztą wielkiej przenikliwości, by odkryć w zacytowanych urywkach takie ciężkie grzechy, jak ,,dowolność ideowa'' i ,,nadmiar estetyzmu''. Bażan z roku 1936 jużby tego wiersza nie wydrukował. A oto sonet z tego samego, wczesnego okresu: ,,Noc Zaliznaka''

Zbliżyli się do jaru. Cień ponury płynie
za każdym, jak ponocna czarna mara.
Skrzyp wozów — muzyka stepowa stara —
i koła grzęzną w rozmieszanej glinie.

Snuje się nurt odwiecznych groźnych narad
na śmierć i pomstę szlachcie w Ukrainie.
Do cerkwi zimnojarskiej ściąga w tej godzinie
hreczkosiej, mnich, koniokrad i psiawiara.

I wzburzył się i zacichł naród w lasach bujnych
Chłop, kozak, mnich ponury i rozbójnik
wsłuchani w wieszcze krzyki kurów trzecich.

Aż na zbudzone cerkwie spadł spiżowy alarm
i cieni buntowniczych rozjuszona fala
od jaru urocznego w mroczne stepy leci.

Ujęcie ludowej rebelii od strony bujnej malowniczości, jakże przypominającej „Zamek Kaniowski" Goszczyńskiego i „Sen Srebrny Salomei", nie ma oczywista, nic wspólnego z marksistowskim widzeniem historii. Co więcej, nawiązanie do anarchistycznych, hajdamackich tradycyj miało dla czytelnika, nieostygłego jeszcze od ognia rewolucyjnej „atamańszczyzny", specjalny posmak, na pewno bardzo daleki od wszelkich soc-realizmów. Gdy zacznie się systematyczne przyciskanie śruby, Bażan wierszy tego typu pisać już nie będzie. Ucieknie we wschodnią filologię i prace przekładowe, schroni się za malowniczym murem gruzińskich i uzbeckich motywów. Oczywista, nawet i tam musi odklepywać urzędowy paciorek, wspomnieć o młodym Stalinie, spacerującym po górach kaukazkich („Poranek w Gori"), zapewnić o szczęściu i braterstwie narodów, żyjących w granicach Związku Sowieckiego. Za tę cenę udaje mu się w innych wierszach być sobą. Najczęściej jednak marksistowski dydaktyzm narzuca się natrętnie i podcina żyły, wypuszczając krew poetycką.

Poemacik „Tancerka" zaczyna się świetnym opisem. Żywioł tańca porywa uzbecką dziewczynę. Żywioł muzyki. Zawierucha gestów i barw.

Z śpiewu i złota spienione jedwabie,
ramiona jak płomienie, pnące się ku górze,
zastygły w niemym geście — i coraz im słabiej.
I bębna rytm. Wpatrzona, bezwiednie mu wtórzę.
To dziewczyna z odwiecznych wybrzeży Egiptu
przechodzi przez księżyca cienie srebrnolite.
A szaty moje są, jak strony manuskryptu,
na których usnął Hafis w skrętach liter.

Khorezmu stary zew w porywach bębna głuchych
potężnym echem przestrzeń wskroś przerąbał.
Drżąc, czekam. Muzyka, jak płomień zawieruchy
wyrasta w górę. Huk we wściekłych trąbach.
I w lesie dźwięków, po orkiestry śladach,
gdy stopy me ogarnia płomień barwnych watr,
unoszę się i lecę, wstaję i upadam!
I wplatam życie w tańca znojny wiatr!

Ale żywioł tańca i muzyki nie zdołał zagłuszyć „świadomości proletariackiej". Poeta przypomniał sobie na czas, że w Sowietach życie jest „zamożne i szczęśliwe" i że trzeba to jakoś uczcić. To, co zapowiadało się jako doskonały poemat, roztapia się w obowiązkowym dydaktyźmie.

Ach, znam zwyczaje wszystkie stare i podstępy
pramatek moich, smutnych, niemych i bez siły.
Tak samo dla nich grzmiały niegdyś bębny,
tak samo trąby hucznie zawodziły.

Noszę je w sobie, niepoznane ale żywe,
ich czar, ich chytrość we mnie znów wyzwala taniec,
tych, co ginęły wśród pól gliniastych Chiwy,
w sogdiańskich piachach, w stepach i Ferganie.
Widzę ich ciała, gesty rąk powolnych,
zwichrzone, ciemne włosy, ich spojrzenia chyże;
czuję ich wzrok — nałożnic i niewolnic,
dręczących się do śmierci w służbie i jasyrze.
Każdym krokiem ich starą boleść śledzę
i tańca mego pieśnią uroczystą
dziś wypowiadam całą życia wiedzę
o szczęściu i miłości wolnych ludzkich istot.

Aż dźwięk zwycięskiej trąby, idąc po mych śladach,
skończy ten taniec: — Serce, spocznij już!
Tak radość spowiadając, widzom opowiadam
kobiece dzieje, dzieje naszych dusz!

W tomie ,,Budowle'', wydanym w roku 1929, Bażan osiągnął punkt kulminacyjny swego rozwoju. ,,Ghetto w Humaniu'', ,,Noc Hoffmana'' — to prawdziwe arcydzieła, w których niesamowita wyobraźnia, ostry, do karykatury prowadzący zmysł satyry, brutalna, a zarazem niezwykle celna metafora, maksymalna kondensacja treści i rozpalona do białości mowa łączą się harmonijnie w zamierzony kształt architektoniczny. Potem — zwykła dola sowieckiego pisarza! — przyszło nocne przesłuchanie w N.K.W.D., załamanie się i postępowy paraliż wielkiego poetyckiego talentu.

IV.

Rozwój poezji ukraińskiej na emigracji, z głównym ośrodkiem w Pradze Czeskiej (Małaniuk, Łypa, Darahan, Olżycz, Laturyńska, Stefanowycz, Teliha, Mosendz), i na Ziemi Czerwieńskiej (była ona w stosunku do Kijowa i Charkowa literacką prowincją, trącącą swoistą parafiańszczyzną) — szedł własnymi drogami. Z biegiem lat, zwłaszcza po wojnie, wpływy klasycystyczne przybierały systematycznie na nasileniu. Jeśli ów klasycyzm był u późniejszego Małaniuka wynikiem naturalnego uspokojenia i dojrzałości, a u Stefanowycza i Olżycza przyrodzonym żywiołem, w innych wypadkach stanowił tyranię mody literackiej, albo po prostu terror krytyki, zanadto zapatrzonej w zerowskie Nauzyki i Astreje.

Nie trudno odróżnić, gdzie mamy do czynienia z autentycznym przeżyciem i świadomą, samodzielnie wypracowaną postawą artystyczną, a gdzie z mozolną kopią pilnych uczniów, którym sztywna pedagogia utrudnia odnalezienie własnej drogi

Największym wydarzeniem poetyckim ostatnich lat było ukazanie się dwóch tomów wierszy: Małaniuka ,,Władza'' i Ore-

sta ,,Gość i gospoda''. Dla czytelnika polskiego, który śledził przekłady poezji ukraińskiej, często ukazujące się na łamach prasy literackiej przed wojną (Hollendera, Jastrzębca-Kozłowskiego, Czechowicza, niżej podpisanego), Małaniuk jest starym znajomym. Autor ,,Pierścienia Polikratesa'' wypełnił osobny rozdział w historii współczesnej poezji ukraińskiej. Po wyzwoleniu się spod silnych niegdyś wpływów rosyjskich (wpływ Błoka był raczej ujemny, bo zbyt powierzchowny; Gumilowa — dodatni), Małaniuk zdobył się na własną wizję historiozoficzną i artystyczną Ukrainy i pod tym względem jedynie Oleh Olżycz mógłby się z nim mierzyć. Ale ten zginął zbyt młodo w nazistowskiej katowni i jego wielkie możliwości nie doczekały się pełnej realizacji. W jednostronnym i krzywdzącym pamflecie, wydanym przed samą wojną w Warszawie, Andrij Kryżaniwśkyj nazwał Małaniuka ironicznie ,,wieszczem''. Możemy śmiało przystać na to określenie, odarłszy je uprzednio z ironicznego cudzysłowu. Jeśli bowiem wieszczowanie narodowi w romantycznym tego słowa znaczeniu polega na odkrywaniu mrocznego sensu dziejów, prostowaniu dróg przyszłości i poddawaniu bezlitosne- chłoście ,,rubasznego czerepu'', by wyzwolić z niego ,,duszę anielską'', Małaniuk istotnie jest wieszczem. Bez cudzysłowu.

O ,,Pierścieniu Polikratesa'' pisałem już przy innej okazji, że stanowi szczytowe osiągnięcie poezji Małaniuka i zarazem punkt triangulacyjny poezji ukraińskiej XX wieku. Ostatnio wydany tom, ,,Władza'' (w ł a d a w języku ukraińskim brzmi silniej i ostrzej, posiada pewien posmak archaiczny) nie rozszerzył zakresu tej liryki, najwyżej bardziej uwypuklił ton apokaliptyczny, akcenty katastrofizmu dziejowego w ,,czasach pogardy i lęku''. Ból i cierpienie z rzadka tylko wybuchają w rozpacz i gniew; melancholia i rezygnacja coraz częściej przecinają drogę wierszom, zawsze zachowującym tę samą równowagę formalną, jaka przejawiła się w pełni dojrzałości już w zbiorze poprzednim. Wielkie uspokojenie — takby można nazwać ten zbiór. To nic, że jest ono zaprawione goryczą tragicznych przeżyć, klęsk i rozczarowań; smak piołunu nie wykrzywia ust do grymasu, ale układa je w spokojnym choć bolesnym uśmiechu w obliczu nędzy i upadku naszej epoki.

Ckarakterystyka ta dotyczy przede wszystkim wierszy pisanych po wojnie . Liryki wojenne (niektóre z nich były drukowane na łamach ,,Kultury'') przypominają bardziej dawnego Małyniuka, który nie stronił od inwektywy i persyflażu, ani od publicystyki poetyckiej, w najszlachetniejszej zresztą odmianie tego rodzaju, który legitymuje się przecież ,,Piekłem'' Dantego i ,,Grobem Agamemnona'' Słowackiego.

O, jakiż trudny wiosny poród —
w żałości, plusze i tumanach.
Jak jad niedopełnionej zmory
ta noc, od łez i kwiatów pjana.

A dni jak martwe wody świecą,
trzeźwości w nich i grzechu tyle.
I sił już brak. Zaczekaj nieco —
jeszcze słoneczne przyjdą chwile.

W błękit się zmieni niebo szare
i nurt rozleje się szeroki
Więc połóż znak modlitwy starej
przeciw zatracie złej epoki.

— — — — — — — —

Nie ma ruin. Huk wojny tu nigdy nie gościł.
Nikt przez góry jej ognia na miasto nie rzucił.
Siwy Heidelberg śni o wesołej przeszłości,
co minęła i już nie powróci.

Tak i my powtarzamy naszą młodość i radość,
tak i my, zagubieni, błądzimy boleśnie.
I te noce i dni, ogarnięte złą zdradą,
przeżywamy nie na jawie a we śnie.

— — — — — — — —

I oto radość z wiatrem się poniosła,
zmroczył się dzień, choć w kwiatach stoi ziemia.
Rytmicznie w wodę zanurzone wiosła
i śpiewa fala... Ale wiosny nie ma.

Spłoszony ptak odleciał gdzieś na wyraj.
Daremnie wołać i powrotu czekać.

I płynie rzeka w obojętnych wirach.
Czas płynie, obojętny jak ta rzeka.

Małaniuk drukuje ostatnio bardzo niewiele i nie bierze żadnego prawie udziału w życiu literackim. A szkoda, gdyż ma wszelkie dane po temu, aby odegrać rolę przewodniczą w stosunku do młodszych generacyj poetyckich, przeważnie zdanych na własny brak doświadczenia w niełatwej żegludze między miedzy mieliznami i podwodnymi rafami wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw. Trudno przewidzieć dalszy rozwój poetycki Małaniuka, dobiegającego już sześćdziesiątki. Ale jako esseista i krytyk literacki miałby wiele do zrobienia.

Józef ŁOBODOWSKI

(Dokończenie nastąpi).

Fragmenty z dziennika

Piątek.

Z malarzem hiszpańskim Sanzem w Galeonie. Przybył tutaj na dwa miesiące, sprzedał obrazów za kilkaset tysięcy, zna Łobodowskiego i bardzo go ceni. Pomimo, iż zarobił w Argentynie kupę forsy, odzywa się o niej bez zapału. ,,W Madrycie człowiek siedzi przy stoliku kawiarnianym na ulicy i, choć nic konkretnego go nie oczekuje, wie, że wszystko może się zdarzyć : przyjaźń, miłość, przygoda. Tutaj wiadomo, że nic się nie stanie''.

Ale niezadowolenie Sanza jest bardzo umiarkowane w porównaniu z tym co mówią inni turyści. Te dąsy cudzoziemców na Argentynę, ich wyniosłe krytyki i sumaryczne osądy nie wydają mi się w najlepszym gatunku. Argentyna pełna jest cudów i czarów, ale czar ten jest dyskretny, spowity w uśmiech, który nie chce wyrazić za dużo. Posiadamy tu niezłą ,,materia prima'' (surowiec) choć nie stać nas jeszcze na fabrykaty. Nie mamy katedry Notre-Dame ani Luwru, natomiast często widzi się na ulicy olśniewające zęby, wspaniałe oczy, kształt ciała harmonijny i zręczny. Gdy odwiedzają nas od czasu do czasu kadeci marynarki francuskiej, Argentynka wpada, rzecz jasna i nieunikniona, w zachwyt jak gdyby ujrzała sam Paryż, ale mówi : — Jaka szkoda, że nie są ładniejsi. Aktorki francuskie upajają naturalnie Argentyńczyków paryską perfumą, ale mówią oni : — Nie ma ani jednej, która by miała wszystko w porządku. Kraj ten, nasycony młodzieżą, ma w sobie jakiś arystokratyczny spokój właściwy istotom, które nie potrzebują się wstydzić i poruszają się łatwo.

Mowa tu wyłącznie o młodzieży, ponieważ cechą Argentyny jest uroda młoda i ,,niska'', ta przy ziemi, nie znajdziecie jej w większych ilościach w sferze wyższej lub średniej. Tu tylko gmin jest dystyngowany. Tylko lud jest arystokratyczny. Tylko młodzież jest nieomylna w każdym akcencie. Jest to kraj na wywrót, w którym szczeniak, sprzedawca literackiej ,,revisty'' ma więcej stylu od wszystkich jej współpracowników, gdzie salony — plutokratyczne lub intelektualne — przerażają swoją nijakością, gdzie na granicy trzydziestki następuje katastrofa, zu-

pełne przeobrażenie się młodości w dojrzałość na ogół niezbyt interesującą. Argentyna, wraz z całą Ameryką, jest młoda gdyż umiera młodo. Ale jej młodość jest także, pomimo wszystko, nieskuteczna. Na zabawach tutejszych ujrzycie, jak przy dźwiękach mechanicznej muzyki dwudziestoletni robotnik będący melodią Mozarta zbliża się do dziewczyny, która jest wazą Benvenuta Cellini, ale z tego zbliżenia arcydzieł nie wynika nic... Więc to kraina, w której poezja się nie urzeczywistnia, ale tym slniej wyczuwa się za kurtyną jej obecność, straszliwie cichą.

Nie należy zresztą mówić o arcydziełach, gdyż to słowo jest w Argentynie nie na miejscu — tu nie ma arcydzieł, są tylko dzieła, tu piękność nie tylko nie jest niczym anormalnym, lecz właśnie stanowi ucieleśnienie zwykłego zdrowia i przeciętnego rozwoju, jest triumfem materii nie zaś objawieniem Boga. I ta zwykła uroda wie, że nie jest niczym nadzwyczajnym, wobec czego wcale się nie ceni — uroda, zatem, całkowicie świecka, pozbawiona łaski — a jednak, ponieważ z istoty swojej związana z łaską i z boskością, więc tym bardziej elektryzująca, jako wyrzeczenie.

A teraz:

Podobnie jak z urodą fizyczną, rzecz ma się z formą — Argentyna jest krajem formy wczesnej i łatwej, tu niewiele dostrzec można owych bólów, upadków, brudów, udręczeń, które towarzyszą formie tylko zwolna i z wysiłkiem się doskonalącej. Rzadko zdarza się gaffa. Nieśmiałość jest wyjątkiem. Wyraźne głupstwo nie jest częste i ci ludzie nie popadają ani w melodramat, ani w sentymentalizm, ani w patos, ani w błazeństwo — przynajmniej nigdy nie popadają bez reszty. Ale wskutek owej wcześnie i gładko dojrzewającej formy (dzięki której dziecko rusza się ze swobodą dorosłego), która ułatwia, która wygładza, w kraju tym nie wykształciła się na miarę europejską hierarchia wartości i to, być może, najbardziej mnie pociąga w Argentynie. Oni nie brzydzą się... ani nie oburzają się... ani nie potępiają... oni nie wstydzą się... w tym stopniu, co my. Oni nie przeżyli formy, nie zaznali jej dramatu. Grzech w Argentynie mniej jest grzeszny, świętość mniej święta, wstręt mniej wstrętny i nie tylko uroda ciała lecz wszelka w ogóle cnota jest tu mniej wyniosła, skłonna jeść z grzechem z jednego talerza. Pojawia się tu w powietrzu coś rozbrajającego... i Argentyńczyk nie wierzy własnym hierarchiom, lub też przyjmuje je jako coś narzuconego. Wydźwięk ducha w Argentynie nie jest przekonywujący, o czym oni sami najlepiej wiedzą, i istnieją tu dwa osobne języki — jeden publiczny, służący duchowi, który jest rytuałem i retoryką, oraz drugi, prywatny ,którym ludzie porozumiewają się za plecami tamtego. Pomiędzy tymi dwoma językami nie ma najmniejszego związku i Argentyńczyk naciska w sobie guzik, który przestawia go na górnolotność, po czym naciska guzik, który powraca go zwyczajności.

Czym jest Argentyna? Ciastem, które jeszcze nie stało się plackiem, czymś po prostu niedokształtowanym, czy też prote-

stem przeciwko mechanizacji ducha, niechętnym, niedbałym gestem człowieka, który oddala od siebie zbyt automatyczną akumulację — inteligencję zbyt inteligentną, piękność zbyt piękną, moralność zbyt moralną? W tym klimacie, w tej konstelacji mógłby powstać rzeczywisty i twórczy protest przeciw Europie, gdyby... gdyby miękkość znalazła sposób na to ażeby być twarda... gdyby nieokreśloność mogła stać się programem, czyli definicją.

Czwartek.

List do członków Klubu Dyskusyjnego w Los Angeles:

Dziękuję za sympatyczne Merry Christmas and a Happy New Year, *a wiadomość, że pierwsze posiedzenie Klubu zostało poświęcone omawianiu moich prac, bardzo mnie cieszy. Pozwólcie, drodzy Członkowie, że odwzajemnię się Wam kilkoma uwagami na temat czynności, której się oddajecie, to jest sztuki dyskutowania.*

Pragnę zastanowić się z Wami nad tą sprawą, gdyż z przykrością widzę, że dyskusja należy do tych zjawisk w „Kulturze", które na ogół nie przynoszą nam nic prócz upokorzenia, które nazwałbym „dyskwalifikującymi". Pomyślmy, skąd się bierze ten jad hańby ,którym nas poi dyskusja. Zabieramy się do niej sądząc, że ma wyświetlić, kto ma rację i jaka jest prawda — wobec czego primo *określamy temat,* secundo *ustalamy pojęcie,* tertio *dbamy o ścisłość wysłowienia i* quarto *o logikę wywodu. Po czym wytwarza się wieża Babel, mętlik pojęć, chaos słów i prawda tonie w gadaninie. Lecz jakże długo jeszcze zachowamy ową profesorską naiwność, rodem z zeszłego stulecia, której zdaniem dyskusję można zorganizować? Czy jeszcze nie zrozumieliście pewnych rzeczy? Czy potrzeba wam więcej jeszcze gadaniny w świecie chorym na dyskusję abyście pojęli, że gadanie nie jest żadnym pomostem do prawdy? Chcecie ciemność waszą rozjaśnić tą świeczką, gdy latarnie morskie nie mogą przebić jej muru?*

Jeśli powiedziałem, że dyskusja należy do zjawisk „dyskwalifikujących" to oczywiście mam na myśli tylko dyskusję dotyczącą spraw wzniosłych i oderwanych, nikt bowiem nie narazi się na wstyd ani na śmieszność, rozprawiając na temat sposobów przyrządzania zupy kartoflanej. Lecz śmieszność jest następstwem nie tylko tego, iż dyskusja nie może sprostać swojemu zadaniu — rodzi się ona stąd przede wszystkim, że my sami dopuszczamy się pewnej mistyfikacji, która właśnie staje się tym bardziej drastyczna im większa jest waga tematu. Mianowicie udajemy przed innymi i przed sobą, że idzie nam o prawdę, gdy w rzeczywistości prawda jest jedynie pretekstem dla naszego osobistego wyżycia się w dyskusji, dla naszej, krótko mówiąc, przyjemności. Gdy gracie w tennis, nie usiłujecie wmówić w nikogo, że idzie wam o coś innego poza grą — ale, gdy przerzu-

cacie się argumentami, nie chcecie przyznać że prawda, wiara, światopogląd, ideał, ludzkość albo sztuka stały się piłką, a w gruncie rzeczy ważne jest kto kogo pokona, kto zabłyśnie, kto się wykaże w owym starciu, tak mile zapełniającym południe.

Czy więc Dyskusja służy Prawdzie, czy Prawda — Dyskusji? Najpewniej jest i tak i owak — i chyba w rozdwojeniu tego aspektu ukrywa się to coś nieuchwytnego, co jest sekretem życia i kultury. Lecz człowiek mówiący musi zdawać sobie sprawę, dlaczego mówi, i wystarczy, abyśmy wstydliwie ukryli owo mniej poważne oblicze dyskusji a już styl nasz się zakłamuje i załamuje, i powstają wszystkie związane z tym hańby. Osoby, które, zapominając o osobach, skupiają się wyłącznie na dążeniu do Prawdy, przemawiają ciężko i nieprawdziwie, mowa ich pozbawiona życia staje się nie piłką lecz piłą. Ale ci, którzy umieją wyzwolić przyjemność, dla których dyskusja będzie zarazem pracą i zabawą, zabawą dla pracy, pracą dla zabawy, ci nie dadzą się przytłoczyć i wówczas wymiana zdań stanie się uskrzydlona, zabłyśnie wdziękiem, pasją i poezją i — co najważniejsze — niezależnie od swego rezultatu stanie się triumfem. Gdyż nawet głupstwo, nawet nieprawda nie położą cię na obie łopatki, jeśli potrafisz się nimi bawić.

Wydaje mi się iż tu, przypadkowo, zdradziłem największy i ostateczny sekret stylu : musimy umieć rozkoszować się słowem. I jeśli literatura w ogóle ośmiela się mówić, to wcale nie dlatego że jest pewna swojej prawdy a tylko dlatego, że jest pewna swojej rozkoszy. Jeżeli jednak, drodzy członkowie, pragnę zwrócić waszą uwagę na tę właściwość dyskusji to dlatego, że świat stał się śmiertelnie i głupio poważny, a prawdy nasze, którym odmawiamy zabawy, zanadto się nudzą i przez zemstę nas zaczynają nudzić. Zapominamy, że człowiek nie jest po to tylko aby drugiego człowieka przekonać — że jest po to aby go pozyskać, zjednać, uwieść, oczarować, posiąść. Prawda nie jest sprawą argumentów tylko — jest sprawą atrakcji, czyli przyciągania. Prawda nie urzeczywistnia się w abstrakcyjnym turnieju idej, ale w starciu osób. Skazany będąc na czytanie sporej ilości książek wypełnionych tylko argumentami, wiem co to jest prawda odarta z osoby, prawda-elaborat. Dlatego zwracam się do was z wezwaniem : nie pozwólcie aby idea rosła w was kosztem osobowości.

Piszecie, że ja byłem przedmiotem waszego mówienia. Otóż chciałbym zapytać : czy uszanowaliście moją osobę? Czy słowa wasze nie były pozbawione wibracji, czy mówiliście o mnie ze wzruszeniem, polotem i pasją, jak przystoi mówić o sztuce, czy też tylko wydobyliście ze mnie jakieś moje „poglądy" i obgryzaliście je jak suchy gnat z mojego szkieletu? Wiedzcie, że o mnie nie wolno mówić w sposób nudny, zwykły, pospolity. Zabraniam tego stanowczo. Domagam się — o sobie — słowa odświętnego. Tych, którzy pozwalają sobie mówić o mnie nudno i rozsądnie, karzę okrutnie : umieram im w ustach i oni mają w swoim otworze gębowym pełno mego trupa.

Poniedziałek.

Dionys Mascolo : *Le Communisme* (Relation et communication ou la dialectique des valeurs et des besoins, Gallimard, Paris 1953).

Przypuszczam, że jeszcze będę miał coś do zanotowania o tej ważnej książce (ważnej, gdyż to komunizm wyrafinowany, zaprawiony wszystkimi smakami elity, komunizm dla arystokracji), z której przeczytałem zaledwie sto stronic.

Na razie :

Tekst sprawia dziwne wrażenie. Absolutnej powagi i absolutnego dzieciństwa. Absolutnej szczerości i absolutnego fałszu. Absolutnej wiedzy o rzeczywistości i absolutnej niewiedzy.

Czy więc nie należałoby powiedzieć, że Mascolo wyczerpał gruntownie pewien sens egzystencji, ale brak mu wyczucia drugiego, uzupełniającego, sensu ? To dzieło stoi mocno, ale na jednej nodze.

Dlatego rzuca ono nieraz olśniewający snop światła na jadowitą alchemię obecnej kultury i naszą grę w fałszywe karty. Tutaj Mascolo może się przydać. Ale jest on zupełnie bezsilny wobec własnego fałszerstwa. Dzieje się tak ponieważ on nie chce być sobą, tylko narzędziem, to człowiek który podporządkował się swemu zadaniu. Nie może pojąć świata ponieważ chce narzucić się światu, co więcej uważa, że narzucenie się jest jedyną formą rozumienia. To dusza z premedytacją nahalna.

Odbija się to na stylu. Język ten krzyczy : jestem na poziomie ! Jestem głęboki. Jestem przenikliwy. Jestem świadomy i autentyczny. Potrafię użyć wszystkich chwytów, znam wszystkie recepty, nie złapiecie mnie na żadnej naiwności. A jednak ten język nie jest osobisty. Wygląda to tak jak gdyby Mascolo przyswoił sobie tę ilość świadomości, subtelności, ostrości etc. która jest w powietrzu, w tym powietrzu, mianowicie, którym oddycha intelektualizm współczesny — wszystko to on sobie przywłaszczył i biegle tego używa, ale to nie jego własność. Nic nie jest własnością Mascola, gdyż on sam nie jest swoją własnością. Można by wyjąć z książki ten ,,styl'' i skierować go przeciwko niemu — wystarczy wsadzić w inną kopertę i skierować pod innym adresem.

W tym dziele, gdzie demon komunizującej inteligencji rzuca się na kosmos, równie demoniczny i równie abstrakcyjny, brak jednej jedynej prawdy, to jest, skromnej, ciepłej, poufnej prawdy autora.

Czwartek.

Krytyka stała się dla mnie zagadnieniem palącym od dawna — bodaj od pierwszych moich kontaktów literackich z ludźmi. Polacy nie są, na ogół psychologami. Polak nie jest w stanie, na przykład, właściwie ocenić człowieka z którym rozmawia, lub którego książkę czyta. Wiedziałem, że Polak nie zada sobie trudu by wniknąć w to miejsce moje, gdzie żart staje się powagą, nie-

odpowiedzialność — odpowiedzialnością, niedojrzałość — dojrzałością, że nie potrafi ani odkryć mojej gry ani zrozumieć jej przyczyn. Ale ze wszystkich Polaków krytyk literacki, ten fachowy oceniacz, jest właśnie istotą najmniej znającą się na ludziach a, co zatem idzie, na literaturze — gdyż w nim balast intelektualny do reszty przytłacza bezpośrednie, intuicyjne odczucie człowieka. Wiedziałem przeto, pisząc *Ferdydurke*, książkę niezwykle trudną, więcej nawet, zwodniczą i mylącą, że jeśli bezbronny oddam się w ręce tych panów, jestem zgubiony.

A zarazem zadałem sobie szereg pytań. Czy jest w porządku, aby autor był bezbronny wobec krytyka? Dlaczego niby mam się godzić bez protestu aby mnie sądził publicznie p. X, który, być może, posiada mniej wiedzy o życiu ode mnie, a już na pewno prawie o wiele mniejsze ma pojęcie o tym, co jest moją — nie jego — problematyką? Dlaczego to opinia p. X, która jest ostatecznie jedną więcej prywatną opinią, ma być wyniesiona na wyżynę wyroku przez sam fakt, że on pisuje w gazecie? Dlaczego mam znosić tę arogancję i impertynencję, to pośpieszne niechlujstwo mieniące się uroczyście krytyką? Czyż, gdybym zgodził się na podobną zależność od sądu ludzkiego, nie byłbym w sprzeczności z zasadniczym dążeniem mojego utworu, który miał mi zapewnić swobodę i suwerenność — przysporzyć mi „pewności siebie"? Ale przede wszystkim zadałem sobie pytanie (gdyż w *Ferdydurke* dążyłem do ujawnienia siebie w możliwie szerokiej skali) czy jest w porządku aby autorzy przybierali minę podczas pisania jak gdyby krytyka nic ich nie obchodziła, jak gdyby owe osądy działy się na innej planecie — gdy w rzeczywistości wszyscy piszemy dla ludzi, sąd ich jest dla nas decydujący, lęk przed nim — dominujący.

Te zaś pytania o tyle bardziej były dotkliwe, że, będąc autorem prawie nieznanym i pozbawionym autorytetu, pisałem książkę bezczelnie śmiałą i prowokującą, w której ja, pętak, rozprawiałem się z całą kulturą. Moja siła jednak miała polegać właśnie na obnażeniu mojej słabości. Sam punkt wyjścia książki — ujawnienie własnej niedojrzałości — miał być ostoją jej mocy. Postanowiłem więc ujawnić także mój stosunek do krytyki i, zamiast pominąć ten aspekt twórczości wstydliwym milczeniem, jak to się praktykuje, postarałem się aby dobrze i jaskrawo stało się widoczne, że książka pisana jest w strachu przed krytyką, w nienawiści do krytyki i w żądzy uchylenia się krytyce.

Dziś, naturalnie, czuję się o wiele pewniej. Jestem lepiej osadzony w ludziach. Nie jestem już tak przerażająco samotny, jak wtedy, gdy z pierwszymi maszynopisami chodziłem do Kistera. Dzisiaj opinii pani X., która mnie uważa za półgłówka, mogę przeciwstawić opinię pana Y, który mnie ceni. Ale...

Sobota.

Osobom, interesującym się moją techniką pisarską, przekazuję następującą receptę.

Wejdź w sferę snu.

Po czym zacznij pisać pierwszą lepszą historię, jaka ci przyjdzie do głowy i napisz ze 20 stron. Potem przeczytaj.

Na tych 20 stronach znajdzie się może jedna scena, kilka pojedyńczych zdań, jakaś metafora, które wydadzą ci się podniecające. Napisz więc wszystko jeszcze raz, starając się aby te podniecające elementy stały się osnową — i pisz, nie licząc się z rzeczywistością, dążąc tylko do zaspokojenia potrzeb twojej wyobraźni.

Podczas tej powtórnej redakcji wyobraźnia twoja przyjmie już pewien kierunek — i dojdziesz do nowych skojarzeń, które wyraźniej określą teren działania. Wówczas napisz 20 stron dalszego ciągu, idąc wciąż po linii skojarzeń, szukając zawsze pierwiastka podniecającego — twórczego — tajemniczego — objawicielskiego. Potem napisz wszystko jeszcze raz. Tak postępując ani się spostrzeżesz, kiedy wytworzy ci się szereg scen kluczowych, metafor, symboli (jak w *Trans-Atlantyku* ,,chodzenie'', ,,pusty pistolet'', ,,ogier'' lub w *Ferdydurke* ,,części ciała'') i uzyskasz szyfr właściwy. I wszystko zacznie ci się pod palcami zaokrąglać mocą własnej swojej logiki, sceny, postacie, pojęcia, obrazy zażądają swego dopełnienia i to, co już stworzyłeś, podyktuje ci resztę.

Jednakże cała rzecz w tym, abyś, poddając się w ten sposób biernie dziełu, pozwalając aby stwarzało się samo, nie przestał ani na chwilę nad nim panować. Zasada twoja w tym względzie ma być następująca : nie wiem dokąd dzieło mnie zaprowadzi ale, gdziekolwiek by mnie zaprowadziło, musi wyrażać mnie i mnie zaspakajać. Zaczynając *Trans-Atlantyk* nie miałem pojęcia o tym, że on doprowadzi mnie do Polski, gdy jednak to się stało postarałem się aby nie kłamać — aby kłamać jak najmniej — i aby wyzyskać tę okazję dla wyładowania się i wyżycia... I wszystkie problemy, które nasuwa ci takie samorodne i na oślep stwarzające się dzieło, problemy etyczne, stylu, formy, intelektu, muszą być rozwiązywane z pełnym udziałem twojej najostrzejszej świadomości oraz z maksymalnym realizmem (gdyż wszystko to jest grą kompensacji : im bardziej jesteś szalony, fantastyczny, intuicyjny, nieobliczalny, nieodpowiedzialny, tym bardziej musisz być trzeźwy, opanowany, odpowiedzialny).

W rezultacie : pomiędzy tobą a dziełem powstaje walka, taka jak pomiędzy woźnicą a końmi, które go ponoszą. Nie mogę opanować koni, lecz muszę dbać abym się na żadnym zakręcie tej jazdy nie wywrócił. Dokąd zajadę — nie wiem, lecz muszę zajechać cało. Więcej — muszę przy sposobności wydobyć całą rozkosz z tej jazdy.

I w ostatecznym rezultacie : z tej walki pomiędzy wewnętrzną logiką dzieła, a moją osobą (gdyż nie wiadomo : czy dzieło jest tylko pretekstem abym ja się wypowiedział, czy też ja jestem pretekstem dla dzieła), z tego zmagania rodzi się coś trzeciego, coś pośredniego, coś jakby nie przeze mnie napisanego, a jednak mojego — nie będącego ani czystą formą, ani bezpośrednią moją wypowiedzią, lecz deformacją zrodzoną w sfe-

rze „między" : między mną a formą, między mną a czytelnikiem, między mną a światem. Ten twór dziwny, tego bastarda, wsadzam w kopertę i posyłam wydawcy.

Po czym czytacie w prasie : „Gombrowicz napisał *Trans-Atlantyk* aby dowieść..." „Tezą dramatu *Ślub* jest..." „W *Ferdydurke* Gombrowicz chce powiedzieć..."

Piątek.

List od nieznanego mi p. H. z Londynu. Zapytuje : czy, zdaniem moim, nie jest antysemitą godnym napiętnowania pewien dyplomata polski, który w swoim dzienniku wyraził się o pewnym Żydzie „parszywiec".

Żałuję, że nie zachowałem kopii mojej odpowiedzi, która była mniej więcej taka :

„Myli się Pan najzupełniej. Wyzwiskiem, które określa Żyda, jest „parch". Słowo „parszywiec" używane jest w języku potocznym równie często w stosunku do Aryjczyków więc, choć oba te wyrazy mają wspólny źródłosłów, nic nie upoważnia do przypuszczenia że zostało ono użyte ze względu na żydowskie pochodzenie danej osoby. Czytałem tekst, o który Panu chodzi kilka dni temu i do głowy mi nie przyszło podejrzenie o antysemityzm pod adresem autora. Zresztą muszę Panu się przyznać, że i mnie — choć łatwo wywnioskować z mojej literatury, że nie wiele mam wspólnego z antysemityzmem — czasem wymknie się nawet słówko „parch" gdy jakiś poszczególny Semita da mi się we znaki. Dzieje się tak ponieważ nie jestem filosemitą sztywnym, wysilonym, ale filosemitą w stanie luźnym, ze wszystkimi atawizmami szlachcica, panie święty, ze wsi".

Przypuszczam, że ta odpowiedź nie zadowoli mego korespondenta. Trudno. Zresztą, pewna wstydliwość nie pozwala mi pisać akurat tego, czego się po mnie oczekuje. Bezmiary zbrodni, dokonanej na Żydach, i mnie przeszyły na wskroś i na zawsze. Wolałem jednak nie zamieszczać tego w liście. Napisałbym — ale w liście do antysemity.

Lecz muszę także zaznaczyć, że owo łapanie za słówka niezbyt trafia mi do przekonania. W tym jest uraz — właśnie ze względu na powagę tragedii — niepoważny. A nawet posunę się dalej i powiem, że Żyd zbyt uporczywie domagający się aby go traktowano „jak człowieka", to jest, jakby niczym nie różnił się od innych, wydaje mi się Żydem niedość świadomym swojego żydostwa. Żądając tej równości, oni mają rację — to słuszne, to zrozumiałe — ale to nie na miarę ich rzeczywistości. Zbyt proste, zbyt łatwe...

Nie podoba mi się w Żydach, gdy nie są na wysokości swego powołania. Ileż razy zdumiewało mnie, gdym w rozmowach, i to z rozumnymi Żydami, natrafiał na taką małostkowość w ocenie własnego losu. Dlaczego świat nie lubi Żydów ? Ależ dla-

tego, że są zdolniejsi, mają pieniądze, stwarzają konkurencję. Dlaczego świat nie chce uznać, że Żyd to taki sam człowiek, jak inni? Ależ to kwestia propagandy, przesądów rasowych, braku oświecenia...

Gdy słyszę z ust tych ludzi, że naród żydowski jest jak inne, odczuwam to mniej więcej jak gdybym słyszał Michała Anioła twierdzącego, że niczym od nikogo się nie różni, Szopena, domagającego się „normalnego" życia, Beethovena, zapewniającego że i on ma prawo do równości. Niestety! Ci, którym dano prawo do wyższości, nie mają prawa do równości.

Nie ma narodu bardziej oczywiście genialnego — i mówię to nie tylko dlatego, że oni zawarli w sobie najważniejsze inspiracje świata, że co chwila wybuchają jakiemś wiekopomnym nazwiskiem, że wycisnęli pieczęć swoją na dziejach. Geniusz żydowski jest oczywisty w samej swojej strukturze, to jest w tym, że podobnie jak genialność indywidualna, jest najściślej połączony z chorobą, upadkiem, poniżeniem. Genialny, dlatego że chory. Wyższy, gdyż poniżony. Twórczy, bo anormalny. Ten naród, jak Michał Anioł, Szopen i Beethoven jest dekadencją, która przetwarza się w twórczość i postęp. Ten naród nie ma łatwego dostępu do życia, jest w niezgodzie z życiem — dlatego staje się kulturą.

Nienawiść, pogarda, lęk, niechęć, jakie wzbudza w innych narodach ten naród, są z tego samego gatunku co uczucia, które wywoływał w wieśniakach niemieckich chory, głuchy, brudny, histeryczny, gestykulujący Beethoven podczas swoich przechadzek. Droga krzyżowa Żydostwa jest z natury swojej tą sama, co droga Szopena. Historia tego narodu jest tajną prowokacją, podobnie jak biografie wszystkich wielkich ludzi — prowokacją losu, ściąganiem na siebie wszystkich klęsk, jakie mogą przyczynić się do spełnienia misji... narodu wybranego. Jakie moce życia wywołały ten fakt straszliwy, nie wiadomo — ci, którzy są nim, którzy go stanowią, niech ani na chwilę się nie łudzą, że z tych przepaści zdołają wydostać się na gładką równinę.

I ciekawe, że życie choćby najpospolitszego, najzdrowszego Żyda, jest jednak zawsze, w pewnej mierze, życiem człowieka wybitnego: choć zdrowy, zwykły, niczym nie różniący się od innych, jest jednak odmienny i traktowany inaczej, musi być odosobniony, jest — choćby nie chciał — na marginesie. Więc można powiedzieć, że nawet przeciętny Żyd skazany jest na wielkość, dlatego jedynie, że jest Żydem. Nie tylko na wielkość. Jest skazany na samobójczą i rozpaczliwą walkę z własną formą, gdyż nie lubi siebie (jak Michał Anioł).

Więc tej grozy nie załatwicie, wyobrażając sobie że jesteście „zwykli" i karmiąc się idylliczną zupką humanitaryzmu. Oby jednak walka z wami stała się mniej podła. Co do mnie — blask od was bijący nieraz mnie oświecił i wiele mam wam do zawdzięczenia.

Czwartek.

Wstałem, jak zwykle, około 10-ej i zjadłem śniadanie : herbata z biszkoptami, potem quaker. Listy : jeden od Litki z N. Yorku, drugi od Jeleńskiego, Paryż.

Na 12-tą poszedłem do biura (piechotą, niedaleko). Rozmawiałem przez telefon z Marril Alberes w sprawie tłumaczenia i z Russo, omawiając projektowany wyjazd do Goya. Telefonował Rios, że powrócili już z Miramaru, oraz Dąbrowski (w związku z mieszkaniem).

O 3-ej kawa i chlebek z szynką.

O 7-ej wyszedłem z biura i udałem się na avenida Costanera żeby odetchnąć świeższym powietrzem (bo upał, 32 stopnie). Myślałem o tym, co wczoraj opowiadał mi Aldo. Po czym poszedłem do Cecylii Benedit i poszliśmy razem na kolację. Ja zjadłem : zupa, befsztyk z kartofelkami i sałatką, kompot. Dawno jej nie widziałem, więc opowiadała o swoich przygodach w Mercedes. Przysiadła się do nas jakaś śpiewaczka. Była też mowa o Adolfo i jego astrologii. Stamtąd, już około 12-ej, poszedłem do Rexa na kawę. Przysiadł się do mnie Eisler, z którym moje rozmowy są mniej więcej takie : — No, co tam słychać, panie Gombrowicz? — Niech pan się opamięta na jedną chwilę, Eisler, bardzo bym pana o to prosił.

Powracając do domu, zaszedłem do Tortoni żeby zabrać paczkę i rozmówić się z Poczo. W domu czytałem *Dziennik* Kafki. Zasnąłem około 3-ej.

Powyższe ogłaszam, abyście wiedzieli jaki jestem w mojej codzienności.

Witold GOMBROWICZ

Vade-mecum

„VADE-MECUM" NORWIDA

Nakładem i drukiem Oficyny Poetów i Malarzy ukazał się zbiór Cypriana Norwida *Vade-mecum*. Mało kto zdaje sobie sprawę, że jest to wydarzenie w skali nie tylko emigracyjnej ale ogólno-polskiej. Winę za to ponoszą sprawcy wydarzenia : wydawca tekstu Kazimierz Sowiński i nakładca książki Czesław Bednarczyk. Wypuścili oni w świat ten sensacyjny tom bez jednego słowa uprzedzenia, posunęli się do skromności aż nihilistycznej.

Skutek jest taki, że przeciętny czytelnik nie domyśla się dlaczego właśnie ten tom i tak nazwany dostał do ręki. Gdyby nie datowana przedmowa poety, nie potrafiłby go umieścić w czasie. Nie podejrzewa, że ma przed sobą zbiór wierszy, który nigdy dotąd nie ukazał się w tej postaci. To prawda, że *Vade-mecum* nie zawiera ani jednego utworu nieznanego, ale związanie tych utworów, całość artystyczna przez nie tworzona, była dotąd — dziełem nieznanym.

To dzieło ma długą, dramatyczną i zawiłą historię. Jest ona w wielkiej mierze symboliczna dla losu całej twórczości Norwida, można by nawet powiedzieć : stanowi szczyt i kres tego losu. Nad *Vade-mecum* ciążyła fatalność za życia poety ale, co dziwniejsza, nie zwolniła swego ucisku po jego śmierci. Trwała po cudownym wskrzeszeniu aż do lat ostatnich.

Trzeba było nowego wychodźstwa, czułej ręki „wnuka"-poety, ubogiej prasy w prowincjonalnym mieście zielonego Kentu, aby po upływie 90 lat ta książka wyszła na światło i pomiędzy ludzi, pobiwszy smutny rekord rapsodu o Bemie, który czekał na to pół wieku, „Psalm psalmów", który czekał jeszcze ćwierć wieku dłużej. Naprawdę *habent sua fata libelli*. I Norwid nie dawał się zwodzić goryczy, gdy z maniackim uporem powtarzał wiele razy, że „u nas każdy czyn za wcześnie, każda książka za późno".

W RĘKACH NORWIDA

Vade-mecum było gotowe jako zamknięta całość w roku 1865. W tym roku poeta zaczyna usilnie szukać wydawcy, który by mu otworzył drogę do czytelników. Zachowana korespondencja zawiera liczne ślady tych prac syzyfowych. Norwid kołatał co najmniej do pięciu wydawców. I nie dokołatał się do żadnego.

Zaczął od Brockhausa w Lipsku, który wydał mu w roku 1863 tom ,,Poezji'' — prawdę mówiąc jedyną jego książkę, bo niemal wszystko inne co przedtem i potem Norwid ze swojej wielkiej twórczości oglądał żywymi oczami w kształcie drukowanym było raczej broszurą, drukiem ulotnym, świstkiem skazanym na życie liścia. W następnym roku (1864) wydawca lipski wypuścił razem dwa poematy ,,Niewola'' i ,,Fulminant''. Mogło się więc poecie zdawać, że bodaj pod tym względem osiągnął grunt stały. Ale niebawem i to okazało się złudne. Brockhaus odmówił wydania drugiego tomu poezji. Powody tej odmowy nie są jasne. Być może zniechęciło go śmiertelne milczenie, towarzyszące dwu ogłoszonym książkom Norwida. Być też może przeważył motyw, wskazywany w kilku listach poety : ,,...awantury germańskie spowodowały, że Brockhaus usuwa się od wydawnictwa rzeczy doraźnego, handlowego nie mających pozoru''.

Gdy ta najpewniejsza możliwość zawiodła, Norwid uderzył z prośbą do Kraszewskiego, przebywającego w Dreźnie. Kraszewski, znany mu osobiście, był wtedy instytucją. ,,Jeśli przeto możesz bezzwłocznie — pisał do niego paryski zapoznaniec w maju 1866 roku — i chcesz serio być mi łaskawym pośrednikiem w obliczu INNEGO przedsiębiorcy i nakładcy... tedy racz użyć załączonego tu otwartego listu mego do byłego mego wydawcy''. W ślad za tą pokorną, jak na Norwida, supliką poszły trzy inne listy, trzy się w każdym razie zachowały. W drugim określał on swoje warunki : 200 franków za cały nakład. ,,Nie sądzę przeto, abym finansowo ojczyznę moją utrapiał. Zapewne jej (!) stać jeszcze i na to''. W następnym naciskał Kraszewskiego prawie patetycznym pytaniem : ,,Czy chcesz i raczysz jednym palcem nagim dotknąć interesu, który ci przedstawiłem był?''

Jednocześnie w liście do Bronisława Zaleskiego rozwija Norwid całą strategię, aby upatrzonego protektora skłonić do zajęcia się sprawą i — do odpowiedzi. ,,...ponieważ trzeba ku takowej interpelacji niejakiego à propos, możesz pojechać do Auxerre i z miasta Auxerre datować swój bilecik do Kraszewskiego osnowany na dwóch treściach, które mogą mu być stosowne, to jest : możesz mówić szeroko o odwadze cywilnej — pisarskiej i o sumienności księgarskiej...'' Ale dno jest żałosne, na imię mu : nędza. ,,...racz położyć stosowny przycisk i na

tym, że jestem goły — klasycznie goły". Ten obraz precyzuje bliski czasowo list do Leonarda Chodźki : „Pozostaje mi parę złamanych ołówków i zardzewiałych rylców. Oto i wszystko". Za podpis pod tym obrazem mogłaby służyć przeraźliwa formuła z listu do Władysława Zamoyskiego : „Słowem NIC, nie zostaje".

Mimo takiego położenia i rezerwy Kraszewskiego nie słabnie natężenie zabiegów Norwida. Porusza przyjaciela Lenartowicza pisząc : „Ufam sumienności twej, że albo wcale albo serio i okrzętnie raczysz się tego dotknąć". Doczekawszy czy nie doczekawszy się odpowiedzi od Kraszewskiego, Norwid składa ofertę wydawcy o ambicjach literackich Henrykowi Merzbachowi. Żądania materialne stawia już łagodniej : „*Vade-mecum* oddać zamierzam za cenę, którą pan jako słuszną i możliwą uznasz... Końcem końców owe sto rapsodów warte jest jakie 200 franków". Potem i tę cenę obniżył; można przypuścić, że gdyby ktoś rzecz tak postawił, byłby oddał tom darmo. W tej korespondencji najbardziej przejmujące jest to, że Norwid ucieka się do półświadomego lub świadomego pochlebstwa i powtarza je kilkakrotnie, zestawiając swoje dzieło z doszczętnie dziś zapomnianym utworkiem wydawcy-grafomana. „Jest to coś, co doprawdy że można by uważać za odśpiew książeczce „Z wiosny" — bo to jest „Z jesieni" ! ". „Ślicznie wyglądałoby to jak pańskie „Z wiosny" — byłoby to jak gałąź bzu białego i cyprysowa czarność".

Gdy Merzbach nie pokwapił się do wydania i radził czekać, rękopis wędrował jeszcze po rękach innych wydawców, był na pewno u Żupańskiego w Poznaniu. W liście do Bronisława Zaleskiego z listopada 1867 roku znajduje się uwaga : „Jak wyjdzie z druku moje *Vade-mecum,* to dopiero..." Jak wyjdzie. Powoli rozwiewa się ta nadzieja. Zapieka się w Norwidzie żal : „Naród, który Języka swego broni, nie jest w stanie ksiażki jednej wydrukować, skoro gdzieś ktoś strzeli z karabinu na jakimkolwiekbądź polu Europy ! I że aby w Polsce książka wyszła, trzeba ku temu uciszenia się apokaliptycznego na całym świecie. Zawsze myślę, że u nas bronią nie tyle Języka ile... języka" (do Zamoyskiego, 1866 r.). Poeta przeżywa zniechęcenie tak ostre, że zarzeka się dalszego pisania : „...przestałem brać udział w literaturze polskiej — stwierdza do Cieszkowskiego w roku 1868 — i przestałem pisać dla społeczności, w której nikt mię nigdy poczciwym słowem nie obdarzył i gdzie od lat stu, począwszy od Karpińskiego Franciszka, piszącego swój „Powrót na wieś" aż do Adama Mickiewicza, zastawiającego zegarek au Mont de Piété, aby żonie swojej kupić obiad, wszyscy zajmujący się ideą i literaturą, chodzą w wytartych szatach i boso póki żyją". Z dna tego żalu i zniechęcenia wyrywa się Norwidowi taka bolesna ocena, skrywająca tragicznie prawdziwie proroctwo : „Oto i cały rrruch w narodzie, bronić mającym Wiary i Języka swego i w narodzie, w którym za to się krew leje, za to tylko, że od lat stu każdy czyn za wcześnie

a każda książka za późno wychodziła i wychodzi". Niewydane Vade-mecum legł zaporą wpoprzek całej dalszej twórczości Norwida : do końca życia miał on jeszcze wydać tylko czterostronicowy druk ulotny i broszurę liczącą 96 stron. A posiadał materiału na kilka, z tym co zniszczało, może na kilkanaście tomów.

W r. 1868 ten zbiór służy po trochu jako zastaw na pożyczkę : ,,Jeśli Nabielak zostawi ci dwa zeszyty moich rękopismów — pisze Norwid do Ruprechta, prosząc o 150 franków na trzy miesiące — to otwórz i czytaj ,,Vade-mecum". Potem wraca ono już tylko w rejestrach prac zalegających szuflady. A potem z ostatniego paryskiego mieszkanka poety : rue Lallier 3 (près Martyrs) idzie wraz z nim do przytułku św. Kazimierza. ,,Pójdź za mną".

GDY ZAMKNĘŁY SIĘ OCZY

Przekleństwo ciążące nad tym rękopisem było silniejsze niż śmierć. Ocalał on wprawdzie z potwornej czystki, jaką pogodnie poety urządziły jego spuściźnie zakonnice prowadzące przytułek. Przeszedł do rąk krewnych Norwida, Dybowskich. Od nich, zdaje się jeszcze w końcu ubiegłego wieku, otrzymał tragiczny skrypt Zenon Przesmycki-Miriam.

Zaczął się drugi akt tragedii. Jego przebieg pokazuje dobitnie, że Miriam był dla Norwida opatrznością i — fatalnością. Dostawszy do rąk *Vade-mecum* chował je zazdrośnie pod suknem przez lat kilkadziesiąt i ostatecznie... nie wydał.

Współdziałała w tym obstrukcyjna natura umysłu i temperamentu Przesmyckiego z kataklizmami historycznymi. *Vade-mecum* miało stanowić tam B ,,Pism zebranych", które zaczęły wychodzić nakładem Mortkowicza w Warszawie i drukiem Anczyca w Krakowie; wszystko było gotowe : tekst, opracowanie typograficzne, makiety początkowych arkuszy, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa. To samo powtórzyło się w drugim przedsięwzięciu Miriama, we ,,Wszystkich pismach" Norwida, które rozpoczął w r. 1937. W tej edycji *Vade-mecum* miało wypełnić tom II: tekst był już w składaniu i w korekcie. Nowa wojna po raz drugi przerwała wszystko. Oba te ułamkowe wydania norwidowskie przypominają dziś Forum Romanum, Pompeję i Herculanum, wyglądają jak usypiska gruzów, noszą na sobie piętno ruin, które szło za Norwidem całe życie i nie odstąpiło go po śmierci. Trzeba cierpliwości, wyobraźni i wysiłku, aby się wśród nich poruszać i orientować z jaką taką swobodą.

W odstępach, z których każdy liczył po dwadzieścia lat, dokonywało się jeszcze coś innego : parcelacja zbioru na części, rozmienianie na drobne — wbrew woli autora. Norwid uważał *Vade-mecum* za kompozycję związaną i sam Miriam był tego świadomy, jeśli pisał, że jest to ,,wyraźnie chciana, architektoniczna całość". To nie przeszkadzało mu przez lat czterdzieści rozsiewać wierszy zbioru po rozmaitych zagonach. Niektóre z nich

(17) jak „Klaskaniem", „Litość", „Sfinks", „Narcyz", „Fatum", „Ironia", „Idee i prawda", „Czułość' ukazały się w epokowym tomie „Chimery" z 1904 r., poświęconym wyłącznie Norwidowi, stanowiącym akt jego literackiej ekshumacji. Inne weszły do świetnej antologii przygotowanej przez Miriama „Poezje wybrane" (np. „Stolica", „Zagadka", „Do zeszłej"). Jeszcze inne rozprysły się po czasopismach i wsiąknęły w nieotwierane roczniki. Pozostałość, 33 wiersze, wydał Miriam w zbiorze „Reszta wierszy odszukanych po dziś dzień a dotąd nie drukowanych" (1933). Kto by wtedy chciał odtworzyć *Vade-mecum* jako całość nie potrafiłby tego dokonać, choć praktycznie wszystkie jego wiersze były znane.

Trzeba było drugiej wojny, katastrofy warszawskiej, śmiertelnego zagrożenia i prawie cudownego ocalenia norwidianów Miriama, wreszcie jego śmierci, żeby rękopis wyszedł na światło dzienne. Wydał go w odbitce fotograficznej przeznaczonej dla specjalistów Wacław Borowy (1947). Gdy w kraju otoczono Norwida zmową milczenia, a raczej obłożono urzędowym nakazem milczenia, *Vade-mecum* odczytane właśnie z tego wydania fotograficznego ukazało się na emigracji i niemal po upływie stu lat stało się powszechnie dostępne. Zamknęła się wreszcie jego tragiczna historia.

Wielka szkoda, rzeczowa i moralna, że stało się to tak konspiracyjnie. Szkoda, że czytelnik biorący książkę do rąk, nie znajdzie w niej żadnej wskazówki, skąd się ona wzięła i co oznacza.

JESZCZE JEDNA RUINA

Vade-mecum, które dzięki Borowemu i Sowińskiemu mamy przed sobą, nie przełamuje fatalności znaczącej całe dzieło Norwida : jest także fragmentem, co prawda znacznych rozmiarów, dotkliwie poszczerbioną budowlą. W toku opisanych zabiegów o wydanie, rękopis wędrując z rąk do rąk, od wydawcy do wydawcy, od pośrednika do pośrednika, uległ okaleczeniu. „Drugi tom poezyj moich roz-szyty i zawieszony między edytorami, jakby tułał się". W tej tułaczce, w tej krzyżowej drodze ze stu, ściślej 102 utworów *Vade-mecum,* 13 przepadło bez śladu, z jednego ocalał tylko mimowolnie ironiczny tytuł „Jak", 8 dochowało się tylko w ułamkach bez początku, końca lub środka.

W latach które dzielą rezygnację ujrzenia *Vade-mecum* w druku od śmierci — a było tych bolesnych lat blisko trzydzieści — zmieniał się zamysł artystyczny i samo brzmienie tekstu poetyckiego.

Listy do Kraszewskiego wskazują, że Norwid chciał najpierw wydać ten zbiór liryków razem z dwoma dramatami : „Tyrtej" i „Aktor" (to miał być ów „drugi tom poezyj", przedłużający „Poezje' ogłoszone przez Brockhausa). Około 1869 r. zamierzał połączyć *Vade-mecum* z utworem dramatycznym „Za

kulisami". Jeszcze później w r. 1872 zamierzał je sprzęgnąć z poematem „A Dorio ad Phrygium" i ten zamiar zostawił ślady w rękopisie.

Jednocześnie w ciągu tych lat samotności i opuszczenia Norwid wracał do utworów, które go bolały jak zmarnowane dzieci. Narzucał niedbałe poprawki coraz mniej pewną ręką, z reguły ołówkiem, najczęściej niebieskim, ciesielskim, grubo zaciętym. Są one mało czytelne. Stwierdza to Miriam, który jak nikt w Polsce był „wczytany" w pismo Norwida, obcował z jego rękopisami bez przerwy przez pół wieku. Ogłaszając pojedyncze utwory podawał przeważnie redakcje wcześniejsze, przepisane kaligraficznie do druku. Borowemu gdy wydawał fotokopię przyświecała myśl, aby powielić tak długo pod korcem trzymany rękopis, umożliwić zbiorowy wysiłek odczytania partii późniejszych.

Niestety wyniki Sowińskiego w tym zakresie nie są zbyt wielkie. Fotokopia wykonana w kraju, tuż po wojnie, daleka jest od technicznej doskonałości. Co ważniejsze brakuje jej tego bezpośredniego promieniowania, wyzwania dla intuicji, dla daru dywinacji jakie stwarza autentyczny rękopis. W ogóle trzeba tu Kleinera, oczu dorównujących w przenikliwości jego oczom, które rozszyfrowały skłębione, hieroglificzne rękopisy Słowackiego. Wątpliwe zresztą czy tutaj nawet jakiś nowy Kleiner na wszystko poradzi.

Przeciętnego czytelnika niewiele obchodzą sprawy kuchni edytorskiej. Ale i dla niego i dla autora (zwłaszcza nie żyjącego, nie mogącego wnieść protestu, ani dokonać retuszu) mają one zasadnicze znaczenie. W tej kuchni ustala się brzmienie tekstu, a zatem jego kształt artystyczny, a zatem i jego wewnętrzną zawartość.

Korzystając z kopii fototypicznej, Sowiński usiłował zbliżyć tekst *Vade-mecum* do ostatnich intencji poety, które wyraziły się w zmianach wprowadzonych do kaligraficznego czystopisu. W tej chwili z pośredniego przekazu, jakim jest fotokopia, udało mu się odczytać tylko nieliczne zmiany. W ten sposób otrzymaliśmy brzmienie tu i ówdzie zmieniające tekst z roku 1865, a także tekst wierszy *Vade-mecum* z epoki rozproszenia.

Otwiera to drażliwy problem filologiczny wyrażający się w dwu postawach, jednej, która stawia rzecz skrajnie : wszystko albo nic i drugiej umiarkowanej, która powiada : jeśli nie można wszystkiego, dobre jest to co można. Sowiński — wbrew Miriamowi — przyjął drugą postawę. Może i słusznie. Ale są przypadki, w których kompromisowość staje się czymś w najwyższym stopniu wątpliwym. Przykładu dostarcza wiersz „Powieść", kapitalna satyra na współczesną Norwidowi twórczość beletrystyczną. Tekst ustalony do druku poeta później kreślił i zmieniał ale wyraźnie nie doszedł do ostatecznego kształtu. Wydawca uwzględnia poprawki, nie uwzględnia skreśleń, bo — znowu słusznie — żal mu ustępów, które nie zostały zastąpione niczym lepszym ani niczym równym redakcji pierwotnej. Ale

w tym jest już za wiele dowolności. Tu ekstremizm : jeśli nie można wszystkiego, to lepiej nic — wydaje się słuszniejszy.

Sowiński unowocześnił pisownię i znormalizował przestankowanie. Także wbrew Miriamowi, który nawet w korespondencji („Pisma wszystkie") wiernie zachowywał różne wielkości liter, rozmaite podkreślenia i wszystkie osobliwości przestankowania. Znowu nie jest to sprawa prosta. Boy kiedyś walczył namiętnie „o prawo do przecinka", bo też przestankowanie trudno uważać za rzecz w tym stopniu umowną co pisownię. Norwid stawiał znaki przestankowe po swojemu : trochę fantastycznie, często manierycznie dziwacząc, często wyrażając coś własnego. Tam gdzie jest to fantazja chodząca drogami przypadku, dziwactwo zaciemniające jasność, nie można żywić zbyt dużych skrupułów (np. Norwid umieszczał pytajniki w środku zdania a nie na końcu, Sowiński, według obowiązującego dziś zwyczaju, przesuwa je na koniec, choć nie jest w tym konsekwentny). Ale tam, gdzie zachodzi najlżejsze podejrzenie, że poeta przez znak przestankowy chciał coś wyrazić, że kresce, kropce lub przecinkowi zwierzył jakiś swój zamysł, tam skrupuł edytorskiego sumienia nie jest nigdy dość wielki.

Na ogół Sowiński i z tej sprawy wybrnął z dużą delikatnością. Byłoby lepiej, gdyby określił i obronił zasady przez siebie przyjęte, gdyby konsekwentnie się ich trzymał (z reguły opuszcza numerację strof, ale niespodzianie raz i drugi od tego odstępuje, zmienia „nawałny" na „nawalny" ale zostawia „nawałność" itp.). To co dał, nie jest to tekst „ne varietur", ostateczny i niezmienny; nie wiadomo kiedy i czy kiedykolwiek do niego dojdziemy. Poza nielicznymi wątpliwościami, drobnymi błędami korekty jest to tekst czysty, czytelny, dostępny. Ale to nie znaczy — łatwy.

„W KRYTYCZNEJ CHWILI"

Sam Norwid zdawał sobie z tego sprawę. „Bogata, skądinąd przeszłość poezji polskiej — pisał do Kraszewskiego — nie przygotowała publiczności do podobnych utworów ale cóż robić! Raz przecie trzeba i na siebie troszkę obejrzeć się..." W liście zaś do niedoszłego ich wydawcy Merzbacha tak te utwory charakteryzował : „Są to rzeczy gorzkie, może głębokie, może dziwne — niezawodnie potrzebne !"

Całe przedsięwzięcie było — jak wszystko lub niemal wszystko u Norwida — głęboko świadome. Wiedział czego chce i do czego zmierza. Nawet gdybyśmy w listach nie mieli poufnych wyznań i zaleceń, jakby się dziś powiedziało, reklamowych, nie pozostawia żadnej co do tego wątpliwości przedmowa, umieszczona na czele utworu i nosząca datę : 1865. Poeta określił w niej „jak pojmuje własną swoją przytomność względem czasu swojego i składowych żywiołów w grę wchodzących".

Ta przedmowa, wyjątkowo jasna, listy, wreszcie zawartość zbioru ukazują wysiłek rozeznania czasu i oznaczenia swojego stanowiska. Świadczą, że Norwid, jak nikt inny, zdawał sobie sprawę z końca, wyczerpania i bankructwa romantyzmu polskiego. Siłą bezwładu i mocą potężnej sugestii przetrwał on u nas dłużej, niż gdziekolwiek w Europie, zamknął się dopiero w roku 1863. Zstąpiwszy ze świata fikcji poetyckiej do świata życiowych urzeczywistnień skończył się klęską, nawet w polskim doświadczeniu klęsk, bezprzykładną.

Stąd *Vade-mecum* towarzyszy w korespondencji przeciwstawienie się trójcy romantycznej : ,,ludzie genialni ale łgarze, tak jak każdy patrycjusz w trudnych chwilach rzeczypospolitej jest łgarzem''. Nawraca wielokrotnie krytycyzm zwrócony przeciw ,,Panu Tadeuszowi'' : ,,Ukochany ojczysty poemat Narodowy — pisze Norwid do Kraszewskiego — to jest poemat narodowy, w którym jedyna figura serio jest ŻYD... Zresztą awanturniki, safanduły, facecjoniści, gawędziarze i kobiet narodowych dwie : jedna Telimena — metresa moskiewska, druga Zosia — pensjonarka. Zapewne, że poemat ów narodowy, w którym jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają aż Francuzi przyjdą zrobić im ojczyznę...'' To krytyczne, odżegnujące się nastawienie wyraża również motto z ,,Odyssei'' na pierwotnym rękopisie, później zaklejone (i nie zamieszczone w wydaniu Sowińskiego): ,,Nie pochlebiaj cieniowi, o Ulissesie, szlachetny synu Laerta ! Wolałbym pomiędzy wami być pachołkiem ostatniego wyrobnika, nie posiadającego nic i mającego pług za całą własność i zaledwo zdolnego wyżyć, aniżeli panować jak monarcha nad narodem Umarłych !''

(Nie pierwszy raz zajmował Norwid takie stanowisko. We wstępie do ,,Niewoli'', już po r. 1848 stwierdzał przekwit romantyzmu i zapowiadał przyjście nowej poezji. Niestety i ten utwór, jeden z najbardziej zasadniczych nie mógł się doczekać wydania, ukazał się dopiero w roku 1864 i padł w pustkę, która miała skuteczniej i na dłużej pochłonąć *Vade-mecum*).

Rozpoznanie momentu dziejowego streszcza zasadnicza teza przedmowy : ,,Poezja polska znajduje się w krytycznej chwili''. W tej krytycznej chwili Norwid chciał jej nadać nowy kierunek. Występował nie tylko jako krytyk, ale także jako inicjator. Stąd tytuł i takie określenie zbioru : ,,sto poezji drobnych — sto argumentów, stanowiących jedno vade-mecum''. Miał to być odpór na katastrofę romantyzmu poetyckiego i politycznego. Nie pozostawia żadnej co do tego wątpliwości formuła z listu do Merzbacha : ,,*Vade-mecum,* traktujące o bieżących interesach języka, literatury i społecznego sensu polskiego''.

Uwzględniając to, co zawiera wstęp, zwrócony do czytelnika, co mówi treść tomu, co dopowiada komentarz listowy, można stwierdzić w *Vade-mecum* trzy punkty zwrotne :

od patriotyzmu do moralizmu,
od malowniczości do pogłębienia intelektualnego,
od poezji służebnej do poezji-sztuki.

Ten wielostronny odwrót jest połączony ze świadomym odnowieniem formy poetyckiej.

KU MORALIZMOWI

,,Nie rozebrały i nie rozbierają Polski mnogie bataliony zaborców — pisał Norwid blisko tego czasu, w r. 1869 — jedno raczej upijanie się nie oświeconym patriotyzmem i brakiem cywilnej odwagi, rozmarzanie się''. W przedmowie do *Vade-mecum* wysunął przeciw odchodzącej poezji zarzut zaniedbania strony ,,obowiązków, strony moralnej'' na rzecz wyłącznej walki o prawa polityczne. ,,Część moralna i obowiązkowa — wyjaśniał to szerzej Merzbachowi — jest u poetów naszych na stanowisku wyjątku i maleńkiego odsyłacza ale nie uzasadnia i nie użródla poezji : moralistów prawie nie mamy''.

I cały ten zbiór jest wystąpieniem moralisty. Raz po raz wraca w nim słowo o szczególnym ładunku uczuciowym : ,,sumienie''. ,,Nie przepalony jeszcze glob sumieniem'' (,,Socjalizm''); ,,Popularność bez sumienia'' (,,Addio''); ,,bez walki nie łączy sumienie' (,,Harmonia''). W świetle tego słowa ukazuje poeta rozmaite sprawy, stosuje sprawdzian moralny do instytucji, postaw, zjawisk. Stosunek jednostki do narodu, pojęcie narodowości, chrześcijańskie założenia i niechrześcijańska praktyka kultury europejskiej — oto kilka tematów, które atakuje moralizm Norwida w *Vade-mecum*. Przejawia się w nim uparta dążność do obnażania prawdy moralnej, estetycznej, politycznej, społecznej, towarzyskiej, do demaskowania ,,fałszu zewnętrznego świata''. Jest to jeden ze stałych motywów przewodnich poezji norwidowej, ale tutaj osiąga on najwyższy wyraz, najwyższy i najbardziej wielostronny. Tutaj także dociera do ostatecznego kresu w moralistycznym nihiliźmie, dla którego ,,światy są zera'', ,,pył — arcydzieła''.

Przeciwwagę tego nihilizmu stanowi wielokrotnie podejmowana sprawa moralności twórczej. ,,Liryka i druk'' odsłania przeciwieństwo poezji odczutej, przeżytej, doświadczonej, poświadczonej sobą i poezji mechanicznej, zdawkowej, pozorowanej. Często nawraca przeciwstawienie poezji — poetyzowaniu, podrabianiu poetyckich nastrojów, nadużywaniu chwytów poetyckich. Szczyt moralnego, a także narodowego, także patriotycznego uprawnienia poezji prawdziwej wyraża starożytna ,,gnome'', skrzepnięcie myśli w postać zdania nasyconego energią słowną : ,,Nie miecz, nie tarcz bronią języka lecz arcydzieła !''.

Stawiając najwyższe wymagania twórcy, czyniąc z twórczości cel najwyższy pod względem osobistym i społecznym, Norwid kieruje także wymagania w stronę odbiorcy. Żąda od niego ,,współutrudzania się'', ofiarnego współdziałania z wysiłkiem

twórcy, pojmuje obcowanie z poezją jako akt wiary i trud etyczny.

Cały ten moralizm Norwida zmierza do świata prawdy, twardej, trzeźwej ale wzniosłej w swej trzeźwości i twardości, prawdy wszechobejmującej : ,,co prawdą jest, jest nią w obrocie planet na niebiesiech i w ziarnach piasku i sercu i w kieszeni i wszędzie; inaczej to żarty'' — mówi pogłos listowy z roku 1865. Ten rygoryzm moralny niesie z sobą stoickie pokrzepienie, trudne, czasem gorzkie, ale rzeczywiste. Nie widział go Norwid u romantyków, nawet u największego z nich, Mickiewicza : ,,W całych dziełach tego wielkiego poety nic a nic na pokrzepienie ducha nie ma. Wszystko jest na świadectwo utrapień zacięcie znoszonych, na rozwścieklenie słusznych nienawiści i na rozmiłowanie się w osobistości narodowej. Ale na pokrzepienie ducha? Co, gdzie, kiedy?''

KU INTELEKTUALIZMOWI

W *Vade-mecum* i w związku z nim postawił Norwid programowo sprawę sensu poznawczego poezji, jej zawartości myślowej : ,,...raz przecie trzeba do wdzięków policzyć także nawet i myśl i prawdę i sens i rozsądek'', pisał do Kraszewskiego. Od razu wiersz wstępny zbioru ,,Ogólniki'', jest deklaracją poezji dojrzałej, pozbawionej złudzeń, operującej nie domniemaniami ale rozpoznaniami, poezji odpowiedzialności intelektualnej, nie poezji uniesień uczucia i wyobraźni. Jakże to bliskie Eliotowi i valéry'owskiej formule ,,la poésie c'est précision''.

Zaostrzenie tego stanowiska daje się związać z obserwacją i krytyczną oceną rzeczywistości polskiej. Oto dwa wymowne wyjątki z listów współczesnych *Vade-mecum* : ,,U nas nieszczęście i rozdmuchane same pasje tylko, bez żadnej idealnej przeciwwagi wyprzedzają sens stanu. Historia zaś pisze rachunek swój żelazną ręką i nie pyta się wcale o sentymenta ale pyta o sumę rachunku'' (1863). ,,Na całym globie nigdzie Inteligencja nie jest więcej uzależnioną, więcej poniżoną niż w Polsce'' (1864).

Kierowała się ta intelektualistyczna postawa przeciw rozmaitym tabu romantyzmu : przeciw oddzielaniu serca i uczucia od rozumu, przeciw bałwochwalczemu kultowi ludowości, przeciw pikturalizmowi, zewnętrznej malowniczości, odurzającej kolorowości poezji. Uderzała w całe gatunki literackie, przede wszystkim w ,,powieść narodową, pełną cybuchów, facecji i krzyków (niedokończoną wciąż, więc zawsze nową)''. W tym widzeniu ,,Pan Tadeusz'' przedstawiał się Norwidowi jako poemat malarski i malowniczy : ,,Zapewne, że jest to arcydzieło, a mianowicie też przez sztukę i wyższe pejzaże od najczarowniejszych Ruysdaela'' i zaraz dodawał : ,,Ależ po poezji pejzażów i fletów pasterskich może i biedny mój kierunek zasługuje i zasłuży na

nieco wziętości przez samą konieczność sensu". W ideał przeciwstawny urastała muzyka Chopina. W „Fortepianie" uwielbił ją Norwid jako „podnoszenie ludowego do ludzkości", wydobywanie z tworów ludowych wartości wszechludzkich, a nie ich mechaniczne przedrzeźnianie.

Ta w pełni uświadomiona teraz postawa intelektualistyczna wyraża się w poglądzie, że górowanie „piękności malarskiej skończone jest". Wyraża się też w znamiennym żądaniu : „Nikt pejzażów nie malował w czasie szturmu do miasta ale Buonarotti kolosalne formy swych rzeźb właśnie że wtedy obejmował dłutem, kiedy fortyfikował San Miniato, broniąc Florencji".

Ten przykład i to żądanie otwierają widok na poezję *Vade-mecum*. Intelektualistyczna w swojej skłonności do rozróżniania, ustawiania kontrastów i podobieństw, typologizowania, aforystyczności, dążąca do opanowania liryzmu i precyzji wyrazu, ta poezja jest w ogólnym wyglądzie — rzeźbiarska, posągowa, monumentalna.

KU POEZJI-SZTUCE

Moralistyczne i intelektualistyczne pojęcie poezji nie jest równoznaczne z zaprzęganiem jej w służbę publicystyki. Przeciwnie, Norwid moralista i intelektualista chce ją wyjarzmić z publicystycznej służebności. Upatruje po temu nawet konkretną możliwość w tym, że „rozwinięcie dziennikarstwa odejmie wiele z rzeczy i ciężarów, które ponosiły dotąd skrzydła poezji".

Żądając poezji pogłębionej myślowo i wiernej określonemu ideałowi moralnemu, żąda Norwid poezji czystszej niż ta, która władała dotychczas życiem polskim i przywiodła je do zbiorowej katastrofy : „Poezja jako siła — mówi w czasie teraźniejszym o formacji już minionej — wytrzymuje wszelkie warunki czasów ale nie wytrzymuje ich zarówno jako sztuka. Owszem zyskuje ona na potędze w miarę o ile zastępuje działalności innych a pokrewnych jej, które swego nie robią. Lecz tą drogą zyskując na potędze — utraca na sztuce".

Opowiadając się za poezją-sztuką, jednocześnie Norwid występuje przeciw literaturze plotkarskiej, igrającej, służącej tylko zaspokojeniu ciekawości, łechcącej zmysły. „Wielkie słowa" z patosem i sarkazmem przeciwstawia „cackom" (są to dwa tytuły wierszy w zbiorze *Vade-mecum*).

Kryje się w tym pewna sprzeczność ale raczej pozorna. Norwid jest tu wierny sobie i swoim poglądom na sztukę, wyznawanym i rozwijanym od czasu „Promethidiona": „Poezja która zapomina o tym, że ona coś robić powinna, zapomina przez to samo o zdrowej estetyce... Jest pewna proporcja utylitarności, która jest warunkiem piękna" (w liście do Bronisława Zaleskiego, 1869).

NOWOŚĆ WYRAZU POETYCKIEGO

To wszystko : moralizm, intelektualizm, swoisty estetyzm użytkowy, miało by tylko względne znaczenie, gdyby nie towarzyszył temu równoległy, organicznie zespolony wysiłek tworzenia nowego wyrazu poetyckiego. I to także było w olbrzymiej mierze świadome, jeśli Norwid tak charakteryzował swój zbiór wierszy : ,,Są to rzeczy nie zabawne, ale czasem nudne, to jest opracowane na głębiach prawd i różnostronności form i bogactw języka prześladowanego i podupadłego''.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić większą rozmaitość kształtów, tonów, nastrojów. Epitafia, przypowieści, elegie, fraszki, gnomy. Tercyny, sekstyny,oktawy. Bezlik miar wierszowych. Nowe i niezwykle użyte rymy. Ton osobisty, jeszcze bardzo romantyczny, i poezja skrajnie bezosobista, którą by potwierdził Valéry. Gwałtowne przejścia od patosu do satyrycznej prozy, od wizyjności do refleksji, od wzruszenia do ironii, wszystkich możliwych jej natężeń i odcieni. Zwięzłość nigdy dotąd nie osiągnięta. Wprowadzanie szczegółów pospolitych, nawet trywialnych jak ten, zaznaczony w samym tytule bardzo zresztą patetycznego wiersza ,,Dwa guziki (z tyłu)'', jak wiersz ,,Purytanizm'', gdzie do rozwinięcia całej teorii poezji służy obraz — mydła. Pojęcia oderwane ,,Prawda'' i ,,Popularność'', uczłowieczone jak w moralitecie średniowiecznym, albo występujące w całej nagości jak u angielskich ,,poetów metafizycznych'' XVII-go wieku czy u Eliota.

Ale czymś absolutnie nowym, przełomowym i prekursorskim jest to czemu dopiero wiele lat później symboliści francuscy mieli dać nazwę ,,vers libre'' — wiersz wolny. Korespondencja bliska *Vade-mecum* wskazuje, że ten na pół głuchy i głuchnący człowiek był osaczony przez obsesję rytmiczną, doznawał muzycznych objawień, nieliczących się z konwencjami i nawykami poetyckimi. ,,W doskonałej liryce powinno być jak w odlewie gipsowym : zachowane powinny być i niezgładzone nożem te kresy, gdzie forma z formą mija się i pozostawia szpary. Barbarzyniec tylko zdejma to nożem z gipsu i psowa całość. Ale zaprzysięgam się wam, że to co Polacy zwą liryką, jest siekanką i mazurkiem !'' ,,O, barbarzyńcy... kiedyż i kiedyż i kiedyż z tej młockarni i z tego cepami wybijanego, pańszczyźnianego wyjdą rytmu, czytać nie umiejący inaczej, jeno w butach do mazura zrobionych, podrygując liczebnie''. ,,Ani Polacy, ani język polski nie mają pojęcia o istnej liryce. To co Polacy nazywają liryką, to jest zawsze mazurkiem i tętnem pańszczyźnianych cepów na klepisku — to zawsze młockarnia i pańszczyzna — kroku w niczym nie zrobili naprzód — oni by radzi lirykę Ezechiela na nutę 3-go Maja mazurkiem podrygać w butach palonych — ram tam ! ram tam ! ram tam tam !'' Jest to tylko mała cząstka

wyznań na ten temat, ale dostatecznie duża, by ukazać że sprawa miała u Norwida prawie znamiona manii prześladowczej.

W *Vade-mecum* widać jak od form wiersza, kórych używali współcześni, od utworów, które mogliby napisać Mickiewicz i Słowacki, przechodzi Norwid do utworów, które mógł napisać tylko on sam, które napisał pierwszy w Polsce i pierwszy w Europie W ,,Fortepianie'' stworzył arcydzieło nowej poezji muzycznej. Zastąpił stałą formę wierszową formą ruchomą, rytm miarowy rytmem zmiennym, przystającym do treści jak draperia i fałda przystaje do ciała albo w rzeźbie wyraża kształt ciała. Jest to rytm nie liczący się z jednaką liczbą zgłosek, ani z regularnością akcentów, idący wiernie za myślą, przemieniający się od wzruszenia, giętki, płynny i lotny, falisty i migotliwy.

W ten sposób, co już zauważono, ta poezja rzeźbiarska, posągowa, jest jednocześnie poezją niebywale muzyczną. Poezja pełna znaczeń, sensów, intencji, niosąca ogromny ładunek uczuciowy, myślowy, moralny, zmierzająca usilnie do ścisłości i oszczędności słowa, jednocześnie kołysze najlotniejszą rytmicznością.

Takiej syntezy lirycznej w języku polskim nie było bodaj nigdy przedtem ani nigdy potem.

NIKT ZA NIM NIE POSZEDŁ

,,Pójdź za mną'' — głosił tytuł zbioru. Nikt za Norwidem nie poszedł. Nikt nawet nie dosłyszał jego wezwania.

Norwid wystąpił przeciw dwu siłom : wielkiej, choć zamkniętej już tradycji poetyckiej i przeciw poziomej, jeszcze obniżonej świeżą a straszliwą klęską, rzeczywistości społeczno-kulturalnej. Pierwsza przywaliła go ciężarem, z którym jeszcze pół wieku później będzie się zmagał Wyspiański. Druga skazała go na śmierć cywilną najbardziej obojętnym i konsekwentnym z milczeń. ,,*Vade-mecum* — stwierdzał Norwid w roku 1866 pisząc do Kraszewskiego — jest rzecz na progu nowego cyklu poetycznego w Polsce... Poezja polska tam pójdzie, gdzie główna część *Vade-mecum* wskazuje sensem, tokiem, rymem i przykładem. Czy chcą czy nie chcą – wszystko jedno''. ,,*Vade-mecum* przeznaczone było — pisał do Ruprechta w roku 1868 — na zrobienie skrętu koniecznego w poezji polskiej czego widać, że zrobić *nie warto*, jeśli nie wyszło dotąd drukiem upowszechnione''.

Co by było, gdyby się ten zbiór ukazał wtedy, kiedy poeta o jego wydanie tak usilnie i uporczywie, z takim nakładem energii i perswazji zabiegał? Można na pewno powiedzieć, że uniknęlibyśmy największej mielizny, pustyni poetyckiej w literaturze polskiej od czasu Mikołaja Reja. Bylibyśmy może wyprzedzili poezję europejską w rewolucji formalnej, której skutki trwają do dzisiaj : Eliot mógł być potomkiem Norwida, nie Laforgue'a. Podobno ,,une Polonaise obscure'', Maria Krysińska,

była pierwszą „vers-librystką”, wynalazczynią wiersza wolnego. Naprawdę był nim Norwid, Norwid-twórca *Vade-mecum*, przedłużającego go formalnie poematu „A Dorio ad Phrygium” i komedii poetyckiej „Pierścień wielkiej damy”.

Trzeba było czekać pięćdziesiąt lat, w czasie których zapoznany samotnik znalazł spoczynek w pospólnym grobie, nim liryki tego arcyzbioru zaczęły się przesączać spod ziemi jak krople podskórnej wody, zaczęły docierać do świadomości, kojarzyć się z gdzie indziej dokonanymi odkryciami, ważyć na stylu poetyckim. Trudno w tej chwili powiedzieć jak dalece zaważyły. Czytając *Vade-mecum*, nie mogłem się opędzić natrętnemu wrażeniu, że na tych kameach, gemmach, cudach lapidarności, cudach myślowego zagęszczenia, cudach poetyckiej precyzji, jak „Fatum” i „Czułość”, drukowane w pamiętnym, ekshumacyjnym tomie „Chimery” uczyła się — Maria Pawlikowska. Kto to napisał : Norwid czy Pawlikowska?

Czułość bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny...

(„*Czułość*”)

Norwid i Pawlikowska, rzekomo rokokowa „précieuse”, krakowska kolekcjonerka kiedyś lekceważonych „cacek” — jakiż rozstęp, jakie niespodziane skojarzenie ! Takich skojarzeń czeka nas pewnie więcej. Z upływem czasu, w miarę oswajania się z zawartością *Vade-mecum* będą one równie samorzutnie i nieoczekiwanie wyskakiwały na powierzchnię świadomości, jak skojarzenie liryki Pawlikowskiej z liryką Norwida.

W NASZYM CZASIE I PONAD CZASEM

Ukazano tutaj *Vade-mecum* przede wszystkim w perspektywie historycznej. Należało to zrobić, aby wypełnić lukę zawinioną przez emigracyjnych wydawców zbioru. Ale ma on także inne perspektywy.

Czujemy instynktownie, że znaleźliśmy się dziś na jakimś rozdrożu poetyckim. Pewne wartości osiągają swój szczyt, a za nim nie widać nowej drogi. W takiej chwili *Vade-mecum* może być pomocne nie jako wskazanie dosłowne (było nim sto lat temu), ale wskazanie symboliczne. Jest w nim natężona wola niezależności, odwaga ryzyka, konsekwencja moralna i artystyczna, desperacka wierność sobie. A ta wola rozstrzyga o przemia-

nach w sztuce, ta wierność,odwaga i konsekwencja rozstrzygają o życiu sztuki i narodu.

Vade-mecum ma również wartość ponadczasową. Wartość kruszcu, który zakopany w czarnej ziemi, nie zetlał ale wydobyty na światło, zaświecił blaskiem, jaki ma wieczność. Przyjrzenie się tej tajemnicy wymagałoby rozważań co najmniej równie obszernych, jak te które tu przeprowadzono. Wystarczy stwierdzić tylko dwie rzeczy.

Gdyby w kataklizmie atomowym zginęło wszystko co Norwid napisał a uratowało się tylko *Vade-mecum,* byłoby to jeszcze wszystko lub prawie wszystko, byłby to on cały lub prawie cały. I drugie : ten zbiór zawiera kilka utworów ostatecznych, absolutnych, jak „Fortepian Szopena", „W Weronie", może „Ideały i prawda", może jeszcze inne.

To każe myśleć z gorzką pociechą, że jednak wezwanie samotnego poety sprzed stu lat nie było zupełnie daremne. Zostało dosłyszane, jak głos z innej planety. Będzie słuchane póki naszej mowy.

Tymon TERLECKI

Na średniowiecznym progu

1. WSTĘP

Zaczęło się burzą. Przyszedł Odoakr, król germańskich Herulów, i obalił Romulusa Augustulusa, młodocianego cesarza rzymskiego, kładąc tym kres przesławnemu Imperium Romanum. Rok był 476.

Skończyło się odkryciem. Odkryciem Ameryki, która wówczas uchodziła za Indie Zachodnie. Pojechał Kolumb, genueńczyk, i odkrył. Roku Pańskiego 1492.

Potem, bardzo potem, tysiąc lat zawartych między tymi datami, uradzili historycy nazwać *wiekami średnimi*, jako że *pośrodku* są, między dawnymi czasy a nowymi.

My, Polacy, średniowiecza tego mamy mało. Jako projekt na naród zaczęliśmy się wyłaniać gdzieś w okresie pierwszych trzech stuleci tej epoki. Jako znane historii państwo pojawiliśmy się zaledwie w X wieku. Język polski, w postaci szerszego rejestru imion własnych i nazw miejscowych, znamy dopiero z bulli papieskiej z roku 1136, nazywanej Złotą Bullą Języka Polskiego. Najstarszy ciągły tekst polski, to Bogurodzica, utwór powstały w XIII a może już w XII wieku. Najdawniej, w drugiej połowie XIII wieku, zapisane zdanie zawiera księga fundacyjna klasztoru henrykowskiego (Henrykowo) na Śląsku. Zatem, gdy mówimy o polszczyźnie średniowiecznej, oznaczać to może jedynie mowę końcowego okresu tej epoki.

Zabytki, w których się ta mowa dochowała, są w gruncie rzeczy skąpe i w treści ubogie. Trochę kazań, z nich najdawniejsze świętokrzyskie, z początków XIV wieku, przekład Pisma Świętego, żywot Marii Panny i Chrystusa, trochę pieśni i legend religijnych, nieco poezji świeckiej, jakieś tam drobne urywki, fragmenty i kawałki, w sumie słabizna, bieda, niekiedy wręcz dziadowszczyzna. Przepiękna Bogurodzica jest jednym z rzad-

kich wyjątków. Oczywiście musimy przyjąć, iż sporo tekstów nie dochowało się do naszych czasów. Takie np. Kazania świętokrzyskie cudem tylko odnaleziono — introligator pokrajał je w XV wieku na paski i zużył na oprawę, skąd kazania wydobył Aleksander Brückner. Trochę tekstów musiało zaginąć w napadach czeskich, litewskich, jaźwieskich, niemieckich i krzyżackich. Resztę nasi praojcowie sami poniszczyli, popalili czy pogubili. Jakkolwiek było, dochowana z tej samej epoki literatura polska w języku łacińskim, chociażby dzieła historyków, Kadłubka i Długosza — nie mówiąc już ani o Włodkowicu czy Ostrorogu — stoi na nierównie wyższym poziomie, był więc język ojczysty niewątpliwie pozostawiony przede wszystkim twórczości niższego gatunku.

Z pogańskiej pieśni i legendy nie zostało nam nic. Bez słowa odeszli ogień-Swarożyc i słońce-Dadźbog smęcąc się nad losem ludu swego niewiernego, gdy ten, na książęce rozkazanie, a za sprawą zapaleńców-nowinkarzy i przywoźnych cudzoziemców, do nowego, czesko-niemieckiego Boga tłumnie podążył. A z pewnością krzewiła się niegdyś pieśń-opowieść w cieniu dawnych kultów. Zwalczano ją tylko, energicznie i zapamiętale. Pogaństwo, jako siła polityczno-społeczna, długo jeszcze było groźne, i jeśli np. w okresie buntu w połowie XI wieku, istniała pieśń bojowa, mogła mieć w sobie siłę i gniew Marsylianki.

Gdy dochowaną do naszych czasów średniowieczną literaturę w języku polskim zestawimy z ówczesnymi dziejami państwa, tak jak je znamy od swoich i obcych dziejopisów, tym bardziej uderzy nas niesłychane jej ubóstwo. W pościgu za Henrykiem II konnica Mieszka, syna Bolka Chrobrego (zdobywcy Pragi i Kijowa a pogromcy cesarstwa niemieckiego), puściła się aż hen, za Łabę, we włości cesarskie, co dawało znakomity temat do pieśni-opowieści pochwalnej, triumfalnej. Nikczemny książę czeski Udalryk dla korzyści politycznych zaproponował Niemcom wydanie szukającego u niego schronienia Mieszka Bolkowica, co z godnością i oburzeniem cesarz Konrad odrzucił. Wieść o tym wydarzeniu musiała przecież poruszyć ówczesnych Polan. W roku 1047, w boju z wojskami Kazimierza Odnowiciela, zginął, po kilku latach walk, buntowniczy Masław, postać, która łatwo stać się mogła natchnieniem poetów. Idąc za złą poradą i gnany obawami o własne życie złamał Bolko Krzywousty przysięgę przebaczenia i bezpieczeństwa, złożoną bratu swemu Zbygniewowi i kazał nieszczęśnika oślepić. Niedługo potem Zbyszko zmarł. Te i podobne tematy bujniejsze były niż zamordowanie Jędrzeja z Tęczyna w roku 1461 i trudno nam pogodzić się z myślą, iż pieśń-opowieść współczesna pominęła je głuchym milczeniem. A rozgromienie Zakonu w roku 1410 i 1466?

Wyprawy własne i najazdy obce krwawą nicią snują się poprzez cały wzorzysty kobierzec średniowiecza. I trudno nam np. zadowolić się lichą wzmianką o napadzie Tatarów na Sandomierz i o misji Bodzanty do Rzymu, zawartą w „Pieśniach

Sandomierzanina". Wolimy więc myśleć, że pieśń-opowieść bogata istniała niegdyś i że tylko zły los nam jej nie dochował. Z buntem w sercu musimy poprzestać na tym, co z języka średniowiecznego i literatury zostało. A zostało zaledwie tyle, co *dwie słowie* z całej dawnej liczby podwójnej...

2. „DWIE SŁOWIE"

W kazaniu pochodzącym z ostatnich lat Jagiełły, zwanym praskim, jako że je w Pradze (czeskiej) znaleziono, każe kaznodzieja:

„A mowi tu Chrystus *dwie słowie* twardzie nam grzesznym: wiesielcie się a radujcie".

Twardzie nam grzesznym to: „zatwardziałym grzesznikom". Cóż to jednak za forma: *dwi-e słowi-e?* Wszak dziś powiemy: *dw-a słow-a*. Ale nie zawsze, bo: „mądrej głowie dość *dwie słowie*", że niby mądrali wystarczy krótko tylko o czymś napomknąć a wszystko od razu zrozumie. Bynajmniej nie zachodzi tu nałamanie *słowa* do *głowie*, żeby rym wyszedł. *Dwie słowie* to dawna *liczba podwójna*, zachowana w tym rymowanym powiedzeniu właśnie dzięki rymowi. Pojedyńcza: *słowo*, mnoga: *słowa*, a podwójna: (*dwie*) *słowie* (1).

Liczbę podwójną, używaną na oznaczenie dwu rzeczy lub dwu istot, znały niegdyś wszystkie języki indoeuropejskie (2), np. grecki, jeszcze w czasach historycznych, względnie szybko jednak zanikła. Tylko niektóre szczepy zachowały ją po dziś dzień. Inne mają tylko skostniałe jej ślady. Rację bytu tej liczby stanowiły części ciała ludzkiego występujące parzyście, jak: oczy, brwi, uszy, wargi, ramiona, ręce, nogi, kolana itd., oraz doniosła, biologicznie i socjalnie, rola pary ludzkiej, rodziców czy małżonków, w drugim zaś rzędzie dopiero osoby czy rzeczy występujące w parze przypadkowo, jak np. dwaj drogą idący żebracy albo dwu łotrów ukrzyżowanych obok Chrystusa.

Dzisiejsze *oczy* i *uszy*, które obecnie odczuwamy jako formy liczby mnogiej, są dawnymi formami liczby podwójnej. Stąd gdzie indziej nie spotykane narzędniki liczby mnogiej z dziwną końcówką *-yma* odbijającą od normalnej *-ami:* „patrzeć *ocz-yma*", „ruszać *usz-yma*", oraz dopełniacze liczby mnogiej na *-u: ocz-u, usz-u*. Właściwa liczba mnoga pływa po rosole (*ok-a*) albo w barszczu (*uch-a*). *Ok-a* są również w sieci, bardzo ich tam dużo, nie jak u istoty żywej tylko dwa. *Uch-a* pozwalają nam nosić dzbanki. Tak samo i *ręc-e* to dawna liczba pod-

(1) Por. dzisiejsze *dwie-ście*, obok *trzy-sta*. Pierwsze jest dawną formą iczby podwójnej, drugie — mnogiej.

(2) Rodzina języków indoeuropejskich obejmuje : język grecki, albański, celtyckie (walijski, szkocko-gaelicki, irlandzko-gaelicki i bretoński), germańskie, romańskie z łaciną, bałtyckie (litewski i łotewski), słowiańskie, ormiański, perski i szereg języków indyjskich z sanskrytem na czele.

wójna — mnoga byłaby *ręk-i* (Boże, jak to brzmi!...) — dlatego mówimy, że „jesteśmy w *ręk-u* Boga", i dlatego „machamy *ręk-oma*" (3). *Nodz-e* jednak wyszły już z użycia, mimo iż niegdyś „dał Bog przekłoć sobie ręce *nodze obie*" (4). Dziś używamy wyłącznie postaci liczby mnogiej: *nog-i*.

W średniowieczu liczba podwójna była „żywa": formy jej tworzono z taką samą swobodą jak dziś formy liczby mnogiej, to jest w zasadzie od każdego rzeczownika, czasownika, przymiotnika lub zaimka. W XV-wiecznym liście miłosnym jakiś rozkochany młodzieniec przesyła swej „namilejszej" „pokłonienie na *obiedwie kolenie aż do samej ziemie*" — albo wielki galant, albo łże jak krakowianie, kiedy „rączki całują" i „do nóżek padają" — bardziej już uwierzymy temu, który „poklęknął *nagimi kolanoma* do ziemie", bo Bogu, nie pannie, w ten sposób cześć oddawał.

Oczywiście liczba podwójna nie była bynajmniej ograniczona do nazw parzystych części ciała. Form jej używano również i na oznaczenie istot ludzkich, w parze występujących zgoła przypadkowo. Tak np. Kazania gnieźnieńskie (koniec XIV w.) zawierają opowieść o dwu braciach, których nauką swą doziemską opętał Św. Jan Ewangelista:

„*Byłasta* (5) *dwa bracieńca* (6), *tać* swoja miasta, grody i dziedziny, wszyćko bogactwo *sprzedała,* a ubostwu i teże na kościoły rozdali".

Szybko jednak znudziło się naszym „bracieńcom" to święte biédoklepstwo i zatęsknili z powrotem do urody życia. Więc im zagniewany św. Jan cudem dobra ziemskie przywrócił, nieelegancko grożąc szykanami na tamtym świecie — tam się dopiero na nich odegra...

Opowiada pieśń z XV wieku jak to Świętemu Krzysztofowi, osadzonemu w więzieniu, złośliwy i w swoje zabiegi dufny cesarz „do ciemnice" w niewłaściwych celach „*dwie pannie* piękne przysłał" i zaraz wiedziałem, że Święty na to nie pójdzie... Nie tylko oparł się panieńskiej inwazji, ale nawet obie kusicielki chyżo na wiarę chrześcijańską nawrócił.

W „Rozmyślaniu przemyskim" (XV wiek) czytamy o tym, jak Józef cieśla „dał słudze swojemu *dwie drzewie*", świadectwo, a takich wiele, że i każdy przedmiot martwy mogli nasi praojcowie bez większego kłopotu przyoblec w szaty liczby podwójnej.

---

(3) Samo *ę* w końcówce jest nowsze. W Psałterzu floriańskim : „Rzeki plęsać (to jest klaskać) będą *rękama*" — to była pierwotna końcówka żeńska.

(4) Jeszcze Wacław Potocki w Nowym Zaciągu (1698) tak pisze o Męce Pańskiej:

Toż *obiedwie* straszliwym jednym gwoździem *nodze*
Aż przez pięty do krzyża przybijają srodze.

(5) „Ściągnięte" z *była jesta,* trzeciej osoby liczby podwójnej czasu przeszłego.

(6) *Bracieniec* tyle co *brat*, tylko że spieszczone.

Tu dajmy wyraz refleksji krótkiej, gramatycznej. Prawdziwe to błogosławieństwo boże, że żaden język nie zna liczby poczwórnej (7), popiętnej, podziesiętnej czy potysięcznej, bo takiej mnogości form żadna pamięć ludzka by nie uniosła, liczebniki by się pogubiły i rachować musielibyśmy przestać! Owszem są pewne figliki w *liczebnikach* — dzieci mamy *pięcioro*, złotych tylko *pięć* — ale to jeszcze czcza zabawa w porównaniu z teoretycznym koszmarem potysięcznej liczby.

Tak więc dawniej wszystko ponad dwa załatwialiśmy a dziś wszystko ponad jeden załatwiamy hurtem, bez różnicy, formami liczby mnogiej, i bynajmniej źle się nam nie powodzi. Jeżeli źle, to z zupełnie innych przyczyn... Z liczbą podwójną rzeczownikową rozstaliśmy się bez wzajemnych żalów i złorzeczeń gdzieś w początkach XVIII wieku, choć szczątkowo nieobca jest nawet Mickiewiczowi o nas samych nie mówiąc. Zresztą już w znanym nam średniowieczu nie była zbyt konsekwentnie używana i cierpiała od najazdów liczby mnogiej.

Mówi się, iż liczba podwójna jest świadectwem zacofania kulturalnego, nieledwie barbarzyństwa, a wyzbycie się jej — postępem. Lekka w tym przesada, bo litewski chłop z żyznej płaszczyzny na zachód od Kowna, który po dziś dzień tej formy używa, nie jest wcale gorszy od swego polskiego pobratymca z ubogiego Mazowsza, gdzie ,,podwójki'' już dawno nie ma, a bieda aż skrzypi... A zanik rzeczownikowej liczby podwójnej w literaturze staropolskiej właśnie poprzedza ponurą epokę upadku pod rządami obu Sasów. Jan Kochanowski i Stanisław Orzechowski liczby podwójnej szeroko używają, a taki ks. Benedykt Chmielowski, król bzdury wierutnej i głupoty (XVIII wiek) — już nie. Coś jednak w tych uczonych mężów gadce jest, bo — węże przemądre — bez powodu by tego nie głosili, a kult dwói, dwójki, wyraźnie czymś nieczystym, łysogórską magią trąci, i szczęśliwiśmy, żeśmy się z tego czartowskiego mroku na jaśniejsze szlaki wydobyli... A i nadal, Boga chwalić, wszystkiego, co nam trzeba, mamy po parze, w poligamię nie popadliśmy, jak się nam ma w oczach dwoić, to się i tak dwoi, a szarzyzna mnogości nie rozróżnianej wcale nam nie straszna.

Dwuwiersz z *dwie słowie* zachowaliśmy sobie na pamiątkę. Jak grudkę złocistego, bałtyckiego bursztynu z muchą w środku. Ale mucha już nieżywa.

Stanisław WESTFAL

(C. d. n.)

(7) Potrójna występuje w narzeczach pierwotnych mieszkańców Australii.

Trzy po trzy

I

TRZY WIERSZE PUSTYNNE

* * *

Góra skalna
lśniąca tronowa
wzorzyste dywany z chmur
słońce czara złota
sępy wstępujące i zstępujące
po szerokich schodach powietrznych

uczta wietrzna
pierzaste królowanie
drapieżne cesarstwo.

* * *

Kiedy zachód mroku
kiedy ciemność zapada przedwcześnie
na przełęczy dnia
kiedy oko słoneczne
przerażająco pustynne
bielmem się zwiera śmiertelnym
wtedy się szorstkie wargi wielbłądzie
rozdziawione i starcze
żegnają z goryczą istnienia.

* * *

Kompasem mi jest kaktus
busola relatywistów.
O gdybym się mógł rozwielić
w marsz wielodrożny

ku równoczesnym, wesołym
odległym od siebie oazom!

Lecz jestem tylko
wiecznie pragnącą jednią
zjawy kaktusowe
w tan cierpienia mnie wiodą.

II

TRZY WIERSZE ROZWAŻAJĄCE

* * *

W ogrodzie filozoficznym
tej jesieni był bujny urodzaj
obrodziły ziarna przesłanek
wśród jarych jędrnych kryteriów
okrągłe słoneczniki
pragmatyczne symbole żarliwego światła —

I na ziemi kręgi złociste
i na niebie gorejący krąg
— systematyczna jasność
— zgodność wewnętrzna.

Czemuż jeszcze co rano przed świtem
słyszę turkot obłędnych kół
rozchybotanych wozów cygańskich
przez ośli pędzących most
na wspak?

* * *

Po parku w nocy
chodzą chude konie na szczudłach
przeglądają się smutnie w stawie
i rżą, rżą żałując żałośnie.

Trzeba się pogodzić
unikać smutnych stawów.

Popatrz, mnie także
ratuszowy zegar
przybił myśl zbyt wesołą i lotną
do ciężkiej ołowianej chmury.

* * *

W kamienne szare
podmiejskie soboty
gdy mgieł przypływ
zalewa ulice
gram na cytrze
śpiewając starowiejskie wonne pieśni.

Czy pieśń moja
przez stawy mgieł przepłynie?
Czy ziołom się wonnym pokłoni?

Na pustym strychu
starzejący się pająk
gra bezgłośnie
palcami szeptu
chorał pajęczy
na siwych strunach ślepych sieci.

III

TRZY WIERSZE SKOŚNE

* * *

Kronolog pisze chroniczne kroniki
chroni chruściela chropawca
od groźnych chrząknięć historii
chrzan stołowiec
chomąto zakłada chochlicy
chochołów chmara chrapie pod chloroformem
brzuchomówca chrupiec chmieli się w barze
w chmurnym chramie
chwiejnego chudego żywota.

* * *

Gdy w elektrolit zanużone płyty
żarem niepomnej cieczy
prąd w obwodzie krzeszą
i kiedy z cząstek kruszcu
niezliczoną rzeszą
sił niewidzialnych płynie orszak znakomity
z anody oblicza najżarliwszej płyty
tryskają molekuły...

Wiersz ten miał być o miłości,
pisany na serio
takie bowiem przewagi ma duch nad materią.

* * *

W budce szklanej
w telegraficznej gablotce
zmęczona moja głowa
ciężka, zatknięta na krawat
oprawna ramami lustra,
jedyne heroiczne trofeum
jakie przywiozłem z oblężeń.

Przypatrują się
przez szybę mej głowie
zatkniętej na pal bawełniany
trzej zamyśleni widzowie
w muzealnej ciszy wieczoru

lecz nagle
trzy niecierpliwe palce
zapukały do okna gablotki
spłoszyły tę metaforę
chociaż zapadał już zmrok.

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Week-end na farmie Spring-Hill

M o n i c e.

1.

Na przystanku autobusowym oczekiwał mnie Piotruś. Zaledwie autobus ruszył pozostawiając nas samych na prostej i pustej szosie — Piotruś wypalił swoją wiadomość:

— Sad zakwitł i jutro przyjedzie pan Ashbeam!

Nim zdołałem wyczuć jakiś sens w tym dziwnym meldunku, chłopak wskoczył na swój zielony rower i odjechał w kierunku Nantwich. Patrzyłem za nim jak malał, topniał, wiotczał, rozpłaszczał się aż wreszcie wsiąkł całkowicie w szarą taśmę gościńca.

Gdy po półgodzinnym marszu dotarłem do Spring-Hill stwierdziłem naocznie, że sad kwitł niezwyczajnie. Schodziłem zachodnim zboczem wzgórza. Sad wychylił się z kotliny jak widokówka powiększona do naturalnych rozmiarów. Kwitły jabłonie... blado-różowa okiść na bezlistnych, brązowych, lepkich gałęziach. Ukośne, czerwone, zachodzące słońce smagało pnie i różowiło od spodu gałęzie obsiadłe rojami kwiecia.

Przystanąłem. ,,Tak, to jest wiosna'' — pomyślałem nabijając fajkę. Równocześnie zdałem sobie sprawę, że w rzeczywistości myślałem o kwitnących jabłoniach w sadzie nad Łososiną i o jabłoniach w Czechach w Proszowskim. Ten sad angielski odegrał tylko rolę anonimowego bezosobowego wywoływacza i swoją młodą urodą pomógł jedynie odrestaurować martwe obrazy z których wyciekły kolor i krew. Jest właściwie coś obrzydliwego w takiej transfuzji życia w próchno.

Spojrzałem z niechęcią na kwitnący sad. Pochłodniało. Zagryzłem mocniej fajkę i wolnym krokiem ruszyłem ku domostwu Jana.

2.

Nie cierpię takich bratersko-patriotycznych scen i w chwili gdy przełknąłem ostatnią łyżkę kwaśnego mleka — nie miałem wątpliwości czego należy oczekiwać. W czasie kolacji panował ponury nastrój i jedynym zadowolonym biesiadnikiem był Master Piotr, dziewięcioletni synem Andrzeja, który rozprawiał głośno o wizycie pana Ashbeama, o kwitnącym sadzie i o kolorowym filmie.

Kolację spożywaliśmy we trójkę, bo pani Jadzia (żona Jana) przebywała poza sceną w kurnikach, które stanowiły zasadnicze źródło utrzymania państwa Zaklików.

Nie było tu ani dworsko — ani ekonomsko — ani chłopsko — ani wsiowo. Izba z prostym drewnianym stołem (barakowym) była pokracznym dziwolągiem. Fotel koło kominka obity zielonym pluszem należał niewątpliwie do dawniejszej atmosfery, kiedy żyli tu państwo Brayan. Na kominku stały duże, nieoprawne fotografie z Afryki i z Włoch. Na wszystkich zdjęciach Jan w hełmie za kierownicą jeepa — uśmiechnięty, pewny siebie, podpułkownik zwycięskiej armii. Na ścianach mapy, szkice, mapniki, lornetki zawieszone bezpretensjonalnie na zwykłych gwoździach.

Teraz Jan siedzi przede mną na polowym krześle (które stało we wszystkich jego schronach i namiotach) w brudnym battledressie zawalanym kurzym nawozem. Od tych czasów zmienił się niewiele.

Jest coś zdumiewającego w tym braku osiadłości na tej, pożal się Boże — wsi. Nic tu w nic nie wrosło, nic o nic się nie zazębia, przedmioty, rzeczy, meble stoją obok siebie nie powiązane żadnym sensem, żadną jednością — jak czerepy wyrzucone na brzeg falą powodzi.

Rozmowa nie kleiła się. Nie doczekaliśmy się również pani Jadzi.

Dobrze po 10-ej, gdy już byłem u siebie w pokoiku na górze, przyszedł Jan. Usiadł na tapczanie i wyciągnął nogi przed siebie.

— Czytasz, jak zwykle, Gołubiewa — uśmiechnął się.

— Ha, to jest jedyna książka, która zdobi jedyną półkę w tym pokoju. Poza tym robię sobie wiejski nastrój. Gołubiewa doskonale czyta się przy świeczce — okno uchylone, za oknem sad... Czy wśród takiej scenerii można by czytać Bertranda Russella?

Jan w milczeniu kręcił papierosa.

— Wczoraj wróciłem z Londynu — odezwał się po chwili. — Miałem przykrą i ciężką rozmowę z Andrzejem.

— Dobrze, że mnie przy tym nie było, bo to twoje wieczne nudzenie i zrzędzenie już naprawdę mi zbrzydło. Przestań moralizować i pomstować. Andrzej jest młodszy od ciebie o dwanaście lat i pozwól mu żyć jego własnym życiem. Nie on pierwszy

przechrzcił się na Greenwood'a i nie on pierwszy przyjął obce obywatelstwo.

Jan palił w milczeniu więc perorowałem dalej:

— Trzeba wykrzesać z siebie trochę wyobraźni. Nie wszystko w Andrzeju jest karierowiczostwem jak ty myślisz. Wiesz — byłem u nich w dniu w którym kupili wreszcie ten domek na Acton. Ach, cóż to była za radość!

— Paskudztwo, rzadkie paskudztwo — syknął Jan przez zęby.

— Mój Boże, dla ciebie czy dla mnie to jest tuzinkowy domek-pudełko, jakich setki stoją wzdłuż każdej podmiejskiej londyńskiej ulicy. Ale dla Andrzeja to jest pierwszy jego dom. W tym domu urodziła się Stenia. Ten mały pokraczny ogródek przed domem jest zaczarowanym ogrodem dzieciństwa Steni i Piotrusia. Jeżeli kiedyś — bo ja wiem... za 50 lat Stenia będzie sobie szła wczesną wiosną po Zwierzynieckiej w Krakowie, to pierwsze liście kasztanów przywiodą jej na pamięć jej ogródek na Acton i ów rachityczny londyński platan, którego zieleń będzie dla niej zawsze najsoczystsza, najpiękniejsza i najbliższa. Zrozum to Janie — twoi bratankowie Piotruś i Stenia są rodem stąd, z Londynu. Andrzej będzie zawsze cudzoziemcem w oczach swoich własnych dzieci. Czy dziwisz się mu, że kochając Piotrusia i Stenię chce się naturalizować w ich kraju, chce zabrukować pas obcości jaki rośnie między nimi.

— Ale dlaczego on ma naturalizować się w ich kraju? Piotr i Stenia choć urodzeni w Anglii winni naturalizować się w polskiej atmosferze domu ich ojca.

— Wierz mi, Janie, to wszystko nie jest takie proste. Atmosfera domu jest ważna ale najwspanialsza atmosfera to jeszcze nie ojczyzna. Ojczyzna to jest ziemia, to jest miasto, gdzie ludzie na ulicach mówią po polsku, to codzienne sprawy, przeżycia i doświadczenia, które latami budują w człowieku treść polskości. Basia prosiła mnie bym od czasu do czasu poczytał z Piotrusiem ,,Pana Tadeusza''. Odbyliśmy kilka takich posiedzeń. Powiem ci otwarcie — sprawa jest beznadziejna. Twojemu bratankowi trzeba tłumaczyć rzeczy, które w Londynie są nie do wytłumaczenia. Kto to są chłopi? — utknęliśmy na samym wstępie. Czy to są farmerzy, robotnicy rolni sprowadzani z zagranicy? Czy farma a majątek ziemski to jedno i to samo? Mój drogi na to by wiedzieć co to są chłopi trzeba żyć w Polsce dwadzieścia lat. Na to pytanie nie ma innej odpowiedzi. Za każdym polskim pojęciem jak: naród, ziemia, dwór, inteligencja, robotnicy, małorolni, za każdym polskim słowem ciągnie się łańcuch skojarzeń i doświadczeń nizany na nić pamięci od najwcześniejszego dzieciństwa i różnorodne bogactwo tego łańcucha jest istotą faktu, który potocznie określamy jako znajomość języka polskiego. W ojczystym języku musi się żyć i róść. Ojczystego języka nie można nauczyć się z książek.

Jan tarł czoło charakterystycznym ruchem.

— To nie o to chodzi — podjął wolno. — Bynajmniej nie

o to — powtórzył ze skupioną uwagą. — Trudność rozmowy z tobą polega zawsze na tym, że ty wygłaszasz gotowe artykuły i zupełnie nie interesujesz się twoim rozmówcą. Chodzi mi o coś zupełnie innego — zamilkł i odpalił papierosa od świecy, która stała na stoliczku obok tapczanu.

— Więc o co ci chodzi?

— Nie zabieram głosu w sprawie dzieci tu urodzonych. Nie mam takich dzieci. Mój rozdźwięk z Andrzejem a po części i z tobą, jest na zupełnie innym tle. Andrzej zarzuca mi fałsz...

— Ależ Janie nikt nie zarzuca ci fałszu!

— Owszem, w gruncie rzeczy to się do tego sprowadza. Andrzej uważa, iż moja postawa życiowa jest pozą a wszystko co mówię jest frazesem. W pewnej mierze i ty tak myślisz.

— Posłuchaj! — ożywił się nagle. — Wspomniałeś przed chwilą Bertranda Russella. Powiedz mi czy podjąłbyś się przetłumaczyć dla Russella testament Piłsudskiego? W końcu wszystko można z polskiego przetłumaczyć nie tylko na angielski ale nawet na chiński. Wszystko można zanalizować, skomentować, objaśnić. Lecz są sprawy, które — by móc zrozumieć, trzeba wpierw pojąć. Czy podjąłbyś się wytłumaczyć w pełni i bez reszty Russellowi, że Piłsudski, bojownik rewolucyjny, zwycięski wódz, mąż stanu, z realistycznych polityków najrealniejszy, realny aż po granice brutalnej bezwzględności — na kilka dni przed śmiercią napisał swój testament w formie cytatu z XII pieśni Beniowskiego i że fakt ten nie był ani fałszem ani pozą. Pamiętasz ten tekst? Na urzędowym papierze Marszałek napisał: ,,na kamieniu czy nagrobku wyryć motto wybrane przeze mnie dla życia: ,,Gdy mogąc wybrać wybrał zamiast domu .... Gniazdo na skałach orła — niech umie..."

Czytałem wiele razy ten testament. Jego duchowy autentyzm jest oczywistością dla każdego, który znał Piłsudskiego. Ileż razy w ciągu lat musiał on powtarzać sobie w myśli słowa o ,,źrenicach czerwonych od gromu" nim dogorywając jako wódz i marszałek w Belwederze, skreślił je na ćwiartce papieru by mottem tym zamknąć swe życie.

By wyjaśnić pełny autentyzm tego testamentu cudzoziemcowi z Zachodu — trzeba by opracować obszerne studium i przedstawić wyjątkowy wpływ polskiej poezji romantycznej na polską politykę. Mówiłeś mi kiedyś, że istnieje teoria według której zasadniczy wpływ na kulturę amerykańską wywarły ,,kresy", które przesuwały się coraz dalej w głąb wielkiego kontynentu.

— Tak, to jest teoria ,,granicy" Turnera.

— Otóż mnie się wydaje — podjął Jan ponownie — że nasza poezja romantyczna jest w jeszcze większej mierze uwarunkowana geopolityką. Jeżeli twoje literackie ucho razi tego rodzaju określenie nie zapominaj, że rozmawiasz z żołnierzem z fachu i zamiłowania — zaśmiał się cicho.

— Mów dalej.

— Gdyby Polska była Szwecją, gdyby nasze położenie geo-

polityczne było niekłopotliwe, łatwe i wygodne nie powstałby „Pan Tadeusz" ani żadne inne arcydzieło naszej poezji romantycznej. Ale to jest tylko jedna strona medalu. W moim przekonaniu w tym położeniu geopolitycznym mógł przetrwać tylko naród zdolny do tworzenia sztuki, która potrafiłaby formować Piłsudskich.

Ponieważ na Zachodzie ani w XIX ani w XX wieku poezja nie dynamizowała społeczeństw, wodzów czy mężów stanu — ponieważ w Europie, poza Polską, nie było wieszczów — dla cudzoziemca testament Piłsudskiego jest fenomenem niezrozumiałym, trącącym pretensjonalnym gestem i tanią romantyką. Rozmawiałem kiedyś o tym z Andrzejem. Można się pogodzić z faktem, że pewne zjawiska narodowe czy plemienne są niezrozumiałe dla obcych, niezrozumiałe aż po granice nieprawdopodobieństwa. To znaczy, że obcemu wydają się nieautentyczne, wydają się czymś innym niż są w rzeczywistości. Ale Andrzej nie jest cudzoziemcem. Powiedz mi gdzie leży ów nieszczęsny „38 równoleżnik", który gdy się raz przekroczy — co dawniej było prawdą widzi się frazesem?

— Ten równoleżnik przebiega przez twoją Spring-Hill Farm. Ten równoleżnik dzieli dwa pokolenia.

Jan milczał, wpatrzony w chybotliwy płomyk świecy.

— Słuchaj Janie!... Uprośćmy zagadnienie. Sprowadźmy wszystko do codziennego poziomu — odrzućmy „literackość", która jest rdzą toczącą emigracyjną polskość. Zastanów się i powiedz po prostu co w twoim mniemaniu kopie ową przepaść między tobą a Andrzejem, między tobą a mną?

Jan sfałdował brwi i uśmiechnął się z przymusem.

— Wy umiecie wyobiektywizować się z polskości — umiecie patrzeć na polską rzecz z zewnątrz.

— Przykład?

— Przykład... proszę bardzo, już się robi. Ty, mój drogi, w twoim Londynie siedzisz sobie, czytasz, medytujesz, analizujesz, porównujesz a potem rozumowo-realistycznie wszystko wykpisz. Rozepniesz polskiego motylka szpilkami na mapie wielkiego świata i pokażesz jaki on mały, biedny, niekolorowy, chuderlawy i wczorajszy.

— Przepraszam!

— Spokojnie, pozwól skończyć. A jak sobota nadejdzie, siadasz w autobus, jedziesz do Spring-Hill i zawijasz po polsku sentymentalnie kwaśne mleczko z ziemniaczkami i ze skwareczkami, a później idziesz do pokoiku na górze — otwierasz lufcik, zapalasz świeczkę, kładziesz się do łóżka i przy świeczce — przy otwartym lufciku na kwitnący sad czytasz sobie wysokopiennego, szumnego Gołubiewa. Usypiając myślisz — szkoda, że to ryczą krowy a nie rżą konie. Dlaczego ten cały Jan nie ma koni tylko te głupie krowy i kury. Dla ciebie polskość to teatr wyobraźni, który wozisz ze sobą po świecie i którym ty dyrygujesz. Robisz to dyskretnie i wstydliwie, by cię nikt na tym nie przy-

łapał i w gruncie rzeczy poczytujesz sobie to za słabość i za wspominkarstwo.

— No a ty?...

— Ja... ja nie umiem tym komenderować — „to" do dziś komenderuje mną.

3.

— Kogo ja widzę, panie redaktorze, nie widzieliśmy się 500 lat! Nie poznaje mnie pan? Utyło się trochę, utyło. Pamięta pan Randauera z czołówki filmowej dywizji... no, daj Boże zdrowie.

Pocałowaliśmy się z dubeltówki.

— Pan pułkownik wyjechał do sortowni ale jakoś może damy sobie radę. Pan tu częstym gościem?

— Wpadam czasem na week-end, ale niech pan zdejmie płaszcz, usiądzie, pani Jadzia zaraz kawę poda.

— Chwała Bogu jakoś się trzymamy, jakoś się trzymamy — powtarzał pan Ashbeam-Randauer rozglądając się bystro po izbie. Nie usiadł, rozpiął natomiast płaszcz i szybkimi, drobnymi kroczkami — chciałoby się powiedzieć — przefruwał od przedmiotu do przedmiotu, od szkiców i map na ścianach do małych włoskich granatów z czerwonymi główkami, które stanowiły dekoracyjną plamę na kominku.

— Pamięta pan? Piliśmy z nich rum włoski na Zachodniej Pustyni. Ach, cóż to było za świństwo!

Istotnie piliśmy z tych „Bredów" rum włoski — ale nie podjąłem „wątku wspomnień" zafascynowany odkrywczą rewizją, którą przeprowadzał Randauer. Z kokietliwą, pieszczotliwą delikatnością fachowego kolekcjonera brał do rąk każdy przedmiot, oglądał pod światło, zdmuchiwał pył, próbował paznogciem plamek rdzy.

Ukląkł i ostrożnie wydobył z paleniska długi francuski bagnet, który służył Janowi za pogrzebacz.

— Co to jest? — podniósł na mnie rozanielony wzrok.

— To jest tak zwany „śledź". Z takimi bagnetami Brygada przyszła do Palestyny. Później zdaliśmy cały francuski sprzęt i wyfasowaliśmy angielskie, krótkie bagnety.

— Ach, to nie o to idzie — żachnął się niecierpliwie. — To jest wszystko wprost cudowne, niech mi pan wierzy, to jest cudowne!

Oczy Randauera skakały po izbie jak ping-pongowe piłeczki. Przez chwilę jego wzrok zatrzymał się na wojskowym płaszczu Jana, który wisiał na gwoździu w kącie. Przefrunął ku niemu — zdjął go ostrożnie z gwoździa i zarzucił szeroko na pluszowy zielony fotel.

— Teraz lepiej... — uśmiechnął się przymilnie. — Ten zielony plusz to strzęp z innego świata — pan to rozumie, prawda?

Znów podbiegł do kominka — poprawił kompas, wyprostował przygarbione fotografie i nagle obrócił się jak fryga i wbił we mnie poważny wzrok.

— Pan wie... to jest majątek, niech mi pan wierzy to jest majątek.

— Co... ta kupa gratów i wojskowych maneli?

Randauer skrzywił się i wyciągnął papierośnicę. Wyjął papierosa i stukał nim długo o lśniące srebrne wieczko. Ze znawstwem i z zadowoleniem wytrzymywał „retoryczną kwestię". Zapalił, zaciągnął się głęboko, puścił koszlawe kółko i odezwał się z niedbałą wyższością fachowca.

— Ten autentyzm jest wart duże pieniądze, kolego — duże pieniądze.

— Pan znał Piekocia? — podjął po chwili rozsiadając się wygodnie w polowym krześle Jana.

— Tak, przypominam go sobie z Neapolu.

— My razem z Piekociem mamy Diana-Film. Słyszał pan coś o Diana-Film?

— Sorry, nic nie słyszałem.

Randauer pokiwał smętnie głową.

— Tak, pan już odszedł od tych rzeczy...

Puścił znów kilka koszlawych kółek i energicznie zadusił dopalonego papierosa na spodeczku, który pełnił funkcje popielniczki.

— O materiał jest coraz trudniej, niech mi pan wierzy, coraz trudniej.

— O jakim materiale pan mówi?

Randauer uniósł wysoko brwi, tak wysoko, że się niemal zbiegły z linią ciemnych, wypomadowanych włosów.

— Pan nie wie w czym ja pracuję? Pan nie wie co ja robię od czternastu lat? Polski folklor, polska propaganda — jak pan woli... Ha! — obruszył się urażony.

— Nie wiedziałem, że po wyjściu z wojska i z czołówki filmowej dalej się pan w tym babrze.

Randauer pojaśniał i zaśmiał się cicho.

— Pan wie... ja już taki umrę. Ja nic innego nie umiem robić. Mnie nic innego nie cieszy, pan rozumie... Nic mnie nie cieszy tylko to!

— No, dobrze, ale co pan właściwie robi w tym Diana-Film?

Randauer poderwał się na krześle i uderzył otwartą dłonią w stół.

— Teraz jest koniunktura na te rzeczy — pan wie. Ach, oczywiście nie tu — skrzywił się ze szczerym obrzydzeniem. — Nie tu. W Ameryce. Tam jest wielka koniunktura. Oni mają pieniądze i kochają te rzeczy, rozumie pan. Pan może czytał w Dzienniku, teraz będziemy mieli uroczystości dziesięciolecia bitwy o Monte Cassino. W Ameryce sprzeda pan każdą ilość

pocztówek, każdą ilość fotografii, każdą ilość krótkometrażówek, każdą ilość klisz do wyświetlań, ale towar, panie, musi być prima, autentyki, rzeczy dokumentalne, że mucha nie siądzie. Nowa emigracja w Ameryce ma dość tego folklorystycznego szmoncesu, tych krakowiaków, tych górali, tego papieru, tej hucpy. To są nasi ludzie przyzwyczajeni do czegoś innego. Chcą dobrego prawdziwego materiału wojskowego, rozumie pan?

— Zaczynam rozumieć...

— No widzi pan. — Randauer uśmiechnął się przyjaźnie. — Tak to teraz wygląda, koniunktura by była ale materiału nie ma. Nie ma pan wyobrażenia jakie mamy trudności z Piekociem w wyprodukowaniu serii głupich pocztówek. A zamówienia — owszem — są. Z Detroit, z Chicago, z Nowego Jorku. I niech mi pan wierzy można upychać nie tylko pocztówki ale i większe rzeczy... Hm... szkoda, że pan tak całkiem odszedł od polskich spraw.

Randauer zamilkł i zamyślił się. Patrzył melancholijnie przed siebie i bębnił palcami po blacie stołu.

— Tak to wielka szkoda, że pan odszedł od polskich spraw, panie Juliuszu. Pamięta pan, w Neapolu pisywał pan dla nas teksty. Były czasy nie wąskie, co?

Pyknąłem silniej z fajki na znak, że podzielam w pełni opinię mojego rozmówcy o neapolitańskich czasach.

— Ale i dziś można robić piękną robotę — ożywił się Randauer i zapalił nowego papierosa. — Ot, co tu dużo gadać — niech pan spojrzy wokół siebie. Nigdy nie przypuszczałem, że można w Anglii jeszcze znaleźć coś podobnego. Wszystko, panie, gotowe, autentyczne, dokumentalne — nic tylko kręcić. Tytuł... — wstał z krzesła jakby do wygłoszenia toastu — tytuł: „W dziesięć lat po bitwie o Monte Cassino". Podtytuł: „Polscy osadnicy wojskowi trwają...". A teraz niech pan patrzy: ekran — zbliżenie... pułkownik Jan Zaklika w battle-dressie bez odznak tu na tym krześle przed tym stołem. Stół przykryty wojskowym kocem oczywiście a nie tą głupią serwetą. Pułkownik patrzy wprost na widownię. A teraz fajna panorama. Piekoć jest, panie, spec od takich rzeczy. Pokaże każdy szczegół tej żołnierskiej izby — i ten kompas, i te granaty na kominku, i ten bagnet-pogrzebacz, i te fotografie z akcji, te szkice, mapy, lornetki, mapniki, tego orzełka pancernego wprawionego w wieczko pudełka z tytoniem, płaszcz wojskowy na gwoździu, tę skrzynię amunicyjną w której pułkownik węgiel trzyma — wskazał palcem i spojrzał na mnie podejrzliwie.

— A co?.. Pan tu bywa co tydzień, ale pan nie zauważył, że to skrzynia amunicyjna, hę? Ja jestem pies na te rzeczy... ja, panie, wszystko wypatrzę — zarechotał dziarsko i podfrunąwszy drobnymi kroczkami w stronę kominka kopnął czarną uwęgloną skrzynię. Jękneła głucho, blaszanie, trumiennie.

4.

Po południu Ashbeam-Randauer z panią Jadzią wybierali grupę najpiękniej kwitnących jabłoni. Piekoć spotkał przed kilku tygodniami w „Orle Białym" Jana i opowiedział mu, że otrzymał z Detroit zamówienie na serię kartek o motywie: „Ułan i dziewczyna". — „Najefektowniej takie kawałki wychodzą na tle kwitnących wiśni lub jabłoni" — zwierzył się pułkownikowi. Jan obiecał wówczas, że zawiadomi kartką Randauera jak zakwitną jego jabłonie w Spring-Hill.

Był już zmierzch gdy schodziłem zachodnim zboczem ku szosie wiodącej do Nantwich. Sad stał osamotniony w różowej bieli. Może za lat dziesięć czy piętnaście Piotruś spojrzy na niego inaczej niż my. Może którejś wiosny pod tymi drzewami prawdziwie pocałuje prawdziwie zakochaną dziewczynę. Niech by nawet była Angielka.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Archiwum polityczne

Zakończona próba

LIST EPISKOPATU Z 8 MAJA 1953

Rok upłynął od wysłania przez Episkopat Polski zebrany na konferencji plenarnej w Krakowie, w dniu 8 maja 1953 roku, listu-memoriału do Bieruta. Mimo szerokiego rozpowszechniania przez prasę i radio, a także dokonania szeregu przekładów na języki obce, wydaje się, że właściwy sens tego dokumentu nie zawsze został należycie zrozumiany. Niniejszą kronikę poświęcamy interpretacji listu, który nie stracił po roku nic ze swojej aktualności (*).

1.

Przyczyną wspomnianego niezrozumienia jest utarty na Zachodzie pogląd na stan faktyczny w Polsce i na stanowisko Episkopatu katolickiego krajów okupowanych w latach ubiegłych. Poglądy te można streścić w następujących dwóch tezach:(1) W tych krajach szaleje od początku krwawe prześladowanie. (2) Episkopaty zajęły w nich od początku stanowisko wrogie reżimom okupacyjnym. W tym świetle list Episkopatu polskiego wydał się tylko potwierdzeniem przyjętych poglądów — co prawda autorytatywnym i dramatycznym, ale nie różniącym się zasadniczo od takich wypowiedzi jak np. list tegoż Episkopatu w sprawie ,,Caritas''.

Chodzi naszym zdaniem o nieporozumienie. W Polsce w ciągu pierwszych lat okupacji komunistycznej krwawego prześladowania nie było; przeciwnie, mimo wielu szykan i zamachów — aż do mordów popełnianych na księżach i aresztowań biskupów włącznie — życie religijne mogło się rozwijać ,,z względną swo-

(*) Tekst cytujemy według wydania Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w Wielkiej Brytanii, Londyn 1953. Wydanie to nie jest bezbłędne, ale lepszego tekstu nie posiadamy.

bodą" jak stwierdza sam Episkopat, a Kościół był *de facto* i *de jure* rządzony przez swoją prawowitą hierarchię. Pierwsza teza jest zatem fałszywa; należy ją zapisać na rachunek znanego *wishfull thinking*. Fałszywa jest także druga teza: Episkopat polski *nie* zajął na początku stanowiska wrogiego reżimowi okupacyjnemu. Przeciwnie: stanął zdecydowanie na gruncie uznania tegoż reżimu za rząd prawowity i dokładał wszelkich starań, aby doprowadzić do zgodnego z nim współżycia. Te dwie — naszym zdaniem oczywiste — rzeczy muszą być z całą jasnością stwierdzone, gdyż tylko w ich świetle omawiany list nabiera właściwego znaczenia.

Obok tej zasadniczej przyczyny, na niezrozumienie sensu i doniosłości listu wpłynęła, jak sądzimy, także ciasno-nacjonalistyczna postawa wielu jego czytelników na Zachodzie, jaskrawo przeciwna stanowisku Episkopatu polskiego. Analizując list z tej podwórkowej perspektywy wielu nie umiało dopatrzyć się w nim niczego poza urzędowym stwierdzeniem krzywd zadanych Kościołowi Polskiemu. A tymczasem list Episkopatu przekracza swoim znaczeniem granice spraw polskich. Biskupi występują w nim nie tylko jako pasterze swoich diecezji i jako Polacy, ale ponadto jako Książęta Kościoła Powszechnego, prowadzący sprawy lokalne w pełnym poczuciu ich ponad-narodowej wagi.

2.

Episkopat wyjaśnia na początku listu, dlaczego zabiera głos: dekret lutowy o obsadzaniu stanowisk duchownych „zdaje się zamykać okres wszczęty przez zawarte w dniu 14 kwietnia 1950 roku Porozumienie", w tych warunkach konieczne jest przedstawienie wyników tego okresu, „tak jak on się rysuje w bilansie minionego trzechlecia" (3a). Treść listu jest wykonaniem tego programu. Chodzi więc nie tylko o wystawienie rachunku rządowi okupacyjnemu, ale, jeśli wolno się tak wyrazić, o rachunek sumienia samego Episkopatu. Ten Episkopat podpisał w 1950 roku, po dojrzałym namyśle, porozumienie z rządem, w nadziei, że tym aktem umożliwi współżycie Kościoła z reżimem w Polsce. Po trzech latach nasuwa się pytanie, czy jego nadzieje zostały zrealizowane.

Na tym jednak rzecz się nie kończy. Jeśli Episkopat poszedł we wspomnianym Porozumieniu na najdalej idącą ugodowość w stosunku do reżimu, to powodowany był w tym nie tylko nadzieją na umożliwienie Kościołowi życia w Polsce. Podpisując umowę, Biskupi mieli świadomość, że podejmują eksperyment o ogólnym i historycznym znaczeniu, przekraczajacym ramy zagadnień czysto polskich. Świadczy o tym następujący ustęp listu: „Episkopat... nie lękał się ...że sam fakt zawarcia Porozumienia otworzy dla strony przeciwnej olbrzymi atut wobec opinii światowej, niespotykany dotąd precedens, który dać jej

może silne podstawy do rehabilitacji w oczach katolicyzmu tak w kraju jak i zagranicą. Episkopat nie lękał się tej rehabilitacji. Przeciwnie, pragnął jej szczerze". (11a).

Można bodaj ten ustęp interpretować następująco: powodowany przede wszystkim troską o własne diecezje, Episkopat chciał przez Porozumienie osiągnąć jeszcze co innego, a mianowicie dać Partii możność wykazania, że jej współżycie z Kościołem jest możliwe. Porozumienie było na wielką skalę przeprowadzonym eksperymentem możliwości takiego współżycia.

Nie ulega wątpliwości, że Polska była idealnie wybranym terenem dla takiej próby. W niej Partia natrafiła po raz pierwszy nie tylko na drobny lud katolicki, albo na mniejszość katolicką żyjącą wśród innowierczej ludności, ale na wielki, zwarty pod względem religijnym naród katolicki — jeden z najliczniejszych w świecie — i w dodatku naród, w którym autorytet Kościoła jest większy, niż w wielu innych narodach katolickich. Jeśli Partia miała gdziekolwiek interes aby współżyć z Kościołem — to w pierwszym rzędzie w Polsce. Udanie się eksperymentu polskiego nie oznaczałoby oczywiście, że podobne ułożenie stosunków jest możliwe w krajach, w których Kościół jest słabszy; ale wykazywałoby przynajmniej zasadniczą możliwość porozumienia się obu potęg. Natomiast nieudanie się próby w Polsce stanowi niewątpliwy dowód *a fortiori* niemożności ugody w innych krajach.

3.

List Episkopatu stwierdza, że eksperyment dał wynik niemal całkowicie negatywny. Przyznaje co prawda, że — jak wolno wnosić dzięki Porozumieniu — „życie ściśle religijne mogło się rozwijać względnie swobodnie", że pozwolono społeczeństwu na odbudowę wielkiej ilości świątyń i że Państwo się do tego „w nader wydatny sposób przyczyniło" (3b). To jest jednak wszystko. List wymienia długą listę pogwałceń Porozumienia: usuwanie religii z nauczania, presję polityczną i próby dywersji wśród duchowieństwa, bezwzględne niszczenie prasy i wydawnictw katolickich, ingerencję w sprawy wewnętrzne Kościoła, zwłaszcza szczególnie ciężką dla Kościoła na Ziemiach Zachodnich. Zamiast postawy ugodowej napotkano wszędzie na „obłędną wolę unicestwienia Kościoła" realizowaną „w czynie nieustającym, nieustępliwym" (12b); wreszcie po długim szeregu krzywd reżim wydał znany dekret lutowy pozbawiający Kościół możności rządzenia się samemu w swoich sprawach wewnętrznych. Pierwszym ważnym stwierdzeniem listu jest to właśnie: eksperyment zawiódł. Nadzieje nie spełniły się niemal w niczym.

List zredagowany jest ostrożnie, nawet wstrzemięźliwie: tak, na przykład, nie wspomina ani słowem o mordach i aresztowaniach księży, o wyrokach na duchowieństwo, a internowa-

nie biskupów wymienia tylko mimochodem. Odnosi się wrażenie, że nawet te bolesne szczegóły wydały się Episkopatowi mało ważne w porównaniu z zasadniczą tezą o niedotrzymaniu przez reżim Porozumienia. Stwierdzenie systematycznej ingerencji w sprawy wewnętrzne Kościoła i paraliżowania jego działalności było dla dowodu tej tezy ważniejsze od omówienia akcji policyjnych, zawsze pozorowanych przez względy polityczne albo kryminalne. Chodziło zapewne o zestawienie materiałów nieodpartych. Ale właśnie na tle tej wstrzemięźliwości wywiera tym większe wrażenie teza zasadnicza : eksperyment dał wynik negatywny. W idealnych warunkach Partia na współżycie z Kościołem pójść nie chciała.

4.

Episkopat stawia w liście pytanie, co było przyczyną niepowodzenia. Analizuje szczegółowo swoją własną postawę i stwierdza, że uczynił wszystko co było w jego mocy, aby dotrzymać umowy : ,,docierał do krańca możliwych ustępstw'' tak dalece, że ,,zdawało się niektórym, iż przekracza nawet dozwolone granice'' (12a). W szczególności Episkopat odrzuca stanowczo zarzuty odnośnie Ziem Odzyskanych, przy czym podaje rewelacyjną informację, że zdołał uzyskać mianowanie biskupów dla Administracji Apostolskich Zachodnich i tylko sprzeciw rządu uniemożliwił intronizację (10a). Odrzuca także zarzuty wiązania się z jakimkolwiek kapitalistycznym ustrojem gospodarczym (11b). Episkopat ,,wszystko uczynił i wszystko zniósł, co było w ludzkiej mocy, aby zachować w Polsce trwały pokój między Kościołem i Państwem'' (12b). Wina nie leży po jego stronie.

Co więcej. Episkopat nie sądzi, aby winni byli przywódcy komunistyczni w Polsce. ,,Jesteśmy przekonani'' — pisze — ,,że wrogość do Kościoła jest nie tyle sprawą ludzi, ile raczej systemu. Z ludźmi... rozmowy toczyły się na ogół w atmosferze życzliwej. Doświadczenie nie pozwala nam przypuszczać, że nie rozumieją oni zupełnie naszej sytuacji, naszej dobrej woli i straszliwej krzywdy, jaka się dziś dzieje Kościołowi'' (14b). Odpowiedzialny jest system, dokładnie mówiąc ideologia : ,,odpowiedzialność za wszystko spada na ideologię marksizmu, na doktrynę, która głosi nienawiść do ludzi, przeciwników ściga zemstą, a nawet wśród braci szczepi podział i waśnie. Jakże ta doktryna mogłaby być obojętna dla Ewangelii miłości, pokoju i przebaczenia? Obojętna nie jest'' (14b). W niej widzi Episkopat ,,przyczynę zasadniczą i główną'' ,,tragicznego losu Kościoła w Polsce'' (15a).

To jest dalsze doniosłe stwierdzenie Listu : chodzi już nie tylko o fakt historyczny, o negatywny wynik eksperymentu w konkretnych warunkach, ale o *prawo :* Episkopat Polski przyszedł po trzyletnim doświadczeniu do przekonania, że chrześci-

jaństwo z komunizmem w ogóle współżyć nie może, gdyż wyklucza to sama komunistyczna doktryna.

Reasumując, list przynosi następujące stwierdzenia:

— że Episkopat Polski zawarł porozumienie z reżimem komunistycznym, aby przeprowadzić próbę możliwości współżycia Kościoła z Partią;

— że próba ta wykazała niemożność tego współżycia — i wolno dodać : chrześcijaństwa a nawet w ogóle religii — z komunizmem;

— że przyczyną tej niemożności jest sama doktryna komunistyczna.

Dwie ostatnie tezy wydadzą się znane: niemniej, wypada zauważyć, że mamy do czynienia nie z poglądami prywatnych teoretyków, ani z oświadczeniem instytucji zagranicznych, lecz z oficjalną deklaracją Episkopatu kierującego faktycznie życiem religijnym jednego z krajów okupowanych przez komunistów — największego spośród tych krajów. Jest to zarazem Episkopat, który bodaj najdalej poszedł w swojej ugodowości względem reżimu. List zbiorowo przez jego członków wysłany jest tym samym dokumentem pierwszorzędnej wagi. Nie będzie zapewne przesadą, gdy powiemy, że jest to najważniejszy dokument wydany przez Kościół Katolicki w sprawie jego stosunku do komunizmu po drugiej wojnie światowej.

REL.

Europeizm czy regionalizm?

Oba slogany są w naszej publicystyce nieraz przeciwstawiane, tak iż zwolennicy europejskiej jedności mogą być narażeni na zarzut, że poświęcają interes własnego kraju dla koncepcji, popularnej na Zachodzie. Mamy tutaj do czynienia z niedopowiedzeniem czy mętnym myśleniem. Aby się o tym przekonać, dobrze będzie przyjrzeć się dokładniej czego się pragnie, czego się oczekuje i od kogo!

Politycy nasi, występujący na terenie międzynarodowym, utrzymują z reguły, że celem ich jest wprowadzenie Polski do europejskiej jedności, ale traktowanej jako rama, jako oprawa dla węższej, lecz ściślejszej federacji regionalnej Europy Środkowo-Wschodniej czy, jak piszą niektórzy, Wschodnio-Środkowej. Przy tak ogólnym sformułowaniu ustrój dwustopniowy nie budzi ani zastrzeżeń ani wątpliwości. Trudność ujawnia się dopiero gdy próbujemy określić na czym polegać by miał szerszy, europejski związek a na czym związek ściślejszy, federacyjny.

Podejmując taką próbę liczyć się musimy z tym co w tej dziedzinie już zostało dokonane. Istnieje w Strassburgu Rada Europy. Uczestniczy w niej, jak dotąd, 15 państw europejskich, to jest wszystkie państwa „wolnego Zachodu" z wyjątkiem Szwajcarii, która się uchyliła w trosce o swoją tradycyjną neutralność, oraz Hiszpanii i Portugalii jako niedemokratycznych. W obu organach Rady, Zgromadzeniu Doradczym i w Komitecie Ministrów państwa uczestniczące są reprezentowane indywidualnie, nawet te które, jak Państwa Beneluxu (Belgia, Holandia, Luksemburg), zawarły między sobą ściślejsze porozumienie. Polska, gdyby dzisiaj odzyskała niepodległość, mogłaby przystąpić do Rady tylko jako państwo indywidualne.

Nasuwa się pytanie jak na ten stan rzeczy wpłynęłoby wejście w życie Europejskiej Wspólnoty Politycznej sześciu państw zachodnio-europejskich. Jeśli bowiem ta Wspólnota się złoży, ona — a nie Rada Europy — będzie czynnikiem miarodajnym. Czy wówczas Rada ulegnie likwidacji czy też raczej, co jest prawdopodobniejsze, utrzyma się jako *clearing-house* między nowym blokiem zachodnio-europejskim a Wielką Brytanią i państwami skandynawskimi? Niedaleka przyszłość da, być może, odpowiedź na to pytanie. Sprawa to bynajmniej nie obojętna. Nie jest także obojętne jakie byłoby przedstawicielstwo „Szóstki" w Radzie czy takie jakie jest obecnie, mianowicie państw indywidualnych czy też zbiorowe? Precedens wytworzony na tym odcinku zaważy niewątpliwie i na innych pokrewnych. Dopóki to nie nastąpi, lub o ile się nie okaże że federacja „Szóstki" jest nie osiągalna, ryzykowne byłoby próbować przesądzić to życiowe zagadnienie w drodze teoretycznego planowania.

O ile by nowa organizacja „Szóstki" zdecydowała się na łączne przedstawicielstwo, byłoby to dowodem, że powstał w Europie nowy organizm ponad-państwowy. W takim wypadku stanęłoby przed nami pytanie jak się mamy do niego ustosunkować. „Szóstka" głosi w zasadzie hasło uniwersalizmu i to stanowi jej atut. Jest więcej niż prawdopodobne, że „Szóstka", w której szczególnie ważny głos miałyby Niemcy, nie sprzyjałaby układom między-grupowym, lecz dążyła do rozpatrywania tylko indywidualnych kandydatur. Taka procedura dawałaby jej możność narzucania kandydatowi warunków nie koniecznie identycznych w każdym wypadku. Poza wymaganiami ogólnymi — jak uznawanie i przestrzeganie praw człowieka — wchodziłyby w rachubę warunki polityczne, być może daleko idące.

Tworzenie związku regionalnego w naszej połaci kontynentu nie jest sprawą nadającą się do załatwiania w drodze proceduralno-redakcyjnej przy sposobności dyskusji czy to z naszymi europejskimi zachodnimi partnerami, czy też amerykańskimi przyjaciółmi. Może to nastąpić tylko w drodze faktów dokonywanych w gronie samych zainteresowanych. Fakty takie muszą ponadto zaistnieć na czas, i muszą być z góry dokładnie przygotowane. Zastanawiać się nad nimi w chwili wyzwolenia byłoby już za późno. Widoki powodzenia byłyby wówczas żadne. Po-

lityczna linia najmniejszego oporu prowadziłaby wtedy gdzie indziej, tam mianowicie gdzie to dogadzałoby wielkim sąsiadom naszych krajów, w tej liczbie może ukonstytuowanej już ,,Szóstce''. Ponadto zaś nie starczyłoby czasu na rokowania z istoty rzeczy trudne i skomplikowane. W grę bowiem nie wchodzi tu układ oparty na dawnych wzorach, przyjaźni czy kolaboracji, ale stworzenie nowego organizmu polityczno-gospodarczego, nadpaństwa ujmującego swoich uczestników węzłami ściślejszymi niż te, które przewidziane są dla Politycznej Wspólnoty Sześciu Państw. Nawet Konfederacja *sui generis,* skondyfikowana w układach polsko-czechosłowackich z czasów ostatniej wojny, byłaby w takim wypadku niewystarczająca.

Trudnością, na którą nie pomoże zamykanie oczu ani szukanie winnych poza własnym środkowo-europejskim gronem, jest niechęć przedstawicieli tego właśnie grona do łączenia się w ścisły związek. Wyjątek stanowią jak dotąd Polacy — i to nie wszyscy — a obok nich odłam opinii czeskiej (*).

Wciąż jeszcze panuje atmosfera nie sprzyjająca samodzielnemu planowaniu przez zainteresowanych w przedmiocie wspólnych im zagadnień życiowych, a nawet dyskusji nad tymi sprawami. Emigracje narodów ujarzmionych przez Moskwę żyją jak urzeczone w kręgu trosk bieżących ograniczając się poza tym do śledzenia przebiegu dyskusji, prowadzonych w wolnym świecie przez zachodnich Europejczyków. Tym większa jest zasługa tych nielicznych jednostek, które ułatwiają przerzucenie mostu między dzisiejszą smutną, ale nietrwałą, tymczasowością, a czekającym nas jutrem.

Na szczególne zainteresowanie opinii polskiej zasługuje w tej mierze praca dr H. Ripki, członka rządu czechosłowackiego w latach 1940-1948 pt. ,,A Federation of Central Europe''. (Odbite na roneo nakładem autora, stron 88 in quarto i 5 stron tablic statystycznych).

Broszura, a raczej książka podzielona jest na 4 rozdziały:

1) Czemu Federacja w Europie Wschodnio-Środkowej?

2) Jedna lub dwie Federacje.

3) Jak zorganizować federację regionalną?

4) Jak przygotować reorganizację Europy Wschodnio-Środkowej?

Punktem wyjścia rozumowania Ripki jest zmodyfikowana wersja powiedzenia Bismarcka (o Czechach): ,,Kto jest panem obszaru między Niemcami a Rosją zostanie panem Europy. Stąd wybór między wolnością w jedności, a śmiercią w niewoli

(*) Także i wśród węgierskiej emigracji politycznej daje się ostatnio zauważyć zainteresowanie dla rozwiązania regionalnego. Węgierskie koncepcje regionalne nie rozciągają się na Polskę, lecz przeciwnie, jak dotąd, wyraźnie ją wykluczają na rzecz Związku Dunajskiego, wzorowanego na dawnej monarchii Austro-Węgierskiej, zbudowanej dookoła dwóch ośrodków : Wiednia i Budapesztu. Wspomniana koncepcja nie wyszła zresztą ze stadium oderwanych rozważań.

jest alternatywą brzemienną w następstwa nie tylko dla krajów tego obszaru, ale dla całej Europy. Stawiając ją Ripka występuje jako zwolennik szerszej ogólno-europejskiej Jedności domagając się zarazem, aby była zbudowana na wewnętrznej równowadze i wolna od hegemonii potencjalnie najsilniejszego niemieckiego partnera. Stąd potrzeba utworzenia w ramach szerokiej Europejskiej Wspólnoty ściślejszego, wschodniego związku regionalnego. Potrzeba tym większa, gdyby zjednoczenie ogólnoeuropejskie okazało się w obecnej sytuacji nie osiągalne. Ripka broni się przed zarzutem anty-niemieckości, wykazując zarazem że o ile mniejsze kraje Zachodu na skutek pomyślniejszego położenia geograficznego liczyć mogą na skuteczną opiekę przyjaznych mocarstw, nasze kraje znaleźć mogą gwarancję bezpieczeństwa tylko we własnej jedności. Dotyczy to oczywiście i ściany wschodniej. Zagrożenie stamtąd nie zniknie po odzyskaniu wolności przez nasze kraje w razie pokonania lub nawet rozbicia Rosji. W tym ostatnim wypadku liczyć się trzeba będzie także z zagadnieniem ukraińskim:

,,Niezależna Ukraina'' — pisze Ripka — ,,ożywiona dynamicznym nacjonalizmem, cechującym zwykle pierwsze wystąpienia nowego państwa, byłaby po Rosji, Niemczech i Włoszech liczebnie najsilniejszym krajem kontynentu europejskiego, o ludności mniej więcej 45 milionowej (?); należałaby pod względem gospodarczym do narodów najpotężniejszych. Jest prawdopodobne, że miałaby w pierwszym okresie ambicje do rozrostu. Poza swymi roszczeniami do Polski, Rumunii i Czechosłowacji dążyłaby Ukraina do wzmocnienia swego znaczenia na Morzu Czarnym; w Delcie Dunaju a wreszcie do wolnego dostępu na wody Morza Śródziemnego nawet gdyby nie przejęła roszczeń rosyjskich do Konstantynopola i Cieśnin''. Autor wskazuje, że powstanie państwa ukraińskiego leży w dziedzinie możliwości a nawet prawdopodobieństwa gdyż: ,,O ile siła brutalna może udaremnić dążenie do wolności małego narodu, o tyle bodaj nie ma siły, która mogłaby złamać przyrodzone i usprawiedliwione pragnienie niepodległości wielkiego, ukraińskiego narodu''. Powstanie wolnej Ukrainy mogłoby się stać źródłem: ,,dramatycznych zmian w stosunkach krajów Europy Środkowo-Wschodniej zarówno wobec Rosji jak i Ukrainy''...

Ripka zamyka pierwszy rozdział swej pracy tezą — uzasadniając ją przykładami z historii — że przegroda między Niemcami a Rosją leży w istocie w interesie obu tych mocarstw, przede wszystkim zaś Niemiec. Zaletą traktatu wersalskiego było utworzenie takiej przegrody, niestety za słabej z powodu braku zjednoczenia stanowiących ją krajów. Zjednoczenie zaś o sile dostatecznej powstać nie może bez Polski.

Optymalną kombinacją byłaby, zdaniem Ripki, federacja ośmiu krajów: Polski, Czechosłowacji, Austrii, Węgier, Rumunii, Jugosławii, Bułgarii i Albanii. Rozwiązanie ,,dunajskie'' nie obejmujące Polski, odrzuca w obawie, że Związek Dunajski stałby się: ,,raczej narzędziem niemieckiego przenikania do

Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej niż barierą przeciw takiej ekspansji. Dynastia habsburska także spełniać miała zadanie bariery przeciw niemieckiemu imperializmowi; fakty świadczą jednak o tym, że przeciwnie stała się jego wspólnikiem...'' Odsuwanie się od Polski z powodu jej trudności granicznych z Niemcami byłoby błędem, doświadczenie przeszłości uczy bowiem, że słabi sąsiedzi i tak nie uniknęliby skutków konfliktu polsko-niemieckiego. Polska w związku z samymi tylko państwami bałtyckimi byłaby w istocie Polską izolowaną. Natomiast przyłączenie się państw bałtyckich do szerszego grona, gdyby te państwa (a przynajmniej sama Litwa) sobie tego życzyły winno by, zdaniem Ripki, być powitane z zadowoleniem.

Drugim obok Polski koniecznym partnerem związku regionalnego jest, zdaniem Ripki, Austria. Polemizuje z argumentem, że Austria uchyliłaby się od jakiejkolwiek kombinacji regionalnej, która obejmowałaby Polskę: ,,Gdyby Austriacy odrzucili współpracę z Polską w ramach federacji godząc się natomiast na współpracę z Czechosłowacją to dowiedliby, że interesuje ich tylko rozwiązanie służące interesom niemieckiego nacjonalizmu; takie rozwiązanie jednak nie mogłoby odpowiadać Czechosłowakom'' Anschluss, którego pragną pewne czynniki austriackie, nie wchodzi w rachubę jako niezgodny z nadrzędnym interesem europejskim. Natomiast udział Austrii w związku środkowoeuropejskim jako alternatywa dałby jej wiele korzyści. Niegdyś, w monarchii habsbuskiej, stosunki polsko-austriackie były zażyłe, dlaczegożby dzisiaj Austriacy mieli się od nich uchylać pod pozorem obaw łączenia się z żywiołem słowiańskim. Czesi są przecież także Słowianami: ,,Co nie zapobiegło w przeszłości zaistnieniu między nimi a Polakami pożałowania godnych sporów''.

Stwierdzając istnienie, także po stronie polskiej, kierunku przeciwnego włączeniu Austrii do związku regionalnego środkowo-europejskiego, Ripka widzi w tym dalszy ciąg przedwojennej doktryny, w myśl której nacisk Niemiec na Polskę złagodniałby w razie ,,zajęcia ich'' w rejonie Dunaju lub na Bałkanach, to jest gdyby Niemcy znalazły tam ,,kompensatę''. Rachuba okazała się błędna. Dzisiaj, jak sądzi Ripka, niektórzy Polacy łudzą się nadzieją, że Niemcy pogodzą się łatwiej z granicą na Odrze i Nisie jeśli w zamian otrzymają Austrię. Takie rozumowanie ocenia on jako równie krótkowzroczne jak rachuby sprzed 1939 roku. Udział Austrii w Związku Środkowo-Europejskim stanowiłby zabezpieczenie przed Anschlussem; miałby poza tym tę dobrą stronę, że pozbawiłby Związek barwy anty-niemieckiej (*).

(*) Zwalczając opory przeciw swojej koncepcji, nie nazwanych Austriaków i również nie nazwanych Polaków, Ripka ma niewątpliwie na myśli broszurę pt. ,,Danubian Federation'' wydaną w maju r. 1953 przez byłego ppłk. armii czechosłowackiej, F. O. Miksche. Miksche wylicza argumenty przeciw udziałowi Polski w związku federacyjnym środkowo-europejskim i znajduje je w rzekomej opozycji Austriaków przeciw nam i vice versa. Poza tym straszy innych partnerów widmem niemieckiego rewizjonizmu skierowanego przeciw Polsce. Na czym opiera się pisząc: ,,Istnieją poważne po-

Ripka, jako patriota czechosłowacki, broni zasady łączenia się nie narodów lecz krajów względnie państw. Związek ośmiu liczyłby (wedle stanu obecnego) około 95 milionów mieszkańców. W razie niemożności stworzenia go, alternatywą byłby podział regionu na dwie blisko ze sobą współpracujące federacje: północną, złożoną z Polski i krajów dunajskich oraz południową, w której poza Albanią, Jugosławią i Bułgarią wzięłyby udział także Grecja i Turcja. Pierwsza o ludności około 70 milionów mieszkańców, druga pięćdziesięciu kilku (*).

Przechodząc do zagadnienia organizacji Ripki wychodzi z założenia, że łączyć da się tylko organizmy o podobnym ustroju i to tylko demokratyczne: ,,Demokracja jest podstawowym, przedwstępnym warunkiem federacji''. Trudności wykonawcze i tak będą poważne pomimo upodobnienia warunków życia w krajach naszego regionu pod rządami komunistycznymi. Środkiem do ich złagodzenia winna być, zdaniem Ripki, możliwie daleko posunięta w każdym państwie związkowym decentralizacja ustrojowa, przede wszystkim w dziedzinie gospodarczej. Plan działania w chwili obecnej nakreślić można tylko ramowo z uwagi na różne ewentualności, których dzisiaj jeszcze przewidzieć się nie da. Gdyby w chwili obalenia rządów sowieckich w naszych krajach Wspólnota Europejska już istniała — lub powstawała — to kraje nasze winnyby co prawda niezwłocznie zorganizować się regionalnie, jednak uczestnictwo ich w takich działach Wspólnoty jak np. wojsko lub gospodarka mogłoby być indywidualne... Gdyby natomiast Wspólnota Europejska nie powstała lub na skutek usunięcia się od niej państw skandynawskich i Wielkiej Brytanii miałaby się zamienić w powolne narzędzie niemieckiej hegemonii, byłoby nieodzowne utworzenie organicznie związanej, regionalnej federacji Europy Środkowo-Wschodniej. Jej ramowy zrąb oprzeć się winien na ustroju mieszanym: parytetowych komisjach złożonych z przedstawicieli rządów narodowych i ,,ponad-narodowych'' instytucji. Te ostatnie być winny powołane do życia natychmiast po wyzwoleniu naszych krajów i obejmo-

szlaki wskazujące, że niektórzy politycy polscy usiłują przekonać Amerykanów, że nowy Anschluss winien być tolerowany jako rekompensata dla Niemców za utratę jej wschodnich prowincji'' nie wiem. O tych przewrotnych intrygach polskich nic mi nie wiadomo. Wiem natomiast, że zaproszenie Austrii do uczestniczenia w drugim związku środkowo-europejskim nie było dotąd przedmiotem miarodajnej wypowiedzi ze strony polskiej. Padały tylko zdania indywidualne, między innymi moje własne, i to z poparciem takiej koncepcji. Książka Miksche'go przypomina bardziej wystąpienie anonimowej propagandy niż przyczynek patrioty. Nie wiele wiem o nim poza szczegółami przyszłej jego kariery. Gdyby jednak mi powiedziano, że występuje nie jako Czech lecz jako rzecznik odłamu opinii węgierskiej więcej by mnie interesował. Książka jego jest , mówiąc nawiasem, stekiem nieścisłości i naciągniętych wniosków.

(*) Obie alternatywy objaśnia Ripka przy pomocy dołączonych tablic statystycznych. Obrazują one doniosłe znaczenie Europy Środkowo-Wschodniej pod względem obszaru, ludności, zasobów naturalnych i produkcji.

wać *armię federalną i niektóre gałęzie gospodarki i administracji.*

W siłach zbrojnych Europy Zachodniej — o ile by pozostały luźnym zlepkiem armii narodowych, nie przeradzając się w organicznie związaną armię europejską — kraje nasze winny, zdaniem Ripki, uczestniczyć wspólnie przy pomocy regionalnej armii federalnej. Ripka doradza przy tym przezornie, aby w krajach związkowych policja była poddana lokalnym władzom samorządowym, nie zaś rządom, tak aby te ostatnie pozbawić pokusy posługiwania się policją w wypadku sąsiedzkiego sporu! Siły zbrojne sfederowanej Europy Środkowo-Wschodniej byłyby znaczne. Ripka oblicza, że — nawet w wypadku niemożności utworzenia pełnej federacji ośmiu krajów — armia federacji Polsko-Dunajskiej byłaby największą na kontynencie Europy po armiach: rosyjskiej i niemieckiej. Przewiduje ponadto, że w tym ostatnim wypadku federacje: dunajska i bałkańska byłyby połączone ze sobą politycznie a także organizacyjnie.

Jako wspólne regionalne instytucje ponadnarodowe wylicza Ripka przykładowo: pocztę, telegraf, transport. Zastanawia się nad możliwością wprowadzenia *unii celnej i monetarnej* po odpowiednio długim okresie przejściowym, w którym by obowiązywały cła kompensacyjne. O ile by projekt taki okazał się przedwczesny,to alternatywą byłoby stworzenie instytucji ponadnarodowych w kopalnictwie, przemyśle ciężkim, elektryfikacji, przemyśle chemicznym, rolnym i leśnym. Równolegle zaś powołanie do życia Stowarzyszenia Banków Narodowych celem koordynacji emisji i kredytów. Wychowanie koordynowałby komitet ministrów oświaty. Obowiązywałyby w każdym kraju związkowym takie same paszporty różniące się tylko barwą. Upoważniałyby do swobodnego przekraczania granic wewnętrznych, choć nie do stałego osiedlania się — przynajmniej w okresie wstępnym.

Szkicując obraz przyszłych politycznych władz związkowych Ripka szuka wzorów w powstających obecnie instytucjach zachodnio-europejskich, a może także w aparaturze przedwojennej Małej Ententy. Większość spraw załatwiałyby komitety ministrów narodowych. I tak ogólną polityką zajmować by się miał Komitet Premierów i Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych, Podobnie Sprawy Gospodarcze, Opieki Społecznej, Oświaty i Sprawiedliwości pozostawałyby w rękach komitetów ministrów „rodaków". Wyjątek stanowiłaby Obrona. Jej agendy spoczywałyby w ręku wspólnego ministra Obrony, który posługiwałby się Federalnym Sekretariatem wyłonionym przez Federalny Parlament.

Z uwagi na mieszany charakter i na brak pełnej federalnej egzekutywy Ripka nie przewiduje zbiorowego przedstawicielstwa związku przy organizacji Zjednoczonych Narodów lub Europejskiej Federacji (może Ripka miał tu raczej na myśli Radę Europy?). Występowałyby tam przedstawicielstwa poszczególnych państw-uczestników. Natomiast niektóre działy specjalne: gos-

podarcze, społeczne, lub kulturalne, mogłyby w danym razie mieć reprezentację wspólną.

Projekt Ripki przewiduje utworzenie wspólnego parlamentu dwuizbowego, w którym Izba Niższa oparta na wyborach powszechnych byłaby wyrazicielką woli zbiorowej całego obszaru, Wyższa zaś, wyłoniona przez parlamenty narodowe, strzegłaby z natury rzeczy raczej interesów krajów związkowych. Parlament ten posiadałby kompetencję ograniczoną do spraw Obrony oraz Wspólnot wydzielonych. W innych sprawach posiadałby tylko charakter doradczy. Parlament ten, w zakresie swojej kompetencji, mógłby uchwalić votum nieufności.

Do władz regionalnych należałby ponadto Trybunał Arbitrażowy, którego powołanie do życia mogło być poniechane tylko na wypadek powstania takiejże instytucji ogólno-europejskiej. Trybunał byłby władny orzekać we wszystkich sprawach międzypaństwowych regionu, nie wyłączając granicznych. Obok Trybunału Arbitrażowego pragnąłby Ripka ustanowienia Najwyższego Sądu Regionalnego, władnego rozstrzygać w sporach kompetencyjnych między instytucjami federalnymi (ponadnarodowymi) a narodowymi i poszczególnymi instytucjami federalnymi między sobą. Tak więc ustrój regionu według projektu Ripki składałby się z następujących członków: Federalnego parlamentu, federalnej armii z federalnym ministrem Obrony i wspólnym naczelnym dowództwem, wyodrębionych „Wspólnot", federalnego Trybunału Arbitrażowego i Sądu Najwyższego, wreszcie komitetów Ministrów Narodowych, które obradowałyby łącznie z odpowiedzialnymi szefami działów „wyodrębnionych".

Ripka zastrzega się, że projekt swój ujął luźno jako szkic, którego szczegóły mogą ulec niejednej przeróbce, ale który winien przyczynić się do przesunięcia dyskusji od ogólników ku stronie wykonawczej. Istotnie jest w streszczonym powyżej obrazie sporo punktów dotkniętych tylko pośpiesznie, pominiętych czy niedopowiedzianych. Należy do nich trudność, którą wysunąłem na wstępie niniejszych rozważań: w jaki sposób związek tak luźny mógłby wyodrębnić się i zachować swoją osobowość na wypadek powstania na Zachodzie organizacji co najmniej równie rozbudowanej, a stojącej na stanowisku ogólno-europejskim? Odnosi się wrażenie, że niektóre fragmenty projektu Ripki ulegały zmianom w miarę jak rzecz swoją rozwijał i uzasadniał.

Jest to szczególnie wyczuwalne w ostatnim rozdziale, w którym autor zastanawia się nad tym co należy czynić już dzisiaj, aby bieg wypadków skierować w pożądanym kierunku i przygotować publiczną opinię własnego narodu i narodów sąsiadujących do ważnych kroków, które będą potrzebne, a które dadzą się przeprowadzić tylko o tyle o ile krótka, odpowiednia chwila, wyzyskana będzie szybko i stanowczo. Ripka unika „pryncypializmu" w określeniu form przyszłej organizacji Europy Środkowo-Wschodniej. Wypowiadając się sam za koncepcją regionalną nie zamyka oczu na istnienie poglądów odmiennych. Utrzy-

muje jednak, że i zwolennicy europejskiego uniwersalizmu dbać winni o zacieśnienie współpracy regionalnej w szerszych, europejskich ramach. Dbać o nią winni tym usilniej w wypadku gdyby koncepcja szersza zawiodła, lub przeobrazić się miała w hegemonię jednego państwa... Jako cel stawia nie nawrót do przeszłości ale koncepcję nową, w której opracowaniu uczestniczyć winni polityczni uchodźcy. O ile tego nie uczynią grozić będzie niebezpieczeństwo podporządkowania ich krajów grze politycznej mocarstw, być może jako sfery wpływów tego lub innego obozu. *Raison d'être* uchodźców jest przyśpieszyć dzień wyzwolenia i przyczynić się do umocnienia odzyskanej przez ich narody wolności. Nie mogą brać na siebie wiążących zobowiązań, ale mają prawo i obowiązek przygotowywać projekty, które, zdaniem Ripki, winny obejmować zarówno zagadnienia ustrojowe jak i sprawy gospodarcze i społeczne.

Narody dzisiaj ujarzmione i pozbawione głosu nie będą miały za złe pracy podjętej w ich służbie. Słuszna i w porę podjęta inicjatywa jest sama przez się najlepszym uwierzytelnieniem dla ludzi, występujących jako ich rzecznicy. Ripka odrzuca pogląd że uchodźctwa polityczne nie posiadają tytułu do wysuwania projektów ograniczających w jakikolwiek sposób suwerenność państw-uczestników.

Narzędziem wspólnej działalności przedstawicielstw uchodźczych w dobie obecnej winno być, zdaniem Ripki, *Stowarzyszenie Uchodźcze Środkowo-Europejskie,* wyłonione przez poszczególne Rady Narodowe, działające przy pomocy Stałej Komisji i wspólnego Sekretariatu. Jako naczelne zadania Stowarzyszenia Ripka wylicza: współpracę bieżącą, przygotowanie planów na przyszłość na zasadzie federacyjnej, usuwanie rozbieżności i opracowanie rozwiązań dawnych wzajemnych sporów.

Stowarzyszenie starać się winno o to, aby propaganda kierowana ze świata wolnego ku Europie ujarzmionej, przede wszystkim przy pomocy radia, kładła nacisk na potrzebę najściślejszej współpracy krajów naszego regionu nie tylko po odzyskaniu przez nie wolności, ale już dziś, w okresie walki przeciw komunizmowi. Stowarzyszenie winno orędować tej koncepcji także wobec opinii Zachodu.

Członkowie Stowarzyszenia winni się zobowiązać do bronienia wobec własnych społeczeństw zasady pokojowego załatwienia sporów wzajemnych, nie wyłączając granicznych, w drodze postępowania ugodowego (koncyliacji) względnie arbitrażu. Podobna praktyka winna być przyjęta, zdaniem Ripki, w wypadku sporów między krajami regionu a ich sąsiadami z Zachodu lub Wschodu przy odpowiednim zabezpieczeniu składu Trybunału Arbitrażowego...

Zadaniem członków Stowarzyszenia winno być uzgodnienie wystąpień wobec państw zachodnich, międzynarodowych organizacji i instytucji, celem obrania najwłaściwszych sposobów walki o wyzwolenie spod komunistycznej przemocy. Tak samo postępować winni podejmując starania o zabezpieczenie doraźnej

pomocy gospodarczej i wszelkiej innej po wyzwoleniu. Tam, gdzie to jest możliwe powinni dążyć aby pomoc rozciągała się łącznie na wszystkie kraje naszego regionu.

Ogłaszając swoją pracę Ripka wstępuje w szranki jako rzecznik koncepcji, służącej wspólnemu interesowi znacznego odłamu europejskiej rodziny narodów, która jednak jak dotąd, nie znalazła poza społecznością polską zbyt wielu zwolenników. Książka jest apelem do wyobraźni i patriotyzmu polityków emigracyjnych, aby przyczynili się do ułożenia, rozgłoszenia i przyjęcia nowych zasad. Właściwością Ripki jest, obce większości polskich planistów, zamiłowanie do kreślenia nie tylko ogólnych konturów projektu, ale także szczegółów jego budowy. Uderza zarazem empiryzm w podsuwaniu rozwiązań, które służyć mają jednemu celowi, ale które zależnie od okoliczności dałyby się urzeczywistnić w całej rozciągłości lub tylko częściowo. Nie jest moim zamiarem w niniejszym, przydługim już artykule poddawanie tez książki szczegółowej analizie. Niektóre z nich mogą budzić wątpliwości czytelnika polskiego. Zrąb ich jednak odpowiada niewątpliwie poglądom większości naszej opinii. Z dużą otwartością i odwagą cywilną broni Ripka prawa mniejszych narodów do samodzielnego planowania w obronie własnego bezpieczeństwa, nawet kiedy ich dążenia mogą być niedoceniane przez możnych tego świata, a wnioski, choćby przejściowo, niepopularne. Może odzwierciadla się tutaj doświadczenie ostatniego piętnastolecia w którym uległość wobec życzeń potężnych opiekunów wydała dla Czechosłowacji gorzkie owoce. Wskazywałoby na to między innymi pominięcie w wywodach Ripki tradycyjnej sojuszniczki: Francji. A przecież, pomimo ogromnych zmian jakie nastąpiły w Europie, interes Francji jest nadal zbieżny z naszym. O ile Europa Środkowo-Wschodnia zdoła się zorganizować jako związek liczyć będzie mogła — w każdym razie powinna móc liczyć — na solidarność Paryża, a także i Londynu. Stanowisko niemieckie, jak dotąd, nie jest życzliwe. Pomimo iż, jak Ripka słusznie podkreśla, nasz związek regionalny posiadać może z natury rzeczy charakter wyłącznie tylko obronny i służyć europejskiemu pokojowi odzywają się stamtąd głosy niechętne. Zacytuję tylko jeden, Hansa Gert von Esebeck'a, którego artykuł: ,,Vertriebene Deutsche und Exilpolen'' pojawił się w tegorocznym, styczniowym zeszycie czasopisma ,,Aussenpolitik'' w najbliższym sąsiedztwie z artykułem J. Mackiewicza! Von Esebeck zwalcza koncepcje związku mniejszych państw Europy Środkowo-Wschodniej, a zwłaszcza jej polsko-czechosłowackiego ogniwa, argumentami rozmyślnie niesprecyzowanymi, ale jakże znamiennymi: ,,Koncepcja polsko-czeskiego (czesko-słowackiego) związku państw może się nasuwać w okresie, w którym lubi się do dawnego zamieszania dorzucać nowe błędy. Cechą tej kombinacji jest to, że nie traktuje ona Europy Środkowej i Wschodniej jako całości, że zasadniczo wyklucza Rosję z granic Europy i przyjmuje jako ,,historyczną konieczność'' (Gegebenheit) opozycje względem Niemiec i Rosji. Kon-

cepcja ta zasadza się więc na wyparciu się Europy (?!) i całkowicie zapomina o tym, że narody muszą już to odtworzyć jakiś wspólny ład, już to wyrzec się jakiegokolwiek trwałego (tragfähige) rozwiązania". Von Esebeck kończy uwagą że: „Rokowania pomiędzy Radą Wolnej Czechosłowacji i Polską Radą Narodową (sic!), które toczyły się w roku 1953, co prawda rozbiły się, podobno przede wszystkim dlatego, że grupy emigrantów południowo-wschodnich (Rumuni, Węgrzy? — przypisek mój) wzdragały się przyklasnąć (züstimmen) związkowi, który miał być zawarty bez udziału Niemiec i przeciw nim (!)".

Baron von Esebeck piastuje stanowisko referenta organizacji uchodźców z Prus Wschodnich. Nie ma tytułu do wyrażania miarodajnej opinii niemieckiej. Być może nawiedzają go dawne sny o panowaniu niemieckim nad całą europejską „strefą środkową" zwaną za czasów Trzeciej Rzeszy niemieckim obszarem życiowym. Nie rozumie widać że powrotu do nich być nie może, i że czas nadszedł by mieszkańcy obszaru stali się w pełnym tego słowa znaczeniu jego gospodarzami. W polityce, jak i w ogóle w życiu, liczą się osiągnięcia. Nie ma powodu, dla którego stosunki między Europą Środkowo-Wschodnią — po wytworzeniu przez kraje tego obszaru samodzielnej organizacji — a Niemcami miały być wrogie z konieczności. Tym mniej zaś w wypadku jeśli Wschód i Zachód znajdą się pod jednym dachem europejskim.

Edward RACZYŃSKI
Ambasador R.P.

Kronika angielska

„KWESTIA PREZYDENCKA"

Ponieważ dość znaczny procent naszych Czytelników, rozsianych po szerokim świecie — z polskich pism prenumeruje tylko „Kulturę" i na tej podstawie urabia sobie sąd o wydarzeniach w polskim życiu politycznym — tę dziwną opowieść pozwolę sobie zacząć od ustalenia pewnej chronologii faktów.

I. Z końcem 1952 roku generał Sosnkowski przybył do Londynu na zaproszenie Prezydenta i Rządu i za ich wiedzą i zgodą rozpoczął tak zwaną akcję zjednoczeniową.

II. 29 grudnia 1952 roku generał Sosnkowski w przemówieniu wygłoszonym u inwalidów wyłożył swój pogląd na podstawowe zasady zjednoczenia oraz oświadczył, że przyjęcie godności następcy Prezydenta uzależnia od przebiegu konsultacji stronnictw oraz od pozytywnego wyniku akcji zjednoczeniowej.

III. Dnia 7 stycznia 1953 roku Prezydent Zaleski powiadomił generała Sosnkowskiego, że wynik konsultacji ze stronnictwami w sprawie następcy Prezydenta uważa za pozytywny i wskutek tego gotów jest natychmiast mianować go następcą Prezydenta R.P. W odpowiedzi generał Sosnkowski

oświadczył wówczas, że dopiero w chwili gdy będą ustalone, oraz przyjęte przez oba ośrodki obozu niepodległościowego, warunki zjednoczenia poprosi Prezydenta o podpisanie dekretu nominacyjnego i opublikowanie go w trybie przewidzianym w konstytucji.

Następny rozdział to 15-tomiesięczne rokowania. Trzeba z całym obiektywizmem stwierdzić, że tzw. ,,grupa zamkowa'' w ciągu tych piętnastu miesięcy robiła wszystko co możliwe by zjednoczenie storpedować. I tak w grudniu ubiegłego roku nastąpiło przesilenie rządowe na tle wyborów. Generał Sosnkowski w oświadczeniu złożonym ,,Dziennikowi Polskiemu'' (27. 1. 1954) stwierdził, że projekt ustawy o ordynacji wyborczej był zupełnie sprzeczny z Aktem Zjednoczenia a przesilenie rządowe (którego sprawcy są ministrami w obecnym rządzie) napiętnował jako gorszące i świadomie wywołane.

Przeciwnicy zjednoczenia robili również wszystko co możliwe by wykorzystać rozbieżne poglądy w sprawie punktu 5 Aktu Zjednoczenia (Jałtańczycy). Szczęśliwie jednak i w tej drażliwej sprawie powiodło się znaleźć formułę kompromisową.

Jeszcze na kilka dni przed datą przewidzianą dla składania podpisów pod Aktem Zjednoczenia ,,grupa zamkowa'' usiłowała przeciwdziałać i mącić. W dniu 8 marca br. niespodziewanie zwołano radę gabinetową w której wzięli udział Prezydent Zaleski, premier Hryniewski, minister Okulicz oraz generałowie Anders i Sosnkowski. Tematem obrad była tzw. ,,sprawa Bergu''. Wydaje się, że inicjatorzy tego zebrania pragnęli przerazić generała Sosnkowskiego ogromem błędów popełnionych przez jego przyszłych partnerów z Rady Politycznej. Według informacji jakie zdołałem uzyskać, sprawa została zażegnana przez generała Andersa, który zauważył, że wydobywanie Bergu w takim momencie niesie z sobą ryzyko rozbicia osiągniętego zjednoczenia i nikt nie może brać na siebie takiej odpowiedzialności. Inicjatorzy nie dali jednak za wygraną i następnego dnia sprawa Bergu wniesiona została na posiedzenie rządu. I tym razem jednak dzięki sprzeciwom min. Okulicza, Janikowskiego i Malinowskiego — ,,Berg'' upadł. (Na marginesie należy zaznaczyć, że nie formułujemy w tej chwili opinii w sprawie Bergu i nie zamierzamy niczego ani nikogo wybielać ani usprawiedliwiać; ograniczamy się jedynie do rejestracji faktów).

Wreszcie w dniu 14 marca br. Akt Zjednoczenia został podpisany. Wbrew obawom pesymistów pierwszym, który położył swój podpis był prezes T. Arciszewski (P.P.S.). Wieczorem tegoż dnia brakło na Akcie Zjednoczenia podpisu tylko jednego stronnictwa (S.L. ,,Wolność'' p. Kuncewicza) oraz grupy regionalnej p. St. Mackiewicza i Związku Socjalistów p. Pragiera. (W dniu 1 kwietnia ukazała się w prasie polskiej wiadomość, że p. Pragier zgłosił akces do Zjednoczenia. Początkowo sądzono, że to żart prima-aprilisowy, lecz ,,Orzeł Biały'' z dnia 3. 4. br. tę wiekopomną decyzję p. Pragiera potwierdził).

W niedzielę w dniu 14. marca, gdy wiadomość o podpisaniu Aktu Zjednoczenia rozeszła się po polskim Londynie, w kołach politycznych uważano za całkowicie pewne, iż Prezydent następnego dnia zamianuje generała Sosnkowskiego swoim następcą.

Stało się jednak inaczej. Prezydent nagle i niespodziewanie odroczył swoją decyzję i w ten sposób rozpoczął się dramat Zjednoczenia.

AKT II

W dniu 15 marca, to jest następnego dnia po podpisaniu Aktu Zjednoczenia, generał Sosnkowski został przyjęty przez Prezydenta Zaleskiego i wręczył mu podpisany Akt Zjednoczenia oraz wyraził gotowość przyjęcia

godności następcy Prezydenta R.P. Ale o ile w styczniu 1953 Prezydent gotów był natychmiast mianować gen. Sosnkowskiego swoim następcą o tyle w marcu 1954 — mimo, że Generał wypełnił swoją misję zjednoczeniową — Prezydent postanowił odroczyć swą decyzję.

Wobec takiego niespodziewanego obrotu sprawy generał Sosnkowski ocenił, że jego dalszy pobyt w Londynie jest zbędny i w dniu 19 marca br. wyjechał do swojego kanadyjskiego... Sulejówka.

Natomiast kancelaria cywilna Prezydenta ogłosiła komunikat w którym oświadczono, że Prezydent przekazał otrzymany Akt Zjednoczenia premierowi prosząc go o wyjaśnienie stanowiska stronnictw i ugrupowań, które aktu nie podpisały.

Przez następne dziesięć dni rząd zachowywał w sprawie zjednoczenia grobowe milczenie. W dniu 24 marca br. p. M. Grażyński w imieniu Komisji Porozumiewawczej stronnictw (które podpisały Akt Zjednoczenia) odbył rozmowę z prem. Hryniewskim i przedstawił mu wydane przez Komisję oświadczenie w którym między innymi stwierdzono, że pierwszym krokiem zmierzającym ku realizacji Aktu Zjednoczenia musi być wyznaczenie generała Sosnkowskiego następcą Prezydenta R.P.

Wreszcie ukazał się komunikat P.A.T. z którego zdumiony czytelnik dowiedział się, że premier Hryniewski odbył w dniu 22 marca br. konferencję z przedstawicielami stronnictw i ugrupowań politycznych, które nie podpisały Aktu Zjednoczenia. S.L. ,,Wolność" (p. Kuncewicza) złożyło na tejże konferencji oświadczenie, które poddaje surowej krytyce tekst Aktu Zjednoczenia. P.A.T. w omawianym komunikacie rządowym przytacza usłużnie fragment eposu p. Kuncewicza z zaznaczeniem, że poglądy wyłożone w tym elaboracie podzielają w pełni i niezachwianie pp. Pragier oraz St. Mackiewicz — pierwszy reprezentujący kilkuosobowy Związek Socjalistów Polskich; drugi związek regionalny pn. Klubu Ziem Wschodnich. W tym samym komunikacie powiedziano ,,że prezes rady ministrów stojąc na stanowisku praktycznej realizacji Zjednoczenia zamierza zaprosić na konferencję wszystkie stronnictwa i grupy polityczne, które Akt Zjednoczenia podpisały celem omówienia całokształtu spraw związanych z tym tematem".

Jak widzimy premier Hryniewski spokojnie zignorował powstanie Komisji Porozumiewawczej i wyraził gotowość wszczęcia pertraktacji zjednoczeniowych jako mediator Nr 4. Szczególnie obecny rząd do roli mediacyjnej nadawałby się idealnie, bo jak wiadomo, powstał on w konsekwencji grudniowego przesilenia i jego entuzjazm zjednoczeniowy jest nie mniejszy niż p. Kuncewicza.

Toteż prem. Hryniewski otrzymał w odpowiedzi list od zjednoczonych stronnictw z zawiadomieniem, że stronnictwa, które podpisały Akt Zjednoczenia utworzyły Komisję Porozumiewawczą i proszą by rząd prowadził wszelkie rokowania z tą komisją, która działa w zastępstwie wszystkich stronnictw. Tak oto manewr prem. Hryniewskiego, który usiłował ponownie otworzyć negocjacje pomiędzy stronnictwami — spalił się na panewce.

Dopiero na tle tej skomplikowanej panoramy możemy rozpatrzyć ,,kwestię prezydencką", która leży u dna politycznego kryzysu emigracyjnego.

Jak wiadomo dwie poprzednie misje zjednoczeniowe upadły na skutek żądań P.P.S. natychmiastowego ustąpienia Prezydenta Zaleskiego. Wiadomo jest również, że P.P.S. nigdy oficjalnie nie uznała p. A. Zaleskiego jako Prezydenta R.P. Pozostałe stronnictwa Rady Politycznej choć uznają p. A. Zaleskiego jako Prezydenta R.P. mimo to solidaryzowały się zawsze z P.P.S. w jej żądaniu ustąpienia obecnego Prezydenta.

W lutym 1952 roku londyński ,,Dziennik Polski" przeprowadził specjalną ankietę w tej sprawie (por. Kronika angielska — ,,Kultura" Nr 4/54).

W ramach cytowanej ankiety za ustąpieniem prez. Zaleskiego oświadczyli się pp. R. Piłsudski, K. Bagiński, Dr T. Bielecki, T. Arciszewski.

Inicjatywa generała Sosnkowskiego przełamała ów zastarzały „deadlock" jaki trwa pomiędzy obecnym Prezydentem a opozycją. Ale nie wolno zapominać, że przełamanie tego kryzysu było tylko taktyczne i opierało się na domniemaniu, iż następnego dnia po podpisaniu Aktu Zjednoczenia Prezydent Zaleski zamianuje swym następcą generała Sosnkowskiego, który z kolei obejmie urząd prezydenta w pierwszej dekadzie czerwca br. i przystąpi do realizacji Aktu Zjednoczenia.

Prezydent Zaleski obrał inną drogę. Nie zamianował gen. Sosnkowskiego swym następcą i — jak wynika z informacji, które podał do publicznej wiadomości „Dziennik Polski" — nie zamierza wyznaczyć Generała swym następcą przed wejściem w życie Aktu Zjednoczenia. Z powyższych informacji wynika, że Prezydent Zaleski przed swym ustąpieniem (9. 6. 1954) postanowił sam zrealizować Akt Zjednoczenia w oparciu o obecny rząd p. Hryniewskiego.

Jest oczywiste, że z punktu widzenia politycznego nie jest obojętne kto realizuje Akt Zjednoczenia. Prezydent mianuje 10 członków Rady *ad personam*, podpisuje dekrety o składzie i powołaniu Rady Jedności Narodowej, za pośrednictwem rządu zwraca się do stronnictw politycznych, organizacji społecznych i duchowieństwa o wyznaczenie przedstawicieli do Rady J. N. — wreszcie prezydent decyduje o terminie zwołania pierwszego posiedzenia Rady J. N. i odbiera ślubowanie od jej członków.

Generał Sosnkowski uczynił wszystko co leżało w jego mocy by z dyskusji zjednoczeniowych wyłączyć „kwestię prezydencką". Z drugiej jednak strony ponieważ unikano poruszenia tej sprawy nie ustalono dokładnie daty wejścia w życie Aktu Zjednoczenia. Powszechnie sądzono, że Prezydent Zaleski zamianuje następcą Prezydenta R.P. gen. Sosnkowskiego a sam ustąpi w dniu 9 czerwca br. i do tej daty nie podejmie żadnych kroków zmierzających do realizacji postanowień Aktu Zjednoczenia. Gdyby Prezydent Zaleski obrał taką taktykę, realizacja Zjednoczenia potoczyłaby się gładko i bez komplikacji.

Należy jednak wnioskować, że Prezydent uważa, iż zaakceptowanie tego rodzaju układu równałoby się kapitulacji głowy Państwa przed żądaniami niechętnych mu stronnictw tym bardziej, że jedno z tych stronnictw (PPS) nigdy oficjalnie nie uznało go za Prezydenta R.P. W konsekwencji wydaje się, że Prezydent Zaleski stoi na stanowisku, że nie może zamianować swojego następcy dopóki on sam nie jest oficjalnie uznany za Prezydenta R.P. przez stronnictwa Rady Politycznej. Trzeba stwierdzić, że z punktu widzenia logiki w tym wypadku Prezydent Zaleski ma całkowitą rację. Bo jeżeli P.P.S. nie uznaje Prezydenta Zaleskiego za Prezydenta R.P. to jak ktoś, kto sam nie jest uznany za Prezydenta może prawidłowo wyznaczyć następcę Prezydenta R.P.? Dopóki więc P.P.S. nie uznaje oficjalnie Prezydenta Zaleskiego to logicznie biorąc, nie może również uznać, że posiada on tytuły prawno-konstytucyjne do prawidłowego wyznaczenia następcy Prezydenta R.P.

W ten sposób powstała zupełnie nowa sytuacja. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Prezydent Zaleski uważa, że jedyną formą w obecnej sytuacji umożliwiającą Radzie Politycznej zamanifestowania uznania go jako Prezydenta R.P. byłaby zgoda stronnictw opozycyjnych na realizację Aktu Zjednoczenia przed 9. czerwca br.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada kwietnia 1954) nie ma jeszcze danych, które pozwoliłyby wnioskować jak do tych spraw ustosunkowały się stronnictwa Rady Politycznej a w szczególności P.P.S.

Klucz sytuacji spoczywa w rękach Prezydenta. Nikt nie może go zmusić do podpisania dekretu z nominacją generała Sosnkowskiego na następcę

Prezydenta R.P.; nikt nie może go zmusić by zrezygnował z realizacji Aktu Zjednoczenia przed dniem 9 czerwca i nikt nie może go zmusić by ustąpił ze swego urzędu w dniu 9 czerwca br. Powyższą datę Prezydent ustalił dobrowolnie i jest władny swoją kadencję przedłużyć — o miesiąc czy o rok — zależnie od swobodnego uznania.

Trzeba jednak równocześnie podkreślić, że Prezydent ponosi pełnię odpowiedzialności za dalsze losy zjednoczenia. Jak zaznaczyłem powyżej jego żądanie by P.P.S. uznała go oficjalnie za Prezydenta R.P. jest logiczne i słuszne. Ale jak wiemy, logika nie jest nigdy decydującym czynnikiem w polityce. W każdej sytuacji kryzysowej problem sprowadza się do pytania — który z elementów uznać należy za istotny i nie nadający się do kompromisu. Pytanie brzmi: co jest w naszej sytuacji ważniejsze i bardziej istotne: czy osiągnięcie pełnego zjednoczenia politycznego emigracji; czy oficjalne uznanie obecnego Prezydenta przez P.P.S.? Należy jeszcze dodać, że choć żądanie Prezydenta pod adresem opozycji jest logiczne i słuszne, to jednak postawa logiczna tego żądania jest wyraźnie osłabiona faktem, że Prezydent był gotów 7 stycznia 1953 roku zamianować generała Sosnkowskiego swym następcą mimo, iż wówczas stanowisko stronnictw opozycyjnych i P.P.S. w stosunku do jego osoby było identyczne jak dziś.

Wydaje się, że w naszej sytuacji pełne polityczne zjednoczenie emigracji jest ważniejsze niż wszystko inne. Gdyby mimo podpisania Aktu Zjednoczenia przez wszystkie niemal stronnictwa i ugrupowania miało niedojść do zjednoczenia — opinia emigracji przypisze winę za ponowne rozbicie Prezydentowi i „grupie zamkowej".

Należy zwrócić uwagę jeszcze na jeden szczegół. Premier Hryniewski cieszy się niewątpliwie pełnym zaufaniem Prezydenta i należy do kół politycznych związanych z „zamkiem". Premier Hryniewski jest politykiem o dużym doświadczeniu i w obecnym kryzysie wiele będzie zależało od linii jaką obierze.

Na jakich przesłankach można osiągnąć kompromis?

Jeżeli Prezydent Zaleski stać będzie niewzruszenie na stanowisku, że on sam jeszcze w okresie swej kadencji realizować będzie Akt Zjednoczenia — w takim wypadku premier Hryniewski wraz ze swym rządem powinien podać się do dymisji. Logicznie biorąc Prezydent powinien powierzyć misję utworzenia nowego rządu p. Grażyńskiemu jako przewodniczącemu Komisji Porozumiewawczej stronnictw. Wówczas na czele rządu, który miałby realizować Akt Zjednoczenia stałby premier reprezentujący stronnictwa, które ów Akt podpisały.

Premier Hryniewski nie reprezentuje żadnego stronnictwa podpisanego pod Aktem Zjednoczenia. Jest on wprawdzie członkiem Ligi Niepodległości, jednak w obecnym rządzie nie reprezentuje tego ugrupowania.

Należy wnioskować, że stronnictwa Rady Politycznej poszłyby na kompromis umożliwiający obecnemu Prezydentowi częściową realizację Aktu Zjednoczenia pod warunkiem natychmiastowego wyznaczenia generała Sosnkowskiego następcą Prezydenta R.P. Jeżeli to nie nastąpi dojść może do kryzysu który całkowicie poderwie zasady legalizmu. Ci, którzy obecny kryzys wywołali — niewątpliwie w imię obrony zasad legalizmu — winni pamiętać, że źle i w nieodpowiednim momencie podjęta obrona pewnych wartości może je całkowicie pogrzebać.

Mam nadzieję, że w chwili gdy słowa te ukażą się w druku i dojdą naszych Czytelników — generał Sosnkowski będzie już zamianowany następcą Prezydenta R.P., a powyższa „Kronika angielska" będzie już tylko historyczną notatką z burzliwego okresu, który minął.

LONDYŃCZYK

Przegląd gospodarczy

Handlować czy nie handlować?

Problem handlu z krajami komunistycznymi odżył ostatnio z całą siłą. W prasie światowej pełno wypowiedzi na ten temat. Parlament angielski poświęcił mu w końcu marca obszerną debatę. Przedstawiciel rządu U.S.A., Stassen, opuścił właśnie Londyn, dokąd przybył dla wymiany i uzgodnienia poglądów z rządami angielskim i francuskim. W wielu krajach Europy, i nie tylko Europy, przemysł szykuje się do skoku na rynki komunistyczne, odbywają się istne wędrówki ,,imperialistów'' do Moskwy, gdzie najwyżsi przedstawiciele rządu sowieckiego przemawiają do nich w sposób, oznaczający, że dokonywanie możliwie największych transakcji z Zachodem bardzo leży Kremlowi na sercu. Niewątpliwie — rodzi się pewna ,,atmosfera handlowa'', w której toastowi angielskiego przemysłowca w Moskwie ,,precz z restrykcjami w handlu'' towarzyszy rzeczywiste uznanie sowieckiego wiceministra handlu. Co więcej: premier Wielkiej Brytanii wypowiada przekonanie, że powiększenie handlu Zachodu ze Wschodem stanowić będzie istotny przyczynek do pokoju światowego, inny polityk, że infiltracja za żelazną kurtynę może się w pewnej mierze przyczynić do demokratyzacji życia za tą kurtyną. Niechętnie, ale mniej niechętnie niż rok temu, słucha tych wywodów rząd U.S.A., usiłujący znaleźć jakiś kompromis pomiędzy radykalnym wyklęciem handlu z komunistami a życzeniami aliantów europejskich, zwłaszcza Anglii, której sytuacja wyraża się formułą ,,eksportować albo umrzeć''.

Problem handlu Wschód-Zachód jest zagadnieniem skomplikowanym. Nie był nim w ,,dawnych czasach'', gdy rolniczy wschód i przemysłowy zachód były związane naturalną współpracą ekonomiczną i gdy nie było żadnych szczególnych antywskazań politycznych. Dziś występują trudności dawniej na ogół nieznane. Problem handlu pomiędzy Wschodem i Zachodem stał się gospodarczo trudny, politycznie kontrowersyjny. Rzućmy trochę światła na to zagadnienie niewątpliwie ważne i aktualne.

WSCHÓD EUROPY JAKO KONTRAHENT

Przed wojną kraje wschodniej Europy były dla Europy zachodniej ważnym źródłem zakupu produktów rolniczych i niektórych materiałów surowych. W stosunku do swego importu nie-kolonialnego kraje zachodnio-europejskie otrzymywały ze wschodniej Europy np.: 23% ziarna chlebowego, 55% kartofli, 28% masła, 85% jaj, 100% lnu, 77-92% różnych materiałów drzewnych, 100% bauksytu, 100% węgla i koksu. Były to niewątpliwie cyfry istotne. Ale mimo to nie należy ich przeceniać, gdyż np. Anglia, największy zachodnio-europejski kontrahent Wschodu, miała z tymże Wschodem wymianę, stanowiącą tylko 10% całego swego handlu zagranicznego. O ile zaś chodzi o samą Rosję sowiecką, to jej udział w handlu światowym przed wojną nigdy nie był duży. W latach 1931 i 1932, w okresie, w którym handel zagraniczny Rosji był na stosunkowo wysokim poziomie, jej udział w eksporcie światowym wynosił nie wiele więcej ponad 2%, zaś udział w imporcie światowym nie wiele więcej niż 2,5%. Około roku 1937 stosunek ten spadł do 1,3% w eksporcie i do 0,9% w imporcie. Są to cyfry nikłe. Według źródeł sowieckich obrót Rosji ze światem zewnętrznym w roku 1949 podwoił się w stosunku do okresu przedwojennego, ale dodać należy, że stało się to tylko dzięki olbrzymio wzmożonemu obrotowi z innymi krajami bloku sowieckiego.

Pomiędzy wybuchem wojny w Korei (1950) a rokiem 1952 (pierwszym pełnym rokiem prawnych ograniczeń handlu ze Wschodem, o czym będzie mowa poniżej) eksport Zachodu do Rosji spadł o 13%. W roku 1952 nastąpił istotny ogólny spadek handlu Wschód-Zachód, w którym to czasie większość krajów Zachodniej Europy miała handel ze Wschodem na poziomie poniżej 5% całego swego handlu zagranicznego. Wreszcie rok 1953 był notorycznie ,,zły'' dla handlu Wschód-Zachód. W roku tym, w stosunku do poprzedniego, to jest do 1952, ogólna wartość importu z bloku sowieckiego do krajów zachodnich spadła o 17 procent, zaś wartość eksportu z krajów zachodnich do bloku sowieckiego spadła o 16%.

Zwróćmy wreszcie uwagę na niezmiernie wymowne dane Europejskiej Komisji Ekonomicznej przy O.N.Z. Oto wskaźniki, charakteryzujące objętość handlu Wschód-Zachód przy podstawie 1950 = 100:

Rok	*Import do zachodniej Europy*	*Eksport z zach. Europy*
1938	305	204
1949	111	103
1950	100	100
1951	89	98
1952	85	91

Z powyższego wynika, że (1) handel między Wschodem jako całością i Zachodem jako całością jest po wojnie znacznie mniejszy niż był przed wojną i (2) że po wojnie wykazuje on tendencję malejącą. Ewolucja ilościowa handlu poszczególnych państw Zachodu ze Wschodem jako całością i z samą Rosją nie pokrywa się z powyższym obrazem w całej rozciągłości. Inaczej też wygląda problem rynku chińskiego. Ale na omawianie tych rzeczy nie mamy tu miejsca.

Nasuwa się pytanie: co jest przyczyną słabego stanu i, do niedawna, pogarszającej się tendencji w handlu pomiędzy Wschodem a Zachodem, które to części Europy zdają się być predystynowane do wzajemnej wymiany handlowej? Szeroka publiczność sądzi, że przeszkody są natury czysto politycznej. Nie jest to prawda. Obok przeszkód politycznych, których natężenie zmieniało się zresztą niejednokrotnie, istnieją również rzeczowe pozapolityczne czynniki, hamujące rozwój omawianego handlu. Niełatwy jest to bowiem handel. Jego trudności „rzeczowe" można by zilustrować w sposób następujący:

1. — Weźmy np. import ziarna zbożowego z Rosji do Anglii. Import ten w milionach funtów wynosił: w roku 1951 — 26, w roku 1952 — 35,7, zaś w roku 1953 tylko 3,6. Rosja po prostu nie miała ostatnio nadwyżek ziarna, co jest zrozumiałe w związku ze stanem rolnictwa sowieckiego i nową polityką ekonomiczną w stosunku do konsumenta. Przed wojną Anglia kupowała w Rosji 14,5% całego importowanego przez się budulca i drzewa, ale w okresie 1948-1952 Rosja mogła sprzedać Anglii tylko 1,5% i to w stosunku do znacznie zmalałego w tym czasie ogólnego importu tego materiału. Import ziarna chlebowego ze wschodnio-europejskich krajów bloku sowieckiego do krajów zachodniej Europy spadł średnio w okresie 1951-1952 do 0,3 miliona ton podczas gdy w okresie 1934-1938 wynosił 2,6% miliona ton. Przyczyny tego spadku leżą po stronie krajów wschodnich i są te same co rosyjskie: brak towaru na eksport.

2. — Z drugiej strony blok wschodni przez całe lata, aż do ostatnich niemal czasów, interesował się przeważnie, w pewnych okresach prawie wyłącznie, tylko dobrami kapitałowymi oraz surowcami strategicznymi, jako przedmiotem swego importu ze strony Zachodu. Ale kraje zachodnie nie zawsze mogły oferować Wschodowi dobra kapitałowe nawet nie będące w kategorii strategicznych, bądź dlatego, że eksportowały je do innych krajów zachodnich, bądź też dlatego, że zmniejszony eksport sowiecki stwarzał pewne trudności w ich handlu ze Wschodem. Oto drugi czynnik powodujący zwężanie możliwości handlowych pomiędzy Wschodem a Zachodem odczuwany nawet na terenie stosunków z Anglią, głównym zachodnio-europejskim kontrahentem Wschodu. Angielska ekonomistka Susan Strange twierdza, że cały eksport angielski do wszystkich krajów wschodniej Europy był w roku 1953 mniejszy niż eksport czy to do Kuwait, czy do Thailand czy do Indonezji, zaś globalny handel

z blokiem sowieckim stanowił mniej niż połowę handlu czy to ze Szwecją, czy z Danią czy z Indiami.

3. — Trzecia trudność leży w płaszczyźnie cen. Z.S.S.R. odmawiał czasem płacenia cen, osiągalnych przez kraj eksportujący na rynku światowym. W pewnych wypadkach ceny żądane przez kraje bloku sowieckiego okazywały się w praktyce wyższe od cen, żądanych przez nie-sowieckich eksporterów. Tak było np. w roku 1951 z węglem polskim, który dlatego stał się dla zachodu Europy mniej atrakcyjny od węgla amerykańskiego. Oto jeden z powodów znacznego spadku eksportu wschodnio-europejskiego węgla na Zachód.

4. — Trudności płatnicze krajów wschodnio-europejskich nieraz utrudniają ich handel z Zachodem. Sama Rosja w mniejszym oczywiście stopniu odczuwa te trudności, ale były okresy, że i ona (np. od wiosny 1953) nie miała dosyć waluty sterlingowej, które to trudności rozwiązała zresztą metodą sprzedaży złota w Anglii i Francji. Długofalowo jednak rzecz biorąc, cały blok sowiecki, łącznie z Rosją, może mieć deficyt walutowy przy zbyt małym eksporcie do krajów zachodnich. Również trudnością w handlu jest to, że eksporter zachodnio-europejski, za swą należność w jednym kraju wschodnim, nie ma możności kupowania w innym kraju wschodnim.

5. — Kraje bloku sowieckiego traktują sprawę dostaw importowych bodaj bardziej rygorystycznie niż zachodnio-europejskie, co nieraz jest czynnikiem w pewnej mierze utrudniającym stosunki handlowe.

6. — Podobnym, a raczej większym, utrudnieniem jest w pewnym sensie słaba ogólna pozycja indywidualnego eksportera zachodnio-europejskiego wobec scentralizowanej administracji sowieckiego handlu zagranicznego. Prawnie jest on oczywiście równą stroną, ale faktycznie państwo ma przewagę nad jednostką choćby w tym znaczeniu, jak każdy potężny aparat biurokratyczny.

Tak więc na terenie handlu Wschód-Zachód istnieje cały szereg trudności natury „rzeczowej". Do tego dochodzą dwa punkty redukujące zakres handlu ze Wschodem z powodów politycznych.

7. — Wchodzi tu w rachubę ustawa, zainicjowana przez członka Izby Reprezentantów w U.S.A. Battle, znana jako „Battle Act", obowiązująca od stycznia 1952 a grożąca wstrzymaniem ze strony Ameryki wszelkiej pomocy militarnej, technicznej, ekonomicznej i finansowej krajom, które świadomie zezwalają na eksportowanie do bloku sowieckiego dóbr, podlegających embargo na podstawie tejże ustawy (lista dóbr strategicznych). Ponadto obowiązuje uchwała O.N.Z. z maja 1951, zakazująca eksportowania materiałów strategicznych do Chin.

8. — Ale na dalszą metę rzeczą najważniejszą, która wybija się bodaj ponad wszystkie inne jest fakt, że pod wpływem polityki Sowietów następuje coraz dalej idąca gospodarcza integracja bloku sowieckiego w skali światowej i coraz silniejsze od

zrywanie poszczególnych krajów komunistycznych od rynków zachodnio-europejskich. W ostatnich latach ogromna część handlu zagranicznego tych krajów obraca się w ramach bloku. Wystarczy powiedzieć, że w stosunku do globalnego handlu zagranicznego bloku sowieckiego, w latach 1937 i 1952, cyfry Polski wynosiły odpowiednio 7% i aż 67%, cyfry Z.S.S.R. 2% i 80%, zaś Chin 0,5% i 72%. O ile zaś chodzi o handel krajów komunistycznych z Rosją Sowiecką, to wzrósł on z 0,5% w roku 1938 do prawie 30% w roku 1952. Szanse handlowe krajów Europy zachodniej w stosunku do Wschodu, oczywiście odpowiednio maleją. Objętość eksportu z Rosji do krajów zachodniej Europy spadła do 1/4 objętości przedwojennej.

DYLEMAT EUROPY ZACHODNIEJ

Żeby uświadomić sobie jak skomplikowana jest sytuacja gospodarcza Europy zachodniej, jako całości, należy wziąć pod uwagę nie tylko przedstawione powyżej trudności na terenie handlu Wschód-Zachód, ale także powszechnie znane trudności, wynikające ze struktury handlu Europy Zachodniej ze Stanami Zjednoczonymi. Problem dolara przytłacza gospodarkę europejską. Analiza wielu głównych bolączek gospodarczych Europy prowadzi do problemu dolara. Tak więc, pod względem gospodarczym, Europa zachodnia wciśnięta jest w ślepy zaułek pomiędzy Sierpem i Młotem z jednej strony, a Dolarem i koniecznościami Battle Act'u z drugiej strony. Trudności wynikające z tej sytuacji, zbiegają się jak w soczewce, w gospodarstwie Wielkiej Brytanii, dla której eksport jest sprawą życia i śmierci. Ciśnienie tych okoliczności jest dla gospodarki brytyjskiej tym dotkliwsze, że nie ma ona żadnej marży pomyślności gospodarczej, która by stanowiła jej obronę na wypadek pogłębienia się recesji amerykańskiej. Równocześnie pojawia się na rynkach światowych sprawna konkurencja Japonii i Niemiec Zachodnich. Rola gospodarcza południowo-wschodniej Azji zmienia się na niekorzyść Europy. Trzeba również wypełnić lukę w zdolności produkcyjnej, powstałą wskutek zwolnienia tempa zbrojeń. Zasada ,,Trade not Aid'' jest bardzo dobra, gorzej jest, gdy coraz trudniej w praktyce o rynki zbytu, gdy na dalszą metę kurczy się Trade, a na bliższą metę kończy się Aid.

W tych warunkach, z gospodarczego punktu widzenia, zrozumiałe są nowe prądy w polityce ekonomicznej wielu wolnych krajów, domagające się wzmożenia handlu z blokiem sowieckim, żądania tym bardziej stanowcze, im bardziej dany kraj zależy od handlu zagranicznego, a więc najsilniejsze w Wielkiej Brytanii. W tych warunkach były angielski minister handlu Wilson domaga się zniesienia ,,półblokady'' Europy Wschodniej, zawarcia szeroko pomyślanego traktatu handlowego z Z.S.S.R. oraz zniesienia bojkotu Chin, zaś obecny minister handlu Thor-

neycroft żąda ,,istotnego rozluźnienia handlu materiałami strategicznymi w ramach bezpieczeństwa państwa'' oraz rozszerzenia handlu artykułami niestrategicznymi. W tej nowej atmosferze, która zresztą wyraźnie zarysowała się już w połowie ub. roku, doszły ostatnio do skutku transakcje angielsko-sowieckie podczas pobytu przemysłowców brytyjskich w Moskwie. Inne kraje wolnego świata również wzmogły swe obroty z Rosją. Niemcy Zachodnie w roku 1953 powiększyły swój handel z Chinami o 800%. Myśl o traktacie handlowym z członkami bloku sowieckiego dojrzewa w niejednym kraju zachodniej Europy.

REORIENTACJA HANDLOWA Z.S.S.R.

Rząd sowiecki wykazuje ostatnio entuzjazm w kierunku ożywienia handlu z imperialistami. Prawda, że Sowiety i dawniej nieraz mówiły o potrzebie handlu z Zachodem tak jak nieraz w szerszym kontekście politycznym mówiły o koegzystencji dwóch systemów. Ale dawniej przeważnie miało to cele czysto propagandystyczne, stanowiąc np. część kampanii ,,pokojowej'' i obciążając świat zachodni odpowiedzialnością za rozbijanie współżycia narodów na odcinku gospodarczym. Nie szło to w parze z rzeczywistym ułatwieniem handlu międzynarodowego, czasem w praktyce wręcz go utrudniało.

Teraz można powiedzieć z całą pewnością, że Sowiety rzeczywiście chcą ożywienia stosunków handlowych z Zachodem. Najważniejszym objawem zmiany stanowiska jest fakt, że — boda wiosną 1953 — niemal zaraz po śmierci Stalina — Sowiety po raz pierwszy od dłuższego czasu zainteresowały się zachodnioeuropejskimi i niektórymi kolonialnymi dobrami konsumpcyjnymi, oraz maszynami do przemysłu lekkiego, podczas gdy dotychczas przedmiotem ich zainteresowań importowych były niemal wyłącznie dobra kapitałowe w dużej mierze typu strategicznego. Równocześnie Sowiety ,,uatrakcyjniły'' swoje oferty eksportowe pod adresem Zachodu w sensie wyboru towarów. Rosja Sowiecka ujawniła skłonność do zawierania długoterminowych umów handlowych, co odpowiada Zachodowi, zwłaszcza, że idzie z nią w parze wyraźne sowieckie zainteresowanie się ideą multilateralnych umów handlowych i płatniczych podczas gdy przedtem panował zdecydowanie typ umów bilateralnych, umożliwiający Rosji wygrywanie jednego kraju zachodniego przeciwko drugiemu. Powyższe zmiany wywołały żywy oddźwięk w Europie Zachodniej. Dodatnie wrażenie zrobił też fakt, że Rosja zezwoliła Rumunii na zawarcie traktatu handlowego z Zachodnimi Niemcami celem potrojenia wymiany handlowej pomiędzy tymi dwoma krajami. Gdy się czyta teksty przemówień wyborczych, wygłoszonych ostatnio przez Malenkowa, Chruszczewa i Mikojana oraz opinie, wypowiedziane przez Nestorowa, prezesa Izby Handlowej w Z.S.S.R. itd., to widzi się jak na dłoni, że tu naprawdę chodzi o przeprowadzanie transakcji handlowych

na skalę możliwie największą. Podobne przekonanie wynosi się z czytania sprawozdań z ostatnich posiedzeń Europejskiej Komisji Ekonomicznej przy O.N.Z., na których np. przedstawiciel Wielkiej Brytanii i sowiecki wiceminister handlu prowadzą rzeczowe rozmowy na temat handlu i — rzecz nieznana przedtem — zgłaszają uzgodniony wniosek w sprawie zwołania komitetu dla rozwoju handlu pomiędzy Wschodem i Zachodem. Równocześnie z tymi pociągnięciami Rosji inni członkowie bloku sowieckiego również zaczynają rzeczowo współpracować na terenie ekonomicznych organów O.N.Z. Ale najjaskrawszym w swej wymowie faktem jest to, że eksperci handlowi z obu stron barykady prowadzą rozmowy, zupełnie pomijając sprawę embarga na materiały strategiczne czyli z góry wyłączając ten czynnik, który mógłby stworzyć największe trudności. To wszystko nie oznacza oczywiście, że Rosja rezygnuje ze swych politycznych celów, wiążących się ze sprawą handlu zagranicznego. Przypuszczenie takie byłoby nonsensem. ,,Nowy kurs'' oznacza po prostu, że w danym etapie handel Sowietów z Zachodem ma dać im pewne korzyści polityczne — właśnie te, których bez rozszerzenia handlu nie mogłyby zrealizować. Jakie są te korzyści? Jak doszło do tej reorientacji?

Wydaje nam się, że rozumowanie sowieckie jest następujące: wojny w bliskim czasie nie będzie, ale (1) należy kontynuować przygotowania wojenne, dalej rozbudowując ciężki przemysł, a równocześnie (2) należy podnosić poziom życia w Z.S.S.R. zgodnie z N.E.P.'em, proklamowanym w sierpniu 1953 oraz (3) pracować na rzecz możliwie największego uzależnienia Chin od Z.S.S.R., co jest dla niego rzeczą niezmiernej wagi w ramach jego polityki światowej. Równocześnie chodzi (4) o dalsze rozbijanie solidarności wolnego świata, (5) o dalsze finansowanie piątych kolumn i (6) o gospodarcze uzależnienie i polityczne ,,zmiękczenie'' krajów zachodnich, zwłaszcza tych, które najbardziej cierpią z powodu deficytu dolarowego.

Cel 1 wymaga zwiększenia nakładów kapitałowych. Cel 2 — zwiększenia nakładów kapitałowych i wydatków na terenie produkcji nietrwałych dóbr konsumpcyjnych. Cel 3 wiąże się z nieuniknioną koniecznością znacznie intensywniejszego niż dotąd zaspakajania inwestycyjnych potrzeb Chin, i też wymaga poświęcenia wielkich zasobów na rzecz tego ważnego partnera. Rosja, a nawet cały blok sowiecki, nie ma dosyć zasobów, aby sprostać tym trzem celom. Zwiększony z Zachodem handel mógłby w niemałej mierze przyczynić się do ułatwienia jej realizacji tych zadań, zwłaszcza, że w jego toku Rosji może się udać stopniowe rozluźnianie działania nienawistnego jej Battle Act. Wzmożony handel służy również celowi 4, gdyż handel Wschód-Zachód może być instrumentem potęgowania wewnętrznych sprzeczności między państwami wolnego świata. Cel 5 można tym łatwiej realizować, im więcej jest legalnych kanałów handlowo-finansowych pomiędzy Z.S.S.R. a wolnym światem. Celowi 6 wzmożony handel również może służyć.

Zachód rozumie, a przynajmniej powinien rozumieć to wszystko. Ale rozumieć jakieś niebezpieczeństwo, to wcale jeszcze nie znaczy, że można je całkowicie ominąć. Istotne bowiem z punktu widzenia zachodniej Europy, jest to, że *musi* ona szukać rynków zbytu i że ocena handlu z Sowietami musi się opierać na ocenie szeroko rozumianych korzyści wypadkowych w tym handlu, który reprezentuje momenty dodatnie i ujemne. Z tego właśnie punktu widzenia należy ustalić pogląd na zasadność restrykcji, dotąd obowiązujących w omawianym handlu, oraz pogląd na potrzebę i sposób ich rewizji.

RESTRYKCJA W ŚWIETLE ZDROWEGO ROZSĄDKU

Gdyby blokada gospodarcza systemu sowieckiego mogła go podkopać, a jednocześnie nie narażać krajów zachodniej Europy na zbyt poważne ujemne konsekwencje ekonomiczne, to absolutne restrykcje handlowe w stosunku do bloku sowieckiego byłyby rzeczą prostą. Gdyby pewne było, że wojna jest blisko, sprawa byłaby jeszcze prostsza. Ale żadne z tych ,,gdyby'' nie istnieje. Dlatego — mamy przed sobą problem bardzo skomplikowany, który nie może być rozwiązany żadną prymitywną ani radykalną formułą. Trzeba go rozwiązać przy pomocy praktycznego zdrowego rozsądku, uwzględniając zarówno gospodarczy jak i polityczny aspekt sprawy. Na czym powinien polegać nieunikniony tu kompromis? Wydaje nam się, że odnośne rozumowanie można by ująć w sposób następujący:

1. — Całkowite wyłączenie stosunków gospodarczych z 800 milionami ludzi jest na dłuższą metę rzeczą ekonomicznie niemożliwą w świecie, w którym pozostałe 1.200 milionów ludzi nie stanowi bloku tak centralnie administrowanego jak blok sowiecki. Przerwa w zamkniętym obwodzie elektrycznym powoduje skutek natychmiastowy. Przerwa w światowej cyrkulacji dóbr przy danym układzie stosunków wewnątrz wolnego świata, musi ostatecznie, choćby po długim czasie, przynieść temuż wolnemu światu groźne skutki gospodarcze i polityczne, i to nie podkopując bloku sowieckiego, a tylko utrudniając jego sytuację. Szkolnym niemal przykładem, potwierdzającym tezę, że mimo wszelkich kontrowersji politycznych, dzielących Zachód od Wschodu, istnieje jednak w pewnym stopniu współzależność gospodarcza tych dwóch światów, może być fakt, że w IV kwartale 1953 Wielka Brytania otrzymała od Rosji złota za 35 milionów funtów, bez których jej rezerwy złoto-dolarowe spadłyby w stopniu istotnym.

2. — Prawda, że znakomita większość dóbr — poza szampanem i perfumami, jak to dowcipnie zauważył p. Klinga w ,,Orle Białym'' ma znaczenie strategiczne. Jest więc również prawdą, że niemal każde dobro, sprzedane blokowi sowieckiemu powiększa jego potencjał przemysłowy, a więc, w wielkiej ilości wy

padków i — wojenny. Restrykcje handlowe zmniejszają ten potencjał. Są one jednak bronią *obosieczną,* co najmniej w sensie ekonomicznym, a nierzadko i w — politycznym. To ostatnie wtedy, gdy strona propagująca restrykcje handlowe o tyle pogorszy stan swego gospodarstwa, że prowadzi to do osłabienia jej siły politycznej i wojskowej.

3. — Gdy nie można stosować restrykcji absolutnych, to trzeba stworzyć pewną ,,hierarchię niebezpieczeństw'' w obrocie handlowym. To właśnie zrobiono w Battle Act. Nakłada on absolutne embargo na dobra o wysokim znaczeniu strategicznym zaś wprowadza ilościowe tylko restrykcje w stosunku do materiałów które, sprzedawane blokowi sowieckiemu w ograniczonych ilościach, nie przedstawiają istotnego niebezpieczeństwa.

4. — Ale, oczywiście, zaklasyfikowanie danego dobra do danej kategorii jest rzeczą do pewnego stopnia względną i zależy od różnych okoliczności. Np. puszka konserw mięsnych, dostarczona potencjalnemu wrogowi w okresie, w którym prawdopodobnie tworzy on żywnościowe rezerwy mobilizacyjne, jest dobrem strategicznym. Ta sama puszka w innym okresie nie należy do eksportu niebezpiecznego. Traktor jest dobrem niestrategicznym, ale gdy np. w roku 1947 zapotrzebowanie Rosji na traktory amerykańskie niemal się potroiło, to, w związku z ogłoszeniem doktryny Trumana, powstało wtedy przypuszczenie, że Sowiety przewekslowały część swej produkcji traktorów — do produkcji tanków. Eksport traktorów odegrał zatem rolę wyraźnie strategiczną. Pewien amerykański urzędnik powiedział, że lepiej jest sprzedawać Rosji ,,tanki, które ostatecznie staną się przestarzałe niż obrabiarki, które rozszerzają sowiecką bazę przemysłową''. Powiedzenie to cytujemy tylko dlatego, że jaskrawo obrazuje relatywizm rzeczy, o którą tu chodzi. Oczywiście, zarówno tank, jak obrabiarka (ciężka) należy bezwzględnie do dóbr ,,pierwszej klasy strategicznej''.

5. — Eksport materiału nawet strategicznego może nie wzbudzać zastrzeżeń politycznych jeżeli inne materiały strategiczne są przedmiotem importu z bloku sowieckiego. Np. od lata 1953 Rosja eksportowała na Zachód chrom, mangan, żelazo, naftę itd. to znaczy ,,zasilała'' Zachód w sensie strategicznym. Chodzi więc o to, by eksport strategiczny Zachodu równoważył się mniej więcej w sensie strategicznym z odnośnym importem, z korzyścią ekonomiczną dla eksportera zachodnio-europejskiego. Wyłączenie takiego zbalansowanego eksportu byłoby praktycznie nieuzasadnione. ,,Times'' sądzi np. że można eksportować miedź i aluminium, materiały par excellence strategiczne, wzamian za odpowiednio wielkie koncesje polityczne.

6. — Czasem nie można nie uwzględnić żywotnego interesu gospodarczego danego kraju zachodniego jeżeli wielkie ekonomiczne, a przez to i polityczne, poszkodowanie go przez zakaz eksportu przekraczałoby ,,stratę strategiczną'' w razie eksportowania. Oto przyczyna, dla której skreślono z listy towarów

zakazanych kauczuk (ze względu na Anglię) i bawełnę (ze względu na U.S.A. . Oczywiście nie może to podkopywać ogólnej zasady prymatu wielkich interesów politycznych.

7. — Ogólnie mówiąc, w ocenie dopuszczalności handlu poszczególnymi artykułami powinien decydować *szeroko rozumiany* rachunek strat i zysków, uwzględniający zarówno momenty polityczne jak i ekonomiczne, z tym, że samo utrzymanie na odpowiednim poziomie zdolności wytwórczej krajów zachodniej Europy jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi *także* z punktu widzenia politycznego i strategicznego. Mamy wrażenie, że takie właśnie kryterium zostanie zastosowane w zamierzonej obecnie rewizji listy zakazanych materiałów strategicznych. O ile bowiem chodzi o rozszerzenie handlu towarami niestrategicznymi, to nie może ono wzbudzać zastrzeżeń ani ekonomicznych ani politycznych, przy założeniu, że wojna jest sprawą odległą. Rozumie się też samo przez się, że przy wszelkich transakcjach międzynarodowych musi być uwzględniona zasada prymatu handlu wolnych krajów między sobą przed ich handlem z blokiem sowieckim, zwłaszcza w stosunku do towarów, których blokowi sowieckiemu jako całości brak, i że klauzula największego uprzywilejowania pomiędzy krajami zachodnimi możliwie najrzadziej powinna działać na rzecz tego bloku. *W „rzeczywistej rzeczywistości" zachodniej Europy niemożliwe jest jednak 100-procentowe upolitycznienie kryteriów handlu zagranicznego tak jak niedopuszczalne jest całkowite skomercjalizowanie polityki.*

Z tego wszystkiego wynika, że wzmożony z blokiem sowieckim handel przyczyni krajom zachodniej Europy korzyści nie do pogardzenia, nie wynika jednak, że będą one szczególnie wielkie. Mylą się ci, którzy widzą w tym handlu jakieś panaceum na wszelkie bolączki gospodarcze Europy. Naiwni są ci, którzy oczekują, że handel ten powiększa szanse pokoju światowego albo, że jest przyczynkiem do demokratyzacji stosunków politycznych za Żelazną Kurtyną. Sądzę też, że w ramach wchodzącego dziś w rachubę rozszerzenia handlu Wschód-Zachód, pierwszy może osiągnąć większe korzyści niż drugi. Uzasadnienie tych tez wymagałoby jednak osobnego artykułu. Ocena — związanego z omawianym handlem — ryzyka politycznego i metody redukowania tego ostatniego, to problem, którego oświetlenie również przekracza ramy niniejszego artykułu. O tych rzeczach napiszemy w jednym z następnych przeglądów gospodarczych. Tutaj zaznaczmy ogólnie tylko, że, z punktu widzenia państw zachodnich, musi być w tym handlu jakaś rozumna granica górna, której nie powinny one przekraczać, jeżeli nie chcą zrobić błędu podobnego do tego, który zrobiły po pierwszej wojnie w stosunku do Niemiec. Wówczas — wzmocniły one gospodarkę niemiecką w takim stopniu, że właściwie — same sfinansowały podstawy niemieckiej agresji w roku 1939.

Stanisław ZARZEWSKI

Kronika kulturalna

Dokoła dwóch wystaw

Współczesny realista (*) demaskuje swoje braki gdy próbuje malarstwa czysto abstrakcyjnego, nie umie przemyśleć swego obrazu w oderwaniu, nie ma imaginacji bezprzedmiotowej, nie umie się oderwać nie tylko od przedmiotu ale od SENSU przedmiotu. Rezultat — naiwność kompozycyjna gdy tylko artysta próbuje obraz budować nie poprzez wizję natury ale poza nią. Ten sam malarz może jednocześnie świetnie komponować obraz przedmiotowy.

Zjawisko odwrotne obserwujemy u malarzy abstrakcyjnych. Malarze ci pracują przez lata w kombinacjach oderwanych barw i form, gdzie przedmiot albo nie istnieje, albo jest tak wyzuty ze swego SENSU, że daje się deformować dla kompozycji, *bez żadnego oporu,* jakby nie istniał. Tu oni znów się demaskują.

Kiedy Ingres dodawał kręgi ,,Odalisce'' a Emile Bernard, ku zachwytowi Gauguina, wydłużał do niemożliwości twarz kobiety, był jeszcze gwałtowny opór. Ale dla dzisiejszego abstrakcjonisty opór przedmiotu jakby przestał całkowicie istnieć.

Jakże się męczył kompozycją Gierymski, realista, wciąż na nowo przesuwając na płótnie ,,Trąbki'' czarne plamy modlących się Żydów nad Wisłą, jak tragicznie Cézanne się porał by scalić ,,Poussina'' i naturę. Gdy dzisiaj malarz abstrakcyjny próbuje przedstawić przedmiot konkretny, broń Boże portret, jest zwykle bezsilny a nieraz śmieszny (Picasso jest tu potwierdzającym re-

---

(*) Używam wyrazów *realista* w znaczeniu najogólniejszym, a *abstrakcyjne malarstwo* w znaczeniu potocznym. Realista — malarz operujący w kompozycji ludźmi i przedmiotami *(art figuratif)* w przeciwieństwie do abstrakcjonisty, w którego obrazie dominuje nieprzedmiotowość *(art non figuratif)*. Jeleński w jasnym i ważkim artykule ,,Abstrakcja i nieprzedmiotowość'' *Kultura* 1/63 wykazał jak wyrazy ,,malarstwo abstrakcyjne'', ,,abstrakcjonista'' są nieścisłe, jakie powodują nieporozumienia, bo naturalnie nie ma dzieła sztuki, które by nie miało elementów abstrakcyjnych. Używam tych wyrazów jednak, bo te nazwy *potocznie* przywarły do malarstwa nieprzedmiotowego.

gułę wyjątkiem, ale bo też w żadnym „izmie'' zamknąć się go nie da). Ta niemoc zastanawiała mnie już w 1925 czy 1926 roku, gdy na jednej z wielkich wystaw paryskich zobaczyłem portret realistyczny Marcoussisa, bądź co bądź czołowego kubisty. Portret był malowany jak przez słabego ucznia byle jakiej akademii. Nie wyobrażam sobie, by taka płytkość nie miała na dnie powodów o wiele głębszych niż niewprawna ręka czy nieuważne oko — właśnie wśród abstrakcjonistów mamy dziś chyba najwybitniejszych wirtuozów, którzy dochodzą do wielkiej subtelności modulacji i kaligrafii, do prawdziwej wiedzy jak stworzyć równowagę brył i barw w obrazie.

Na dnie tego tkwi brak wszelkiej wizji otaczającego artystę konkretnego świata ludzi i rzeczy, brak płynący z OBOJĘTNOŚCI wobec wszystkiego co nie jest kombinacją cerebralną czy imaginacją czystą. Czy nie tu bierze źródło tak częsta u abstrakcjonistów ignorancja, pełna poczucia wyższości wobec spraw i zagadnień niemalarskich i nie ściśle osobistych, lub przeciwnie — ich bezceremonialna, niemiłosierna abstrakcyjność ideowa. Jedynie jeszcze „czyste'' konstrukcje umysłowe, nie dające się przykroić do żadnej konkretnej rzeczywistości, są zdolne zapalić abstrakcjonistę.

◆

Czeski malarz J. Sima i francuski Berçot wystawiają jednocześnie w Paryżu. (Galerie Kleber, Galerie de France). Są oni obaj na pograniczu nurtów sztuki, które z gruba nazwałem realizmem i abstrakcją. Znaczące obrazy Simy to te właśnie, w których nie wiem — dopóki nie zajrzę do katalogu — czy ewokują papiery rozłożone na stole, czy fale na morzu, czarny kontur lasu na śnieżnym polu czy czarną komodę. (Gdy Mallarmé przeczytał raz wiersz swoim wyznawcom, a ci ostatni wyrażali mu swój zachwyt, spytał się ich co ten wiersz opisuje. Słuchacze odpowiadali różnie, skłaniali się jednak ku temu, że to opis zachodzącego słońca. „Nie'', odpowiedział Mallarmé, to moja komoda'').

Obrazy czeskiego artysty tracą nagle magiczność, niektóre stają się wprost banalne, gdy malarz probuje obraz swój urealnić. Bardziej rzeczowo traktowane płótna — podwórza paryskie, ślepe uliczki — są pełne elementów zbędnych, jakby sobie z zewnątrz narzuconych. Wystarczy przypomnieć blask, prostotę uliczek Utrilla, gdzie każdy przedmiot gra i wszystko — nawet zawsze te same kobiety z przesadnie wydętymi zadami — jest niezbędne. Na wystawie Simy jest duże płótno, gdzie postać kobiety na małej stacji XIV arrondissement zdaje się jak wykrojona z papieru i manierycznie przestylizowana: czujemy tu muzykę barwy prawdziwie subtelną, ale realizm bladych chmur na bladym niebie, już nie mówiąc o postaci, nic nie dodaje, a niszczy delikatną kompozycję różów, szarości i bieli. O parę kroków dalej zachwyca pejzaż śnieżny do ostatecznego stopnia uproszczony, ze smugami geometrycznymi niebieskiego nieba, przebijającego poprzez biało-szarą kołdrę chmur. Trochę dalej „drze

wa w polu'' (trzeba przeczytać w katalogu żeby wiedzieć, że to są drzewa) mają piękny dźwięk kolorystyczny i dziwną, tajemniczą poezję przeżycia. Takich obrazów jest więcej i one nadają charakter dyskretnej i pięknej wystawie Simy.

A więc znowu walory abstrakcyjne, gdy przedmiot jest wizją zaledwie muśnięty i jakaś bezsilność wobec twarzy ludzkiej czy nawet uliczek — jak tylko grać zaczyna sens ich i własny ciężar. Czy konflikt między realizmem i abstrakcją nie przechodzi dziś przez samo serce artysty?

W porównaniu z Simą, Berçot ma o wiele większą wirtuozję koloru, ściślejsze rzemiosło, jakby niechybną muzykalność i radość barw. Jego obrazy są znów na granicy abstrakcji i przedmiotowości. W abstrakcyjnych kratkach łatwo rozpoznajemy ewokacje kwadratowych poletek i przestylizowanych drzew czy żagli na morzu. Ale jeżeli dłużej się im przyglądać radość słabnie, efekt tak dźwięczny zdaje się być coraz to nową wersją jednej i tej samej formułki. (Kiedy pewnego młodego malarza, doradcę artystycznego wielkiego pisma, spytałem czy jest malarzem abstrakcyjnym, odrzekł: ,,Ależ naturalnie, ale maluję nie formy kanciaste ale spiralne''. Cóż za zubożenie — te z góry przyjęte, jakoby oryginalne schematy i formułki!). Wbrew zaletom, na malarstwie Berçot ciąży także schemat ,,figur kanciastych'' stosowany zresztą z wirtuozją.

I u Simy znaleźć można analogiczną jak u Berçot wirtuozję w jego grafikach. W niektórych akwafortach do ,,Paradis Perdu'' Jean Jouve'a (wydane przepięknie przez G. L. M.) Sima osiąga tę równowagę między fantastyką a przedmiotowością, między geometryczną linią a blaskiem delikatnych kresek, wywołujących wrażenie fal, kształtów, zwierząt czy ciała ludzkiego. Niemniej nie ta grafika wyszukana, ale właśnie prawie nieporadne płótna tego malarza wyrażają to co w wizji Simy zdaje mi się najdyskretniej i najszczerzej poetyczne.

✦

Może nadszedł czas by zrobić bilans, bez uprzedzeń i bez tabu ,,modernistycznych'' czy ,,wstecznych'', do czego doprowadziło to rozbicie sztuki na nurty JAKBY wzajemnie się wykluczające.

Jeszcze stary Pankiewicz obciążał odpowiedzialnością za to Davida. Sztuka linearna Ingresa, w dalszym rozwoju poprzez Gauguina prowadząca do abstrakcji, Delacroix, jego kolor i ekspresja, i z niego wyrastający realizm Courbeta, a dalej impresjonizm. Trzeci nurt idzie, jak i tamte, od Davida — ale nie od jego świetnych portretów czy wspaniałych studiów natury — lecz od ,,Sabinek'' i innych kobył historycznych i blaszanych. Jest to malarstwo ściśle, wyłącznie tematyczne, historyczne czy obyczajowe, które im bardziej traciło sens malarski, tym szersze zdobywało powodzenie, i było chlubą wszystkich salonów XIX wie-

ku a dziś jest obowiązkowo i wyłącznie panującą sztuką w Sowietach i państwach satelickich.

Czy taka parcelacja, która dziś właśnie doszła do granic ostatnich nie jest powodem wąskości, zubożenia, półporażek i półzwycięstw, które cechują sztukę współczesną?

Ważność tej sprawy zdaje mi się o wiele szersza niż kłótnie szkół malarskich i ich rzemiosła, dotyka ona samego rdzenia człowieka. Nie wierzę by można było zmienić oblicze sztuki bez zmian psychicznego nastawienia do samej rzeczywistości.

Józef CZAPSKI

Nowe odkrycia

Głośne dzisiaj na cały świat ruiny Kirbet-Kumran, położone o kilkanaście kilometrów na południe od Jerycha, od dawna już zwracały na siebie uwagę badaczy. Brano je za ruiny biblijnej Gomory, bądź też za resztki fortu rzymskiego. W 1873 roku zwiedził je Ch. Clermont-Ganneau, późniejszy profesor Collège de France. Opisał on resztki murów kamiennych i niewielką cysternę, do której prowadziły schodki. Najbardziej jednak zainteresował go położony obok cmentarz, liczący ponad tysiąc grobów i uplanowany z regularnością, niezwykłą na Wschodzie dla miejsc ostatniego spoczynku. Jeszcze bardziej niezwykłą była orientacja grobów — z południa na północ. Spostrzegli to już dawno okoliczni mieszkańcy muzułmańscy, uważając je za groby niewiernych giaurów. Każdy kopiec mogilny, w formie owalu, był pokryty warstwą niedużych kamieni, nie noszących żadnych napisów. Clermont-Ganneau rozkopał kilka grobów i na znacznej głębokości, pod pokryciem z surowych cegieł, znalazł resztki szkieletów, skierowanych głowami na południe. Absolutny brak jakichkolwiek przedmiotów uniemożliwił identyfikację okresu pogrzebu i przynależności grobów. Nie były one ani żydowskie, ani chrześcijańskie, ani muzułmańskie. Może pochodziły od jakiegoś szczepu arabskiego z okresu przed Mahometem — snuł swoje domysły badacz. Clermont-Ganneau postawił znak zapytania na całym zagadnieniu i na tym poprzestał, nie podejrzewając, iż był on tylko o krok od epokowego odkrycia.

Gdy w 1947 roku w odległości około kilometra od Kirbet-Kumran natrafiono na jaskinię z rękopisami(*), zaczęto badać całą okolicę. Oczywiście, uwaga badaczy nie mogła przejść mimo ruin które dały nazwę samej miejscowości (kirbet znaczy po arabsku : ruiny); przystąpiono do rozkopywania ich. Prace prowadzone przez Urząd Konserwatorski Jordanii, Ecole Biblique

(*) Por. artykuł pt. „Rękopisy Morza Martwego". „Kultura" nr 9/71

t Archéologique Française w Jerozolimie, oraz Archeologiczne
Muzeum Palestyńskie, tamże, jeszcze bardzo dalekie od ukoń-
zenia, jednak uzyskane dotychczas wyniki przedstawiają się
ardzo interesująco.

Ruiny Kirbet-Kumran stanowią cały kompleks. Główny bu-
ynek mierzy 37 m. na 30 m.; na południe, południowy-zachód
zachód od gmachu centralnego są ślady mniejszych budynków
eszcze nieodkopanych. Konstrukcja murów jest mało solidna,
d razu więc odpadła hipoteza fortu rzymskiego.

Wyraźne ślady pożaru na murach, oraz w nieładzie porzu-
one w różnych miejscach liczne przedmioty całe lub stłuczone
wiadczyły, iż budynek został opuszczony nagle. Całość obrazu
aże przypuszczać, iż gmachy były zniszczone w okresie pierw-
zego powstania i Wielkiej Wojny Żydowskiej (66-70 po Chr.).
óźniej odnowiono je i przez pewien czas znowu używano, trudno
ziś powiedzieć czy przez pierwotnych właścicieli, czy też przez
rzygodnych mieszkańców.

Kompleks gmachów w Kirbet-Kumran stanowił najpraw-
opodobniej centrum administracyjne zgromadzenia, którego
złonkowie mieszkali dookoła, bądź to w szałasach, bądź w jas-
iniach. W tych też jaskiniach ukrywano w okresie niebezpie-
zeństwa przedmioty najdroższe — swoje księgi święte. Księgi
e pisano i kopiowano prawdopodobnie na miejscu, gdyż wśród
uin znaleziono stoły do pisania, tabliczkę z abecadłem, kałamarz
terrakoty, oraz kałamarz bronzowy zawierający jeszcze ze-
chnięty atrament, przyrządzony z sadzy i gumy.

Poszukiwania w pobliżu gmachu wykryły kilka obiektów
rzeznaczonych z pewnością do wypełniania rytuału, znanego
ogłoszonych już rękopisów i na podstawie świadectw dawnych
utorów. Jak wiadomo, Gmina Nowego Przymierza, mająca
woje centrum w Kirbet-Kumran, odrzucała krwawą ofiarę, żą-
ając wzamian od wiernych świętości myśli i oczyszczania się
rzez codzienne, dwukrotne całkowite zanurzanie się w wodzie.
o tych praktyk hemerobaptystycznych służyły baseny wyłożone
amieniem i zaopatrywane w wodę przez specjalny akwadukt.
o basenu schodzono przy pomocy schodków, podzielonych na
ilka sekcji równoległych, prawdopodobnie przeznaczonych dla
złonków mających różne stopnie poświęcenia. Jeden z basenów
osi ślady zniszczenia, wywołanego przez trzęsienie ziemi; istot-
ie, w pierwszym wieku przed i po Chrystusie w rejonie tym
otowano podobne katastrofy.

Za długim murem, przebiegającym wzdłuż gmachów i ba-
nów, mieści się obszerny cmentarz, przecięty dwiema ścieżka-
i na trzy nierówne części. Na razie zbadano kilka grobów;
posób chowania był identyczny z opisanym przez Clermont-
anneau. Osłona z cegieł czasem była zastąpiona przez kamienie;
włoki składano bezpośrednio w ziemi, w niektórych wypadkach
wierdzono obecność trumny. Niektóre groby zawierały szkie-
ty kobiece. Fakt ten może być wytłumaczony dwojako: 1) Gro-
y kobiece pochodzą z wczesnego okresu, gdy celibat jeszcze nie

obowiązywał bezwzględnie w Gminie Nowego Przymierza. Za potwierdzenie tego mogą służyć ustępy Pisma Damasceńskiego i nowoznalezionych rękopisów, traktujące o życiu małżeńskim. 2) Pochowano tam krewne członków Zgromadzenia, lub dobro dziejki Gminy.

Równolegle z pracami w samym Kirbet-Kumran, odbywały się poszukiwania w okolicy. Przodowali w tym beduini, którzy znaleźli kilka nowych jaskiń z rękopisami w pobliżu groty z 1947 roku. Idąca w ślad za tubylcami ekspedycja, zorganizowana przez władze, Ecole Biblique Française, American School of Oriental Research i Muzeum Palestyńskie, przeszukała w marcu i kwietniu 1952 roku okolice Kirbet-Kumran. Dokonano 230 sondowań, odkryto 37 jaskiń z zabytkami, w tym 25 należących do serii kumrańskiej; znaleziono dwie drogi brukowane, służące prawdopodobnie członkom Zgromadzenia do komunikowania się z ich centrum administracyjnym. Owoc ekspedycji stanowiły liczne fragmenty rękopisów biblijnych i nie biblijnych, wyroby ceramiczne i jeden przedmiot mogący mieć kluczowe znaczenie dla wyjaśnienia istoty gminy kumrańskiej. Są to mianowicie trzy kawałki blachy miedzianej, szerokości 30 cm. i długości 80 cm, które pierwotnie stanowiły całość i, prawdopodobnie, były przymocowane gdzieś w budynku. Arkusze zawierają jakąś sentencję nieodczytaną jeszcze, wiadomo tylko iż chodzi o tekst nie biblijny. Były to, prawdopodobnie, zasadnicze reguły i pouczenia Gminy kumrańskiej. Blachy są zwinięte i mocno zaśniedziałe, rozwinięcie ich wymagać będzie pewnego czasu.

We wrześniu 1952 roku tubylcy odkryli niedaleko Kumran, w okolicy uznanej przez ekspedycję za jałową, komorę sztucznie wykutą w skalę. Zaalarmowani archeologowie zabrali resztę dokumentów hebrajskich i greckich. Zawartość komory ma być bardziej doniosła niż zawartość pierwszej groty. Obok znaleziono inną, podobną komorę z rękopisami, niestety mocno zniszczonymi.

Gorączka rękopisów ogarniała coraz szersze rzesze badaczy powołanych i niepowołanych. Zaczęto przetrząsać najdalsze i najbardziej niedostępne okolice pustyni Judejskiej. Tubylcy bez przerwy dostarczali na sprzedaż rozmaite fragmenty rękopisów, odmawiając jednak wskazania miejsca ich pochodzenia. Jednak naiwność ludów wschodnich dorównuje ich przebiegłości. Pewnego razu przyniesiono jakieś fragmenty do Francuskiej Szkoły Biblijnej w klasztorze OO. Dominikanów. Sprzedawcy, dotknięci do żywego uwagą o wygórowanej cenie, tłumaczyli ją niedostępnością terenu i trudnymi warunkami pracy. Sceptycyzm księży dotknął głęboko beduinów, którzy, chcąc przekonać niewiernych Tomaszów zaproponowali niewierzącemu własnym uszom O. de Vaux, udanie się na miejsce poszukiwań, zgadzając się na zabranie innych osób i nawet... policji (oczywiście, dla obrony zainteresowanych przed skutkami zazdrości ich współziomków).

W dniu 21 stycznia 1952 roku ekspedycja odbyła pieszo długą, uciążliwą podróż do miejscowości Murabbaat, leżącej o ... km. (w linii powietrznej) na południowy wschód od Jerozolimy.

18 km. na południe od pierwszej groty w Kumran. Karkołomna ścieżka nad przepaścią zaprowadziła badaczy do jaskini, gdzie właśnie kilkudziesięciu lokalnych archeologów było zaabsorbowanych poszukiwaniami; większość ich z miejsca zaangażowano do pomocy.

Badania w nowym ośrodku wykazały, iż jaskinie były zamieszkałe, poczynając od wieku kamiennego aż do okresu rzymskiego i były odwiedzane w okresie arabskim. Po opuszczeniu przez ludzi, stały się one siedliskiem zwierząt i gołębi. Ptaki używały strzępów dokumentów do wyściełania swoich gniazd; znaczne pokłady guano nagromadziły się na ziemi. W okresie mandatu brytyjskiego, ludność okoliczna sprzedawała kolonistom żydowskim ten nawóz, zawierający prawdopodobnie zmieszane z nim niejedne fragmenty rękopisów.

Systematyczne poszukiwania dały liczne przedmioty kamienne, ceramiczne, skórzane i tkane z okresu kamiennego, brązowego, żelaznego i rzymskiego, monety a także, co najważniejsze, rękopisy greckie, łacińskie, hebrajskie i aramejskie. Może największą sensacją, dotychczas ogłoszoną, jest autograf Bar Kochby, przywódcy drugiego powstania żydowskiego (132-135 po Chrystusie), za cesarza Hadriana. Oddziały Bar Kochby używały jaskiń w Murabbaat jako schroniska. Po uśmierzeniu powstania stacjonował tu, prawdopodobnie, posterunek rzymski, który porąbał egzemplarze Pisma Św., którego skrawki zostały znalezione przez ekspedycję.

O ile jaskinie w okolicach Kumranu zawierają teksty wyłącznie natury religijnej, o tyle w Murabbaat obok tekstów biblijnych i przedmiotów kultu jak np. filakterie (cytaty z Biblii przymocowywane do czoła i rąk podczas modlitwy), przeważają zasadniczo dokumenty o charakterze osobistym i administracyjnym.

Dla uniknięcia nieporozumienia, należy tutaj z naciskiem ostrzec czytelników przed mieszaniem znalezisk z różnych ośrodków. Autorami i właścicielami dokumentów serii kumrańskiej byli członkowie Gminy Nowego Przymierza, rezydującej tutaj na długo przed Narodzeniem Chrystusa i na początku ery chrześcijańskiej. Zabytki z Murabbaat pochodzą z późniejszego okresu rzymskiego i stanowią pozostałość po wojnie żydowsko-rzymskiej. Są tu nawet dokumenty późniejsze z okresu arabskiego.

Inną epokę reprezentują znaleziska dokonane wiosną 1953 roku przez ekspedycję belgijską, pomiędzy Kumranem a Murabbaat, na miejscu gdzie między V-ym a IX-ym wiekiem istniał klasztor chrześcijański. Znaleziono tam teksty greckie i syriackie Nowego Testamentu apokryfy, teksty arabskie i dzieła klasyków greckich.

Nieokreślona bliżej grupa grot miała dostarczyć dokumentów i monet z okresu drugiej wojny żydowskiej, fragmenty hebrajskie i greckie Pisma Św., oraz wielką serię papyrusów nabatejskich.

Wszystko każe przypuszczać, iż jesteśmy dopiero na początku odkryć i każdy dzień może przynieść nowe sensacje. Niestety,

ambicje personalne i niezrozumiałe względy wpływają na osoby dysponujące znaleziskami, opóźniają i utrudniają udostępnienie badaczom tych nieocenionych skarbów, posiadających zasadnicze znaczenie. Nie znamy jeszcze w przybliżeniu nie tylko treści większości dokumentów, lub chociażby tytułów ich, lecz nie wiemy nawet w czyim ręku co się znajduje. Jeszcze dotychczas lwia część rękopisów z 1947 roku nie jest udostępniona publiczności: chociaż wszelkie przeszkody techniczne związane z ich rozwijaniem i konserwacją zostały dawno pokonane.

Jedynie w bardzo grubym przybliżeniu, można ułożyć zestawienie stanu znalezisk na koniec 1953 roku :

A. *Dokumenty pochodzące z gminy kumrańskiej :*

1) Prawie wszystkie księgi Starego Testamentu po hebrajsku lub po aramejsku.

2) Fragmenty Biblii w tłumaczeniu greckim. Jest to szczegół niezmiernie ważny, wskazujący na łączność sekty ze światem helleńskim.

3) Oryginały hebrajskie lub aramejskie, tzw. *apokryfów.* Są to księgi, których charakter święty nie został powszechnie uznany wskutek czego nie włączono ich do kanonu biblijnego. Sekta kumrańska bardzo je ceniła i być nawet może, iż stanowiły one jej dzieło. W tłumaczeniu na inne języki apokryfy przechowały się wśród niektórych chrześcijańskich wyznań wschodnich. Po raz pierwszy fragmenty oryginalnych tekstów zostały znalezione w końcu XIX wieku w Egipcie, co dało impuls do odkrycia głośnej Genizy Kairskiej.

4) Liczne komentarze do ksiąg biblijnych, na wzór *Komentarza do Księgi Proroka Habakuka* z pierwszej groty. Skąpe dane, które doszły do wiadomości publicznej, pozwalają sądzić iż wszystkie te komentarze traktują o Nauczycielu Sprawiedliwości. Widać iż postać ta wywarła tak potężny wpływ na jego zwolenników, iż w każdym wierszu Pisma Św. szukali aluzji do osoby swego mistrza.

5) Fragmenty *Podręcznika Dyscypliny* oraz jakieś dzieło które miało służyć za źródło do niego.

6) Fragmenty *Pisma Damasceńskiego.*

7) Hymny.

8) Fragmenty dzieła *Walka Synów Światłości z Synami Ciemności.*

9) Kalendarz liturgiczny.

10) Zbiór tekstów Pisma Św., mających treść mesjanistyczną.

11) Rytuał obrzędów, jak np. obrzędu błogosławieństwa nad chlebem podczas posiłków sakralnych.

12) Inne fragmenty.

B. *Dokumenty z jaskini w Murabbaat,* pochodzące przeważnie z okresu powstania i wojny żydowskiej za cesarza Hadriana

1) Fragmenty biblijne, niektóre wyraźnie sprofanowane przez żołnierzy rzymskich.
2) Różne listy.
3) Filakterie.
4) Kontrakty i dokumenty bliżej niesprecyzowane.
5) Dokumenty z okresu późniejszego (arabskiego).

C. *Dokumenty pozostałe po klasztorze chrześcijańskim, istniejącym do IX wieku.*
1) Fragmenty Nowego i Starego Testamentu, oraz apokryfy po grecku i po syro-palestyńsku.
2) Dzieła klasyków greckich.
3) Inne dokumenty, między innymi arabskie.

D. *Niesprecyzowane bliżej teksty nabatejskie, łacińskie, arabskie i inne.*

Nabatejczycy stanowili szczep arabski, który wywędrował wcześnie z półwyspu i na kilka wieków przed Chrystusem utworzył wielkie królestwo. Stolica ich Sela, po grecku Petra (w Jordanii, na południe od Morza Martwego), nawet w ruinach świadczy dziś jeszcze o potędze nabatejskiej. W okresie późniejszym, organizują Nabatejczycy w północnej Syrii swoje państwo, które za Augusta uzależniło się od Imperium Rzymskiego, przez Trajana zaś zostało całkowicie zaanektowane. Nabatajczycy posiadali własne pismo, przejściowe między aramejskim a współczesnym arabskim. Nowoznalezione papyrusy mają zawierać więcej tekstów, niż wszystkie dotychczas znane dokumenty nabatejskie razem wzięte.

Sądząc z dotychczasowego tempa należy jeszcze długo czekać na ujawnienie zawartości tych skarbów, w tak niezwykły sposób przechowanych i ujawnionych obecnie przez pustynię. Tak na przykład, dopiero w rok po znalezieniu, ogłoszono niektóre fotografie dokumentów z Murabbaat. Jeden z nich stanowi raport złożony przez Jeszuę i Eliazara, administratorów miejscowości Beit Maszko, dotychczas niezidentyfikowanej. Informują oni dowódcę powstańców i jednocześnie administratora cywilnego regionu, Jeszuę ben Gilgola, rezydującego w Murabbaat, o ruchach wojsk rzymskich. W tym samym raporcie, poruszona jest inna sprawa : chodzi o zwykłą krowę, należącą do Jakuba ben Juda skonfiskowaną przez powstańców.

Wymienienie tak błahej sprawy w raporcie do dowódcy wydać się może dziwne. Należy jednak sobie przypomnieć okoliczności rozpaczliwej walki, prowadzonej w ciągu trzech i pół lat (132-135 po Chrystusie) przez powstańców z przeważającymi siłami rzymskimi. Sam cesarz Hadrian udał się na pole walki i przywołał z Brytanii najlepszego swego wodza, Juliusza Severusa. Donosząc Senatowi o zwycięstwie, cesarz nie użył zwykłego zwrotu : ,,ja sam i armia jesteśmy w dobrym zdrowiu''. Rzymianie zdobyli 50 umocnień, zniszczyli około tysiąca osiedli i zmasakrowali około 600.000 osób nie licząc tych, którzy zginęli z powodu chorób lub głodu. Głód dziesiątkował powstańców w niedostęp-

nych ukryciach pustynnych i pomógł do pokonania rozpaczliweg oporu.

Zawziętość walczących po obu stronach była niezwykła. O nastrojach walczących świadczyć może dokument znaleziony w Murabbaat i ogłoszony przez Ks. Milika. Jest to list do wymie nionego wyżej szefa rejonu w Murabbaat, Jeszui ben Gilgola, p sany własną ręką dowódcy powstania żydowskiego, głośneg Szymona Bar Kochba. Grozi on swemu generałowi, iż zakuj go w żelaza za jego życzliwy stosunek do *Galilejczyków*. Nazw *Galilejczyk* stosowano bądź do mieszkańców Galilei w ogóle, bąd do członków niektórych przedchrześcijańskich sekt żydowskich bądź też do chrześcijan. Ksiądz Milik udowadnia w sposób prze konywający, iż w liście chodzi o chrześcijan, albo raczej o jude chrześcijan. Świadectwo Justyna Męczennika i Euzebiusza p twierdzają prześladowanie ich przez powstańców.

Wymieniony list jest ważny jeszcze z innego punktu w dzenia; ustala on dokładnie imię dowódcy powstania. Dotychcza pisano najczęściej *Ben* albo *Bar Kochba* (Syn Gwiazdy), w d kumencie figuruje wyraźnie *Ben Koziba*. Imię własne Koziba n jest znane, może więc należy tłumaczyć nie *Szymon syn Kozib* lecz *Szymon z Koziby*. Pozostawałoby w tym wypadku zident fikowanie tej miejscowości gdzieś w Palestynie.

Nowoznalezione teksty wyjaśniły już niejedną zagadkę na którą przez długie wieki głowili się historycy. Wyjaśnią one z pewne jeszcze wiele. Dotychczas jednak, jako najbardziej płodn zapowiadają się dokumenty pochodzące z Gminy kumrańskie Dają nam one teksty biblijne starsze o tysiąc lat od znany dotychczas (kolekcja A. Firkowicza w Bibliotece Publiczn w Petersburgu). Najważniejsze jednak jest to, iż w zupełnie n wym świetle, ukazuje się nam życie religijne w Palestynie w je nym z przełomowych okresów ludzkości. Dotychczas wiedzian że istniały tam wtedy trzy sekty: Faryzeusze, Saduceusze i E seńczycy. Materiał historyczny o tych ostatnich był tak nik i wzbudzał tak mało zaufania, iż niektórzy gotowi byli nawet n uznawać faktu ich istnienia. Obecnie sytuacja się odwróciła: je teśmy o Esseńczykach poinformowani lepiej niż o innych. O S duceuszach mamy materiały jedynie pośrednie, Faryzeuszów m żemy poznać z dzieł ich kontynuatorów, rabinów. Jednak dzie te (Talmud i komentarze) zostały spisane w kilka wieków p Chrystusie. Obecnie dostaliśmy dokumenty autentyczne Esse czyków, którzy najprawdopodobniej są identyczni z Gminą N wego Przymierza, pisane ich własną ręką i o kilka stuleci wcze niejsze niż teksty ich przeciwników.

Nie wydaje się wobec tego przesadą zdanie, iż drobny prz padek z wiosny 1947 roku (jeżeli są na świecie przypadki) zap czątkował najbardziej doniosłe odkrycia w badaniach biblijnyc

Szymon SZYSZMAN

„Chlastanie"

Do niedawna wśród recenzentów emigracyjnych najczęściej spotykało się wyznawców krytyki „współczującej". Ten wzruszający termin na określenie krytyki łagodnej, dopatrującej się w każdym utworze dobrych stron — ukuł śp. Kazimierz Czachowski, krytyk o gołębim sercu i mrówczej pracowitości, zasłużony przede wszystkim jako niestrudzony rejestrator zjawisk literackich dwudziestolecia niepodległości. Złośliwcy twierdzili, że Czachowski — jedyny bodaj w Polsce człowiek, który żył z krytyki literackiej — nie mógł sobie pozwolić na wrogów. Przyznać jednak trzeba, że nawet Czachowski był o wiele powściągliwszy w wydawaniu patentów na arcydzieła i pasowaniu na geniuszów, niż większość jego duchowych synów wystawiających cenzurki w pismach emigracyjnych i na wieczorkach literackich w Londynie. Co gorsza, zawodowych krytyków na emigracji prawie nie ma, krytyka więc często sprowadza się do świadczenia sobie wzajemnych uprzejmości przez tak zwanych pisarzy twórczych.

Aliści ostatnio powiał nowy, mroźny wiatr. Posypały się protesty przeciw okadzaniu i pojawiło się sporo recenzyj surowych, bezlitosnych. By ograniczyć się do „Kultury", dość przypomnieć głosy: p. Pankowskiego o Wierzyńskim, p. Jasieńczyka o pani Kossak, p. Górskiego o „Pani Sapowskiej", p. Jeleńskiego o „Dwóch światach" p. Michała Pawlikowskiego i o „Małym świecie Don Camilla", pani Czapskiej o pani Wittlinowskiej...

Trzeba to nowe zjawisko starannie odróżnić od starego „zjeżdżania" z pobudek poza-literackich. Jestem głęboko przekonany, że we wszystkich wymienionych wystąpieniach żadnej roli nie odgrywają porachunki osobiste czy partyjne. Mamy tu niewątpliwie do czynienia ze zrozumiałą reakcją przeciw krytyce aż nadto współczującej. Warto się jednak zastanowić, czy i w jakich wypadkach jest to reakcja zdrowa, a w jakich jest ona wypędzaniem diabła Belzebubem.

Skoro „zjeżdżaniem" nazwałem krytykę polityczno-osobistą przebraną za krytykę literacką, dla wymienionych recenzji potrzebna jest wyróżniająca je nazwa. Proponuję: „chlastanie", zastrzegając się przy tym, że nazwa ta nie przylega do dwóch z wymienionych przykładów: do recenzji z „Dwu światów", ze względu na charakter tej książki, i do recenzji pani Czapskiej. Wspomnę o nich później.

„Chlastanie" jest jednym z rodzajów krytyki walczącej, w przeciwieństwie do współczującej. Krytyka walcząca, świado-

mie zamykająca oczy na dobre strony dzieła i skupiająca się na analizie jego słabości — ma czcigodne tradycje i oby jej było jak najwięcej! Ale ,,chlastanie'' jest rodzajem tej krytyki — najpośledniejszym, najtańszym i społecznie niebezpiecznym. Jest w istocie odwrotną stroną tego samego medalu, który z wierzchu błyszczy pochlebstwem. Kadzenie często wywodzi się z myśli : ,,Mój ideał prawdziwej literatury jest tak wysoki, że stać mnie na litościwą wspaniałomyślność wobec moich — pożal się Boże — kolegów...'' Źródłem chlastania jest myśl bardzo podobna: ,,Mój ideał jest tak wysoki, że wszystko, co jest poniżej niego, jest szmirą...''

Mniejsza jednak o pobudki, które są nieuchwytne. Chcąc określić, na czym polega różnica między rzetelną krytyką walczącą a ,,chlastaniem'', zatrzymam się przez chwilę na jednym przykładzie: na recenzji p. Jeleńskiego z polskiego przekładu ,,Małego świata Don Camilla''.

◆

Wybieram umyślnie przykład najmocniejszy. Ze wszystkich wymienionych recenzentów p. Jeleński jest jedynym, który ma wszelkie dane, by stać się krytykiem wielkiego kalibru. Mnóstwo czytał, zna świetnie obce języki, myśli bardzo samodzielnie, pisze jasno i dobitnie, z czarującą u młodego pisarza kostycznością i — *last but not least* — nie pokalał się dotąd tzw. twórczością oryginalną.

Dlaczego jego recenzję zaliczam do ,,chlastania'', a nie do wyższego rodzaju krytyki walczącej?

Irzykowski twierdził żartobliwie, że potrafi, nie mijając się z prawdą w poszczególnych swych sądach, napisać o każdej książce dwie recenzje: jedną, w której wyniesie omawiany utwór pod niebiosy i drugą, w której strąci go na samo dno. Ale Irzykowski takich recenzyj nie pisywał, bo wiedział, że obowiązkiem krytyka, a zwłaszcza recenzenta, jest oglądnięcie książki ze wszystkich stron, złych i dobrych. A już Cervantes powiedział, że nie ma tak złej książki, w której by nie było czegoś dobrego.

Wszystkie ujemne sądy p. Jeleńskiego o Guareschim mogą być każdy z osobna prawdziwe, choć wielość dziedzin, w jakich krytyk z tak wielką pewnością siebie się porusza, budzi w czytelniku wątpliwość, czy ten młody człowiek mógł już naprawdę tego wszystkiego porządnie się nauczyć. Przyjmijmy jednak, że ,,Don Camillo'' rzeczywiście jest wyrazem neofaszystowskiego poglądu na świat, ulubioną lekturą reakcyjnych neutralistów, że Guareschi czy jego bohater nie znają teologii katolickiej (przyznam się, że nie wiem, co to jest ,,teologia marksistowska''), że jeden i drugi jest ,,podejrzany'', ,,reakcyjny'' i ,,nieuczciwy''. I co z tego? Shaw wielbił Hitlera i Stalina, Marinetti był faszystą, Celine nie przestał być Celinem, gdy go opętał antysemityzm, ,,New Statesman'' jest ulubioną lekturą postępowych

(dla odmiany) neutralistów nie przestając być ciekawym i dobrze redagowanym pismem, Kasprowicz nie był mocny w teologii, ale napisał parę ładnych wierszy religijnych, umiłowane postacie Sienkiewicza (Jarema, Zagłoba) i Mickiewicza (Sędzia, Wojski), to typy nader podejrzane: okrutnik, nicpoń, osioł i zdziecinniały starzec ze skrytobójczymi ciągotkami, Eliot bywa „reakcyjny", a o uczciwości wielkich pisarzy Oświecenia wiele by się dało powiedzieć...

Gdyby p. Jeleński poprzestał na tej krytyce ideologicznej, można by od biedy jego artykuł zaliczyć do krytyki walczącej tego typu jak rozprawa Brzozowskiego z Sienkiewiczem czy kapitalny, niedawno przypomniany przez „Wiadomości", felieton Prusa o „Ogniem i mieczem". Obaj zrąbali Sienkiewicza niemiłosiernie i z całkowitą, w zakreślonych sobie ramach, słusznością, obaj jednak milcząco przyjęli założenie, że atakują zjawisko nietuzinkowe, dobrego pisarza na złej drodze. To, co powiedzieli o Sienkiewiczu, nie było ich całym o nim zdaniem.

P. Jeleński jednak ma ambicje oceny wszechstronnej i z finalnością sądu ostatecznego stwierdza: „Książka jest pozbawiona jakiejkolwiek wartości literackiej". I tyle.

Trudno, oczywiście, w krótkiej recenzji udowodnić takie zdanie, można jednak wymagać od krytyka, by je bodaj trochę rozwinął, zwłaszcza gdy chodzi o książkę, którą nie tylko szerokie rzesze reakcyjnych neutralistów rozkupują, ale i poważna krytyka chwali za literackie zalety. Nawet p. Gustave Mersu w „Preuves", w podobnym do recenzji p. Jeleńskiego artykule, przyznaje Guareschiemu dar rozśmieszania czytelnika anegdotami i umiejętność wiernego niekiedy oddania atmosfery, co jest chyba niejaką zaletą literacką. P. Mersu poza tym bardzo rozsądnie powstrzymuje się od oceny wartości literackiej książki, której podkład uczuciowo-ideologiczny usiłuje krytycznie odsłonić. P. Mersu nie chlasta, lecz zwalcza.

•

Jednostronność jest cechą, którą „chlastanie" dzieli z prawdziwą krytyką walczącą. Jego cechami wyróżniającymi są wspomniana już gołosłowność i brak poczucia proporcji.

Krytyk walczący, w stylu Brzozowskiego, nie cacka się ze swoimi ofiarami, nie szczędzi mocnych ujemnych określeń, ale samym już doborem celów dla swoich ciosów daje świadectwo swej skali wartości literackich. Nie poluje na szaraki, ale na grubego zwierza. Nie pisuje recenzyjek z grafomańskich, ani nawet z przeciętnych płodów. Dla nich brakło by mu dostatecznie mocnych określeń, a użycie tych samych, które padły w namiętnym sporze z prawdziwym pisarzem, wprowadziłoby niesłychany i niebezpieczny zamęt, zrównałoby Sienkiewicza z Mniszkówną.

Tymczasem p. Jeleński obszedł się tak samo z p. Pawlikowskim jak z Guareschim. Pierwszy nie jest oczywiście Mniszkówną i drugi nie jest Sienkiewiczem, ale, pomijając wszelkie treści ideologiczne, jest tu niewątpliwa różnica w sprawie dla krytyki literackiej nie błahej : w umiejętności pisania. Ta różnica zniknęła w recenzjach p. Jeleńskiego.

Podobne zachwianie zmysłu proporcji widać też w pochwałach p. Jeleńskiego. W omawianym artykule wspomina on mimochodem o recenzji p Jasieńczyka z ,,Biegu do Fragala'', którą nazywa *świetną* analizą. Rzecz ta ma dobre cechy inteligencji i temperamentu p. Jasieńczyka, powieściopisarza z powołania a krytyka z przypadku, ale ,,świetna'', to mocne słowo w ustach kogoś, dla kogo ,,Don Camillo'' nie ma najmniejszej wartości. Jeśli p. Jasieńczyk jest ,,świetnym'' krytykiem, to jakiż epitet odda sprawiedliwość o tyle wyżej stojącemu pod tym względem samemu p. Jeleńskiemu? Super-świetny? A Irzykowski? A Sainte-Beuve? Gdzie indziej znowu Tuwim jest dla p. Jeleńskiego ,,genealogiem i heraldykiem polskości równym Słowackiemu''.

Równie bezceremonialnie jak z p. Guareschim obchodzi się p. Jeleński z jego polskim tłumaczem, p. Janem Bielatowiczem. Nie wchodzę znowu w meritum sprawy, bo nie idzie mi o polemikę, ale o zilustrowanie ważnego, jak sądzę, zagadnienia. W wielkim skrócie powtarza się ta sama historia. *Jednostronność:* Przyjmijmy, że tłumacz czasem (bo chyba nie w każdym zdaniu?) dosłownie kroczy za cudzoziemską składnią. To niewątpliwa wada. Ale — jak słusznie powiada Borowy — wartość przekładu mierzyć można tylko stosunkiem jego wad do zalet. ,,Prosto z mostu'' z pobudek politycznych zaatakowało kiedyś Tuwima jako tłumacza z rosyjskiego i w sążnistym artykule wytknęło mu bardzo dużo, nieraz paskudnych lapsusów. Pomimo tego zalety przekładów Tuwima tak dalece przerastają ich wady, że w pełni zasługuje on na miano świetnego tłumacza. *Gołosłowność:* Ani jednego przykładu na poparcie zdania o ,,bardzo słabym tłumaczeniu''. *Brak poczucia proporcji:* Jeśli przekład ,,Don Camilla'' jest ,,bardzo słaby'', to jaki jest — gorszy od niego — przekład ,,Krótkiej historii Anglii', a jeśli ten jest ,,potworny'', to jaki przymiotnik określi 90% polskiej produkcji przekładowej, nad którą przekład Adama Doboszyńskiego jednak wyraźnie góruje?

✦

Sąsiadująca z p. Jeleńskim recenzja pani Czapskiej o książce pani Winowskiej stanowi dobry przykład recenzji bardzo surowej (nie wiem, czy sprawiedliwej, ale nie o to chodzi), która jednak nie jest ,,chlastaniem''. Od miażdżącego tytułu poczynając (,,Jak nie należy pisać o świętych'') roi się ona od ostrych określeń, ale roi się też od przykładów i przytoczeń. I co najważniejsze: pani Czapska zna pojęcie ,,całej prawdy'' i tego, co Anglicy nazywają ,,balanced view''. Rozumie doskonale nie

olko tak oczywiste rzeczy, jak to, że ,,wyjątkowa erudycja i rozgłe oczytanie'' mogą iść w parze ze ,,sztucznością i manierą'', jedna i ta sama autorka może ,,zdobyć sobie imię w piśmiennictwie'' i napisać złą książkę — ale też, że można np. popełać fatalne pomyłki językowe świetnie władając językiem: dwie rawdy pozornie sprzeczne, które dopiero składają się na całą rawdę.

Nie zalecam bynajmniej krytykom bezbarwnego umiaru ocenach, łagodzenia sądów ujemnych i tonowania pochwał. rawda nie leży w złotym środku, lecz odsłania się nam w krótch spięciach skrajnych sądów.

Na ograniczonej przestrzeni paru stron miesięcznika nie osób dać całej prawdy o omawianym dziele literackim. Można dnak pokusić się o model tej prawdy. Zmysł proporcji i zroumienie, że we wszystkich dziełach ludzkich zło sąsiaduje dobrem, pozwoli nieraz prawdę o dziele lepiej wyrazić jednym aradoksem, niż długą rozprawą. Któż lepiej określił ,,Quo adis'' od Daudeta, gdy nazwał je ,,un faux chef-d'oeuvre''?

Michał SAMBOR

Samokrytyka krytyka

Redaktor ,,Kultury'' dał mi do przeczytania rękopis artyułu p. Michała Sambora. W tym samym numerze ,,Kultury'' kazuje się ,,Dziennik'' Gombrowicza z jego oceną krytyków krytyki. Sambor robi mi wyrzuty, ale jego pigułka wydaje mi ię słodzona całą toną cukru — co za zapas na chude miesiące o śpiżarki próżności ! Gombrowicz nawet mnie nie wspomina, noże nawet nie miał mnie na myśli, ale jakże prawdziwe wydają ni się jego uwagi, nie tylko prawdziwe — zawstydzające mnie sobiście ! Czyż nie pisałem, że Becket się powtarza, że Audierti nieraz nudzi, że Abellio jest pretensjonalny ? A przecież rzebudzony ze wstydliwego transu ,,krytyka'', skazanego na ałszywe tony, uzurpującego sobie prawo do osądów, wiem dosonale że Becket, Audiberti, Abellio wprowadzają mnie do wiatów, które stworzyli nie tyle talentem (nie przeceniajmy vagi tego ,,talentu''), ile odwagą, świadomością, inteligencją, vyzwoleniem w sobie tego co najważniejsze. Jakże ,,krytykovać'' Sartre'a, Geneta, Claudela ? Trzeba by im przeciwstawić nny świat, równie doskonały, spięty logicznie na ostatnią klamę, doprowadzony do równego, ale innego absurdu. Gdyż wszelie osądy ,,względne'', stosowanie ,,zdrowego rozsądku'', prze-

pisów ,,dobrego smaku'', ironia czy podnoszenie palców w kła
sie żeby zarejestrować że ,,mnie nie przekonano'' jest nie tylk
poddaniem się potężnej fali przeciętnej ludzkiej głupoty, al
również dołączeniem do niej głupoty własnej. Tego rodzaju ar
gumenty są dobre przy kupowaniu szczotki, czy w polityce.

Sambor cytuje Irzykowskiego i Sainte-Beuve'a jako ,,ideał
krytyków. Posiadają oni obaj (w różnym stopniu) erudycję, inte
ligencję, wyczucie stylu i umiejętność pisania, której się za
zwyczaj wymaga od ,,krytyka''. Sainte-Beuve'a czytam po dzi
dzień z przyjemnością: jak dobrą gazetę, jak lepszy podręczni
szkolny. Ale co tu mówić, zgadzam się z Gombrowiczem. Tylk
ci ,,krytycy'', którzy umieli zmagać się z największym naw
dziełem jak Jakub z Aniołem, tylko ci są prawdziwymi kryty
kami. Niewielu ich było: Goethe, Baudelaire, Croce... Nie ogra
niczali się oni do rozbierania dzieła — przeciwstawiali mu si
I tutaj ,,samokrytyka''. Chciałbym tłumaczyć że nie jestem a
pisarzem, ani krytykiem, a po prostu zapamiętałym czyteln
kiem, że ,,Dziennik Żołnierza'', że przyjaźń z zespołem ,,Ku
tury'', że parę tysięcy franków... Ale to oczywiście nieprawda
po prostu niemożność pisania, zawiść w stosunku do tych któr
umieją przetworzyć swe osobiste niedomagania w dzieło sztu
pcha mnie do notowania powierzchownych wrażeń o przeczyt
nych książkach. Dlatego jestem pod-Irzykowskim, mikroskop
ną karykaturą Sainte-Beuve'a.

Otóż już w paru zdaniach zarysowałem mój ideał literack
a cytowane nazwiska nie są przypadkowe (nie Mauriac —
Claudel; nie Camus — a Sartre; nie Peyrefitte — a Genet
Czy jest on ,,tak wysoki''? Nie o to mi chodziło: po pros
istnieją dla mnie pisarze którzy tak logicznie i tak mocno budu
swój własny świat, że mogę go jedynie przyjąć, lub odrzucić —
a nie chwalić jedno, a ganić drugie. Potem istnieją pisarze kt
rych inteligencja, kultura, umiejętność interpretacji psycholo
gicznej, opanowanie języka zapewniające materialną konkret
zację słów, upoważnia do powtarzania w nowej formie dawni
już napisanych książek (podobnie jak nie sposób zarzucić fabry
kantom produkcji nowych talerzy, samochodów, butów).

Książka Guareschiego jest — powtarzam — pozbawiona
moim zdaniem, wszelkiej wartości literackiej. Humor? Pami
tam jak mnie kiedyś bawił proboszcz z ,,Clochemerle''. A
z księdza Kamila wieje tylko poczciwa, pogodna, tępa nud
W polskiej literaturze mamy masę tego rodzaju gadek. Istnie
przecież tradycja postaci zwanej ,,ponjozusikiem'', która te
odgrywa rolę sprytnego clowna, zazwyczaj na Podhalu. Te
,,ponjozusik'' w autentycznej tradycji ludowej może prze
stawiać pewną poezję, jest dalekim odbiciem apokryfów, prz
byszem zabłąkanym ze średniowiecznej ,,Złotej Legendy''. Ni
znośny staje się dopiero w pseudoludowym ujęciu krakowskic
inteligentów w binoklach. Dodajmy do tego polskiego sobowtór
,,Don Camilla'' — tego poczciwego i jurnego kanonika zaży
wającego tabakę i walącego parafianów po uchu, a odczujem

od razu atmosferę literacką, w której Guareschi pływa jak ryba : jest nią *wulgarny sentymentalizm*. Jestem daleki od odmawiania sentymentalizmowi pewnych wartości estetycznych. Ale mogą się one przejawiać tylko w formie nawskroś naiwnej, czy ultrawyrafinowanej. Jakże uroczy jest sentymentalizm naiwny : od pocztówek z sercem, serwietek z przysłowiami, starych szlagierów, aż po rozdzierające piękno włoskiej opery. Jakaż finezja w sentymentaliźmie odbitym w zwierciadle świadomego artysty — niektórych wierszach Stanisława Balińskiego, kilku ariach Menottiego, paru obrazach Chagalla. Sentymentalizm Guareschiego jest po prostu sprytny i ordynarny : obliczony na te automatyczne i powierzchowne reakcje publiczności której bije serce na dźwięk wojskowego marsza, która się wzrusza ,,zgodą'' przeciwników, która chce się czuć szlachetna i wspaniałomyślna tanim, jakże tanim kosztem.

Może przekonałem p. Sambora że moje ,,chlastające'' zdanie nie było oparte na motywach politycznych. Choć oczywiście gdyby nie motywy polityczne nie zabrałbym się do pisania recenzji o ,,Don Camillo''. P. Sambor aprobuje moją recenzję z książki p. Pawlikowskiego, tak jak zresztą wydaje się aprobować argumenty, które wytoczyłem przeciw ,,Don Camillo'' (wiele z nich wysunął przede mną Mersu, a ,,Il Mondo'' przed Mersu). Głównym zarzutem p. Sambora jest że nie uwzględniłem różnicy w ,,umiejętności pisania'' autora ,,Dwóch Światów'' a autora ,,Małego Świata''. Otóż Guareschi jest oczywiście wyprawnym żurnalistą, a p. Pawlikowski nim nie jest. Tym niemniej ,,literacko'' wyżej stawiam Pawlikowskiego. Jego książka stanowi prawdziwe ,,curiosum'', jest coś ujmującego w nieudarnym stylu człowieka, niekończącym się potokiem słów starającego się dowieść jakiejś absurdalnej teorii, która mu się wydaje ważna. Jest to ciekawy dokument. Zaś zręczność Guareschiego jeszcze silniej uwydatnia jego pospolitość.

Nie będę nudził czytelników ,,Kultury'' przytaczaniem urywków ze złych tłumaczeń i stopniowaniem przymiotników. Chciałbym tylko wspomnieć o Tuwimie i Słowackim. Jako miłośnik polskiej mowy, jako szperacz słowiańskich źródeł — a więc właśnie jako ,,genealog i heraldyk'' polskości, Tuwim działał zapewne bardziej świadomie od Słowackiego. Ale w ,,Balladynie'', w ,,Lilli Wenedzie'', w ,,Beniowskim'' widać zapowiedź tej samej rodowej pasji do języka i do polskich architypów, która tak wspaniale rozkwitła u Tuwima. Rzecz prosta że są to kwestie które nic nie mają wspólnego z ,,rangą'' poetycką.

Na koniec drobna skarga osobista. P. Sambor ma dla mnie żenujące słowa uznania, ale wyraża wątpliwość czy ,,w moim młodym wieku'' mogłem się rzeczywiście ,,tego wszystkiego nauczyć''... Za każdym razem niemal, gdy to co piszę w ,,Kulturze'' wywołuje jakieś echo, moja rzekoma ,,młodość'' wysuwana jest, bądź jako łaskawe usprawiedliwienie, bądź aby wykazać moją ignorancję. Jest to związane ze zjawiskiem, które nazwałbym emigracyjnym ,,kompleksem śpiącej królewny''.

W zaczarowanym pałacu stanął czas. Kuchciki, dworzanie, stary król, wszyscy tkwią skamienieli, przygwożdżeni do nieruchome chwili. Jestem łysym panem w tak zwanej „sile wieku", skłonnym do zadyszki, mam za sobą dwadzieścia pięć lat forsowne lektury, dziesięć lat temu redagowałem codzienne pismo, ale na zasadzie jakiegoś czwartego wymiaru emigracji napotyka mnie los nieszczęsnego bohatera „Ferdydurke"...

K. A. JELEŃSKI

Wystawy paryskie

W Luwrze wystawiony został tymczasowy sprzęt pogrzebowy z roku około 500 przed Chrystusem, odkryty przed kilkoma miesiącami w grobie księżniczki celtyckiej w miejscowości Vix w Burgundii. Grób zawierał obok innych obiektów rytualnych krater (naczynie na wino) z bronzu, który właśnie wystawiono w Luwrze, a który jest bodaj jedyny w swoim rodzaju przede wszystkim ze względu na rozmiar : 1 metr 64 cm. wysokości, 1.10 litrów pojemności, jak również ze względu na robotę. Krater jest pochodzenia greckiego, oba ucha ozdobione są popiersiami Gorgon, wokół otworu biegnie fryz przedstawiający czworokonne rydwany, za każdym rydwanem kroczy hoplita w hełmie, pancerzu i z tarczą. Na pokrywie naczynia znajdowała się bardzo piękna i surowa statuetka młodej dziewczyny. Wszystko to jest doskonale zachowane, choć w pierwszej chwili nie chce się wierzyć, że mamy do czynienia z metalem : wydaje się że naczynie jest z marmuru. Dla ludzi, którzy nie mają na tyle silnej wyobraźni, by móc odtworzyć jakąś cywilizację na podstawie skorup, resztek i ruin i do których z tego powodu wiele sal Luwru całkiem nie przemawia, ta zawartość grobowca może być rewelacją. Archeologowie zastanawiają się skąd miasteczko galijskie, — bo odkopano przed dwudziestu kilku laty całe miasteczko — leżące w niezbyt żyznej okolicy, mogło się zdobyć na zakupienie tych skarbów, dostarczonych zapewne przez kupców greckich drogą przez Szwajcarię czy też doliną Rodanu w górę. Przypuszcza się, że miasteczko było jakimś centrum handlowym i że władcy jego pobierali od przejeżdżających kupców cło w naturze, takim właśnie obiektem służącym dla zapłacenia cła byłby ów krater. W grobie znaleziono poza tym resztki wozu, o charakterze niewątpliwie rytualnym, gdyż zajmował sam środek grobowca. Obręcze kół i głowice osi są z bronzu, wykonane z niezwykłą precyzją przez lokalnych, galijskich rzemieślników (Wiadomo, że Gallowie byli specjalistami od wozów, Rzymianie nawet nazwę wozu, *carrus*, od nich zapożyczyli).

Poza wartością estetyczną obiekty wystawione mają jeszcze inne znaczenie : pokazują zarówno wysoki poziom kultury i techniki w „barbarzyńskiej" Galii VI wieku przed Chrystusem (a przecież mówi się potocznie że dopiero Rzymianie przynieśli cywilizację do Galii, co jest zresztą zupełnie fałszywe, pod niektórymi względami — zwłaszcza jeśli idzie o technikę — „barbarzyńcy" stali wyżej od Rzymu). Pokazują nam też żywy kontakt między ówczesną Grecją — Grecją sprzed Peryklesa — a Europą Zachodnią. A jasne, że skoro greccy kupcy zapuszczali się w te stosunkowo odległ

w każdym razie oddalone od morza kraje, to nie robili tego z altruizmu, ale dlatego że na tym zarabiali, prawdopodobnie cynę, którą wydobywali „barbarzyńcy" w istniejących już wówczas, właśnie w tej „barbarzyńskiej" części Europy, kopalniach.

W muzeum Guimet otwarto salę poświęconą miniaturze indyjskiej. Obok „klasycznej" miniatury dworu muzułmańskiego, pochodzącej od sztuki zdobywców perskich, pokazano też szereg miniatur bądź wywodzących się z powyższej sztuki, ale przesiąkniętych tak silnie wpływem miejscowym, że niekiedy trudno dopatrzyć się pochodzenia, bądź miniaturę czysto miejscową. Ta ostatnia — analogicznie jak pewne miniatury gotyckie — jest ilustracją tekstów świętych legend, jest nieodstępna od tekstu i jak się wydaje, wzoruje się raczej na rzeźbie hinduskiej z całym jej bogactwem. W porównaniu z tym roślinnym wprost bogactwem miniatury muzułmańskie wydają się, jeśli sie surowe, to oszczędne, układem przypominają niekiedy nawet gotyk, częściej renesans. Oszczędne, mimo iż kolorystycznie niektóre są przeładowane, bo jest to bądź co bądź sztuka dworska, ale ogólnie biorąc cechuje je znakomity rysunek i mistrzowska kompozycja. Porównując miniatury czysto hinduskie z ich egzotycznym zestawieniem kolorów, które nas zaskakuje i miniatury muzułmańskie, wywodzące się z innych tradycji, widzimy jak względne jest twierdzenie, że Islam to Wschód i że granica między nim a chrześcijaństwem to granica między Wschodem a Zachodem. Porównanie ze sztuką hinduską pozwala nam dopiero zobaczyć jak dalece sztuka Islamu jest zachodnia i duchowo nam bliska i jak w gruncie rzeczy należy on do tego samego „kręgu cywilizacyjnego" co chrześcijaństwo. Widzowi polskiemu będzie to może jeszcze bliższe, bo dostrzeże we władcy-sułtanie polskiego magnata XVII wieku, a w młodzieńcu z koniem czy teorbanem — kozaka. Tak podobne są stroje i gesty. Ale właściwe pokrewieństwo sięga głębiej : do duchowej jedności epoki feudalnej, epoki w której każdy miał swoje miejsce. Ta jedność odbija się w miniaturze muzułmańskich Indii, gdzie władca jest zawsze mędrcem, gdzie starzec jest szanowany, młodzieniec pełen szacunku dla starszych i gdzie święty ma też swoje miejsce — bo właśnie jedna miniatura przedstawia jakiegoś świętego, który idzie boso, prowadząc za sobą psa w butach, oraz niosąc na ramieniu rodzaj drabinki, na której siedzą najróżniejsze ptaszki. Jeden ptaszek nawet dogania świętego. Czy nie jakiś święty Franciszek z Asyżu lub chasydzki rabin Gierszon z Kut, który wykupywał ptaszki z klatek, a gdy już nie miał pieniędzy, chodził po jarmarkach i otwierał ukradkiem klatki, za co nieraz dostał porządnie w skórę od chłopów?

Jan TOROSIEWICZ

Oglądaliśmy niedawno w galerii *Palmes* na Place Saint-Sulpice interesującą wystawę figurynek z terrakoty pochodzących z Afryki murzyńskiej. Część z nich, tak zwane statuetki Krinjabo, pochodzą z Afryki Zachodniej, w pobliżu kolonii angielskiej Gold Coast. Zostały one odkryte w miejscach świętych, otoczonych przesądnym szacunkiem przez tubylców, jednakże nie istnieje dziś żaden obrządek czy kult z nimi związany. Owe miejsca święte, które mają być rzekomo dawnymi cmentarzami, znajdują się z dala od osiedli ludzkich, na skraju lasu, a ponadto umieszczone są wzdłuż bardzo starego szlaku karawan, wiodącego stamtąd na północ poprzez jezioro Czad aż ku wybrzeżom Morza Śródziemnego. Statuetki — według hipotezy jednego

z badaczy — mają być związane ze wspomnieniami o ludności przybył[ej] z północy, o której jest mowa do dziś w niektórych legendach.

Jak wytłumaczyć fakt, że statuetki, których doskonałość artystyczn[a] trudna jest do opisania, znajdują się właśnie w tych izolowanych siedzi[-] bach? Wzdłuż wyżej wspomnianej drogi karawan znajdują się szczepy afr[y]kańskie, których cywilizacja zdaje się pomagać do wyjaśnienia zagadk[i]. Kabylowie, którzy należą do tej samej cywilizacji atlantyckiej co Krinjab[o] opowiadają, że ich przodkowie, którzy byli myśliwcami (dziś Kabyle [są] rolnikami) mieli niebieskie oczy i blond włosy. Że grzebano ich na ubocz[u] z dala od cmentarzy, przywiązując do słupa z kamienia nie ciosanego lu[b] do pnia drzewa i zasypując następnie trupa kamieniami. Wiadomo, że p[] ważne wykopaliska megalityczne istnieją nad jeziorem Czad i można [] przypuszczać, że zwyczaje pogrzebowe Kabylów są echem religii mega[li]tów.

Studium zapożyczeń stylistycznych dokonanych przez kolejne fale lu[d]ności wobec tej ceramiki izolowanej w swych „świętych siedzibach" pozw[o]liłoby na stwierdzenie jak dalece tradycyjna jest rzeźba afrykańska ost[at]nich czasów. Oczywiście, o ile przyznamy, że ceramika Krinjabo jest sta[ra] i że poprzedziła ją, niedochowana do dzisiaj, „prymitywna" rzeźba dre[w]niana.

Z jakim kultem religijnym należy połączyć te statuetki? Nie posiada[ją] one żadnych atrybutów pozwalających na przypisanie ich jakiemuś kulto[wi] płodności. Ich postawa hieratyczna — nakrycie głowy-symbol władzy kr[ó]lewskiej, jak również to że niektóre grają na jakimś instrumencie — wszy[st]ko to kazałoby być może przypuszczać, że mamy do czynienia z grobowc[em] wodza? W takim razie należałoby może wspomnieć o analogicznych gr[o]bowcach arystokracji z epoki kamiennej, megalitach angielskich z Windm[ill] Hill? Jeżeli zaś zauważy się zdumiewające *podobieństwo* gestu i stylu n[ie]których statuetek z graczami na flecie z Amorgos, to czy należy sądzić, [że] mamy tu do czynienia ze zwyczajami pogrzebowymi analogicznymi do ty[ch], jakie istniały w Egipcie i na Cykladach w początkach epoki brązow[ej]. Czy należy się podpisać pod hipotezą Frobeniusza, według której istni[ały] w Afryce zony wpływów egejskich (poprzez Gibraltar) czy raczej należy [] widzieć analogie spowodowane pochodzeniem obu tych cywilizacji od da[le]kich przodków — budowniczych megalitów?

Wiadomo, że nasze megality europejskie znajdują się nieraz na skr[zy]żowaniach dróg. Megality afrykańskie znajdują się zawsze wzdłuż szlak[ów] wędrówek pasterskich. Folklor dzisiejszy odnoszący się do megalitów, j[ak] również to co wiemy o greckich hermajach (o których pisał ostatnio Mirc[ea] Eliade w swym *Traité d'histoire des religions)* pozwala sądzić, że megal[ity] miały za cel ochronę dróg. Tak więc, o ile nie chce się twierdzić, że od[o]sobnienie oraz sytuacja tych miejsc świętych wzdłuż prastarego szlaku kar[a]wan jest dziełem przypadku, o ile nie zechce się zaprzeczyć analogiom st[y]listycznym naszych statuetek, to trzeba będzie przyznać, że mamy tu [do] czynienia, w Afryce środkowej, z dalekim echem owego potężnego ruc[hu] religijnego wywodzącego się z Zachodniej Europy, jakim był megalityzm.

Raymonde BOURGES

Książki

ʼolonica w archiwach ıiemieckich

Wydawnictwo dokumentów polityki zagranicznej niemiec-ej, publikowane równolegle w Ameryce, Anglii i Francji, eszło wraz z tomem V w stadium najważniejsze z punktu wi-zenia spraw polskich: tom ten w rozdziale pierwszym dotyczy olski i Gdańska i zawiera 140 dokumentów z okresu od końca rześnia 1937 do 14 marca 1939. Dokumentacja ta, sygnalizo-ana już w naszej publicystyce politycznej, winna stać się przed-ıiotem obiektywnych i porównawczych badań naszej historio-rafii. Na tym miejscu wypada się na razie ograniczyć do no-ıtki sprawozdawczej i zasygnalizowania rzeczy polskich dotych-zas nieznanych.

W miarę ukazywania się publikacji źródłowych — archiwum zembeka, dokumenty brytyjskie, włoskie, niemieckie — poli-/ka polska tych krytycznych chwil nabiera barwy naturalnej, ie przejaskrawionej uporczywą legendą czy jadowitą krytyką, bcą lub własną Czas już najwyższy, aby Polacy piszący o tym rzedmiocie przestali go traktować jako pośmiertną rozgrywkę Beckiem, nie unosili się już nadmiarem uczucia i zastosowali o naszej przeszłości i działających wówczas ludzi metody ana-zy rzeczowej.

Postawa Polski opanowana i spokojna w okresie *An-chlussu* Austrii była oczywiście jedyną wskazaną i możliwą: różnym hałasem nie robi się polityki, tym mniej jeśli zaintere-owane główne mocarstwa ograniczyły się do gołosłownych pro-estów. Natomiast kooperacja z Niemcami w sprawie Czecho-łowacji budzi, w świetle dokumentów, silniejsze jeszcze zastrze-enia. Współpraca szła dość daleko, jeżeli na audiencji w Berch-esgaden, 21 września 1938, ambasador Lipski przedłożył Hit-erowi memorandum (dotychczas nieopublikowane) dla zużytko-vania w rozmowie z Chamberlainem w Godesbergu, i jeżeli przy ej sposobności, a również w czasie kontaktów oficjalnych Göringiem i z Weizsäckerem, były wymienione mapy, szcze-óły ukształtowania nowych granic, a nawet ewentualne „sfery

---

Les Archives Secrètes de la Wilhelmstrasse. V. Livre 1-er, L'Alle-ıagne et la Pologne. Les Petites Puissances de l'Europe. (Juin 1937-Aars 1939). Documents traduits de l'allemand par Jean R. Weiland, PLON, ʼaryż, 1954, frs 1.725.

wpływów" stron obu na terytorium czeskim. Współpraca skończyła się raczej zgrzytem, gdy Hitler wrócił w Monachiu na platformę „paktu czterech". Dyplomacja polska nie mia wówczas innego wyjścia, jak działać samoistnie i postawić ul matum Czechom.

Dość nieoczekiwanie najlepsze i najbardziej obiektyw przedstawienie położenia Polski między konferencją w Mon chium a ultimatum w Pradze daje raport ambasadora Rzes w Warszawie, Moltkego, z 6 października. Według jego opi Beck przez cały czas kryzysu starał się nadać akcji polsk charakter samodzielny, niezależny od działania Niemiec. N przewidywał wojny, ale po zaostrzeniu sytuacji w Godesber stał się ostrożniejszy i spróbował załatwić zagadnienie polsk czeskie osobno, zanim decyzje europejskie zapadną. Wedł Moltkego list Benesza dawał do tego okazję i nastąpiły sz kie próby negocjacji osobnych z Pragą. Ogłoszenie spotka w Monachium spowodowało cofnięcie się Czechów, a równocz nie postawiło Polskę przed powrotnym widmem Paktu Czter „Gdy decyzje w Monachium zostały powzięte bez jakiegokolw uczestnictwa Polski, Warszawa uznała za rzecz najpilniej przypomnieć z całą energią dawną maksymę: nic o nas bez n Jeżeli mocarstwa pozostawiły trzy miesiące dla załatwienia rew dykacyj polskich, to Polska postanowiła dowieść, że jest zdo przeprowadzić rozstrzygnięcie w ciągu dwunastu godzin pr akcję odrębną, okazując niezależność Polski w stosunku do a opagu czterech..." Bystry i pełen zrozumienia obserwator Mol zdawał sobie sprawę z usztywnienia stanowiska polskie w szczególności w stosunku do Niemiec. Okazało się to już incydencie w sprawie Bogumina, gdzie uniknięto otwartego k fliktu tylko dzięki interwencji Hitlera na rzecz żądań polski Okazało się to dalej w związku z dążeniem Polski do wspól granicy z Węgrami: nie bez słuszności przypisał je Moltke s raniu rozszerzenia sfery wpływów polskich, chęci zgrupowa krajów ościennych Rosji w formie „zony neutralnej bezpiecz stwa", — „plan, zwrócony w pierwszej linii przeciw Rosji, l także podyktowany obawami ekspansji niemieckiej". W cał tym komplekcie, zarówno arbitraż wiedeński, pozostawiaj część Rusi Podkarpackiej na pastwę Niemcom, jak deklara polsko-sowiecka, odnawiająca układ o nieagresji i przywra jąca Polsce pewną swobodę ruchów, były symptomatami rozbi ności interesów i zamiarów.

Dokumenty niemieckie rzucają jaskrawe światło na trud ści, z jakimi miała do czynienia polityka polska, a których ch nie nie dostrzegają jej krytycy.

W rozgrywce z Niemcami o Gdańsk partnerami Polski m być tylko Wysoki Komisarz Ligi oraz jej Komitet Trzech w G newie. Otóż Szwajcar Burckhardt, pełniący funkcje Komisar już w styczniu 1938 mówił otwarcie że „urząd Wysokiego K misarza jest powoli zamierającym organem chylącej się do up ku instytucji". Następnie, w ciągu całego krytycznego ro

funkcję swoją uważał ponad wszystko jako usprawiedliwianie nazistowskiego reżimu w Gdańsku i układanie z nim kompromisów. W lecie 1938 wyznawał Niemcom że uważa za swój obowiązek ,,skłonić Polaków do wejścia na drogę zbliżenia z Niemcami''. W połowie listopada informował Senat gdański, że Beck gotów był przyjąć niemiecką solucję sprawy, co było co najmniej w tej już dacie fałszywe i mogło zaważyć ujemnie na rokowaniach. Jedyny zachowany list Burckhardta do Weizsäckera z 22 stycznia 1939 świadczy jak intymny był jego stosunek z tym dwuznacznym i niebezpiecznym urzędnikiem *Wilhelmstrasse,* grającym na zewnątrz rolę miłośnika pokoju, a wewnątrz służącym wiernie polityce Hitlera i Ribbentropa. W liście tym Burckhardt traktuje zachowanie instancyj Ligi jako głupie, prasę szwajcarską jako zidiociałą, delegata polskiego jako aroganta, gdyż krytykował gdańskie wybory: Polacy ,,niewątpliwie dojdą do rozumu'', ale ,,trzeba do nich przemawiać bez ogródek'' (*sans mâcher les mots*). Podobnie, w rozmowie odbytej w Genewie z konsulem niemieckim z Gdańska (1 marca) krytykował Polaków, mówił o ich prowokacjach, o ich próbach ,,przeszkodzenia aby Liga Narodów zrzekła się gwarancji konstytucyjnej'' dla Gdańska i dodawał, że to postępowanie polskie wywołuje oburzenie w kołach angielskich. Wszystko to było komunikowane Greiserowi i Forsterowi, Weizsäckerowi i Göringowi ,,w ścisłej konfidencji'' — i oczywiście powodowało odpowiednie skutki.

Francja już w roku 1937 wyrażała przez usta Delbosa brak zainteresowania Gdańskiem, zaś w końcu 1938 Niemcy notują z zadowoleniem wysiłki Bonneta, by Liga Narodów przestała *de facto* zajmować się tą sprawą. Pozostawali więc ku obronie statutu Wolnego Miasta ,,marksiści'' i ,,masoni'', o których mowa w wynurzeniach wzajemnych Burckhardta z Niemcami, oraz... Anglicy. Wprawdzie już we wrześniu 1937 Eden wypowiadał się za zlikwidowaniem stanowiska Wysokiego Komisarza, ale w 1938 referentem spraw gdańskich w Lidze stał się lord Halifax, człowiek sumienny, ,,katolik anglikański'', jak go określa Burckhardt, wspominając że co dzień o 7 rano idzie on do kościoła aby rozważyć swe postępowanie. ,,Lord Halifax, opowiada Burchhardt Niemcom (23 maja 1938), określił jako absurd Gdańsk i Korytarz. Było to zapewne najbardziej szaleńcze postanowienie Traktatu Wersalskiego... Zmiany powinny wyniknąć w ciągu przyjaznych rokowań między Niemcami a Polską. Anglia... chętnie byłaby gotowa odegrać rolę pośrednika w tego rodzaju rokowaniach...'' Taką była rzeczywista, a nie imaginowana przez krytyków polityki polskiej sytuacja Gdańska na terenie międzynarodowym.

Pośrednicy, pragnący Polskę namówić do odstąpienia Gdańska i ,,Korytarza'' Niemcom, znajdowali się nie tylko w Genewie i Londynie. Pod datą 26 sierpnia 1938 znajduje się notatka Ribbentropa o pobycie Regenta Horthy'ego: ,,w czasie oficjalnej wizyty oświadczył on Führerowi, że Węgry byłyby gotowe po-

średniczyć w Warszawie, aby Polska zwróciła Korytarz Niem-com. Führer prosił Regenta o niepodejmowanie niczego w tym kierunku". Tak przemawiał potencjalny sojusznik, zresztą wzdra-gający się, w widocznej obawie przed Niemcami, od wszelkie zbyt jawnej współpracy z Polską, nawet we własnym interesie przykarpackim. Cóż mówić o formalnym sojuszniku, Rumunii traktowanej czasami przez Polskę zbyt po kawaleryjsku? 28 października 1938 Weizsäcker notował rozmowę z chargé d'af-faires, który prosił w imieniu Comnène'a aby Niemcy „ w dowód przyjaźni" sprzeciwiły się ustanowieniu wspólnej granicy polsko-węgierskiej". Ambasador rumuński w Warszawie wyraża w tymże czasie wątpliwości, czy sojusz z Polską będzie mógł być utrzymany.

Sam Comnère, będąc jeszcze posłem w Berlinie, zobowią-zał się wobec Weizsäckera (11 luty 1938), że na stanowisku mi-nistra spraw zagranicznych „nie miałby innego celu jak tylk wykazanie, bardziej jeszcze niż dotychczas, swojej niezawodne przyjaźni do Niemiec".

Obok tych nieporozumień z przyjaciółmi stosunki Polsk z okaleczoną Czechosłowacją były, rzecz naturalna, trudne. Ist-nieją dane, że ze strony polskiej próbowano je złagodzić, zaczy-nając od zrzeczenia się żądanego plebiscytu i zredukowania pre-tensyj terytorialnych. Niemcy oczywiście zwracali baczną na t uwagę, podobnie jak na sprawę Rusi Podkarpackiej. Czy na-leżało tę ich uwagę podsycać? Tymczasem, 12 grudnia 1938 zgłosił się do chargé d'affaires niemieckiego w Pradze, w imie-niu ministra Chvalkovskiego, szef jego gabinetu, Jan Masaryk donosząc o różnych krokach polskich polityków i oficerów, od-wiedzających Pragę, mających na celu „przedyskutowanie szar polepszenia stosunków polsko-czeskich": „oficerowie polscy... oświadczyli wielokrotnie w ostatnich dniach oficerom czeskim — opowiadał Masaryk — że ułożenie dobrych stosunków międz obydwoma krajami, a nawet nowa rewizja granic na korzyść Czechosłowacji, stałaby się możliwa bez trudności, gdyby Prag wydostała się z orbity Niemiec... Szef gabinetu dodał, że te ini-cjatywy polskie zostały przez Czechosłowację odrzucone" (*).

Dokumentacja niemiecka obejmuje pertraktacje z Polską otwarte rozmową Ribbentropa z Lipskim 24 października 1938 aż po wizytę Ribbentropa w Warszawie, 26 stycznia 1939. Z ze-stawienia całości tych dokumentów wynika przede wszystkim, ż

(*) O byłym pośle czeskim w Warszawie (1921-1923), p. Mava, w roku 1938 będącym posłem w Sofii, znajdujemy interesujące wynurzenia króla Bo-rysa (raport posła niemieckiego Rüömelina z 22 czerwca): „jest to nader nie-bezpieczne indywiduum. Rozporządza funduszem około 3 milionów RM., bę-dąc upełnomocnionym do udzielania, z ramienia Sowietów, subwencji poli-tycznych i kwot przeznaczonych na przekupstwa, a to od czasu zaginięcia Raskolnikowa". Raskolnikow, znany przywódca rewolucji marynarzy bol-szewickich w 1917 roku, pogromca Konstytuanty, był posłem Z.S.S.R. w Ta-linie i Kopenhadze, potem w Sofii, skąd wezwany do Moskwy uciekł d Francji, gdzie zakończył życie w tajemniczych okolicznościach.

zwrot radykalny w stosunkach polsko-niemieckich polegał nie tyle na żądaniach samych w sobie, ile na momencie i na sposobie ich postawienia. Żądania nie były nowe: w sprawie Gdańska zapowiedział je Neurath w rozmowie z Lipskim 18 października 1937; w sprawie autostrady poprzez „Korytarz" kroki przedsiębrane przez ambasadora niemieckiego w Warszawie sięgały jeszcze dawniej — maja 1935. Dopiero jednak w październiku 1938 i w styczniu 1939 postawione zostały łącznie i pilnie jako *globale Lösung* — rozstrzygnięcie całkowite.

Z analizy wszystkich kolejnych dokumentów tych pertraktacyj zdaje się dzisiaj wynikać, iż sedno sprawy leżało gdzie indziej: a mianowicie w sugestii uczynionej przez Hitlera Beckowi w rozmowie z 5 stycznia w Berchtesgaden, a sformułowanej wyraźnie w dwóch rozmowach z Ribbentropem — 6 stycznia w Monachium i 26 stycznia w Warszawie. Chodziło o akcję polsko-niemiecką przeciw Sowietom z kierunkiem na Ukrainę. Odmowa Becka w tej sprawie — nie zaś jakiś od początku powzięty makiaweliczny plan Hitlera przeciw Polsce — przesądziły dalszy rozwój narastającego konfliktu. W tym świetle rok 1939 nie był logicznym dalszym ciągiem, ani koniecznym wynikiem dotychczasowej polityki niemieckiej. Był zmianą.

Michał SOKOLNICKI
Ambasador R.P.

Laureaci trzeciej klasy

Wśród książek nagrodzonych w zeszłym roku przez reżim komunistyczny w Polsce znalazł się także utwór Mirosława Żuławskiego pt. *Rzeka Czerwona* (*). Żuławski otrzymał wprawdzie tylko nagrodę trzeciego stopnia, ale ponieważ większość „lepszych" laureatów została już omówiona, warto się zająć i tym, dotychczas nieznanym pisarzem.

Rzeka Czerwona zajmuje się wojną w Indochinach i ma wiele pozorów normalnej powieści. Jest to książka o żywej akcji, przejrzyście i prosto skomponowana, napisana dobrym językiem, ciekawa w czytaniu i na pierwszy rzut oka wzbudzająca odruchy zaufania ze strony czytelnika. Utwór traci jednak, i to bardzo, przy bliższym obejrzeniu. Okazuje się przede wszystkim, że nie jest to w ogóle powieść, lecz klasyczny przykład powierzchownie zbeletryzowanej, płytkiej publicystyki politycznej. Sam autor, któremu udaje się trzymać czytelnika w zaciekawieniu na trasie blisko 200 stron druku, odziera go ze złudzeń końcowym wyjaś-

(*) Żuławski Mirosław, *Rzeka Czerwona*, wyd. II, Czytelnik, Warszawa. 1953.

nieniem, że ,,wszystko w tej książce jest prawdziwe: ludzie, zdarzenia i okoliczności''.

,,A więc jeszcze jeden reportaż'' — może pomyśleć zawiedziony odbiorca, który wie, że fikcja artystyczna sięga głębiej w ludzką rzeczywistość od najściślejszych sprawozdań. Niestety, nie jest to nawet reportaż. *Rzeka Czerwona* należy do gatunku pseudopowieści, czyli jest socrealistycznym bękartem, zrodzonym z niedobranego małżeństwa fikcji z faktycznym sprawozdaniem Książka Żuławskiego jest zarazem nowym jaskrawym przykładem absurdalności takich skrzyżowań, którym nie błogosławią kapłani sztuki, lecz tępe politruki.

Bo pomyślmy tylko przez chwilę. Gdyby przyjąć zapewnienie autora, że w *Rzece Czerwonej* dał opis prawdziwych wydarzeń i rzeczywistych ludzi, to musielibyśmy wymagać od niego zachowania elementarnych reguł dobrego sprawozdania. Światowe reportaże Churchilla, Gide'a, Lawrence'a, Kirscha, Hemingway'a, czy naszego Ksawerego Pruszyńskiego (z okresu, gdy pisał o Palestynie i Hiszpanii) — zaczynają się i kończą zawsze według klasycznego schematu: czas, miejsce, problem (lub wydarzenie, czy seria wydarzeń) i ludzie związani z opisywanymi sprawami. Żuławski gardzi tymi kanonami. Akcja jego książki zaczyna się i kończy we mgle. Wprawdzie czytając bardzo uważnie można wydedukować, że chodzi tu o pewne fragmenty walk w Indochinach z roku 1950 i pewne wydarzenia z początku 1951. Ale na próżno szukalibyśmy jakiegoś szerokiego, popartego źródłami, lub choćby cyframi obrazu walk w Vietnamie w tym okresie. Autor nie podaje nawet najluźniejszej siatki faktów i stosunków, na których tle buduje swą opowieść. Więcej — nie twierdzi nawet, że był osobiście w Vietnamie i że opisuje to, co sam zobaczył. A więc *Rzeki Czerwonej* nie można traktować jako reportaż — w tym charakterze byłby to utwór całkowicie chybiony.

Spróbujmy więc podejść do książki od drugiej strony. Przymknijmy jedno oko na klauzulę Żuławskiego i spróbujmy jego utwór potraktować jak powieść. Ba, ale jakaż to powieść skoro bohaterowie pojawiają się w niej jak kukiełki, czy raczej niewydarzone potworki, nad którymi nie panuje nawet sam autor? Myślę o nich jak o figurkach z soli: wrzucone do *Rzeki Czerwonej* pływają w niej niby w garnku z gotującą się zupą, wynurzają się raz po raz na powierzchnię i znikają, by wreszcie roztopić się na dobre. Oto np. Polak z Legii Cudzoziemskiej (potrzebuje go autor, aby zohydzić emigrację i wykazać jej upadek). Nazywa się, a raczej nazywają do ,,Whisky'', ale nie ma nawet imienia. Oto Hirsch — zwierzę hitlerowskie, potrzebne Żuławskiemu, aby bił owego Polaka. Bo Hirsch robi karierę wojskową w Vietnamie, gdzie szarogęsi się w Legii, pastwi się nad ludnością cywilną i strzela do każdego, kto mu się nawinie pod lufę automatu. A oto inny element polskości na obczyźnie: Nina Minouche, Polka, którą Amerykanie (nie wiadomo po co i dlaczego) przywieźli aż z Niemiec do domu publicznego w Marsylii

Na szczęście ta figurka rozpuszcza się w zupie socrealistycznej już po kilku stronicach druku. Itd., itd. w tym stylu i w tym tonie. Ludzie, a raczej nazwiska ludzi pojawiają się w *Rzece Czerwonej* według życzeń autora — jako slogany, jako ilustracja jego politycznych założeń, jako narzędzie prymitywnej interpretacji rzeczywistości. Jednym słowem strona humanistyczna książki — w sensie zaludniających ją ludzi — jest beznadziejnie blada, choć widać, że Żuławski nie jest pozbawiony talentu i gdyby chciał, mógłby stworzyć bryłowate postacie.

Uczucie smutku ogarnia krytyka, gdy obok dobrych, czasem pięknych metafor znajduje bezwstydne banały w rodzaju żołnierza marokańskiego, rzucającego się na patrolu w krzaki ,,z grymasem szaleństwa na twarzy'', lub pary zakochanych, którzy ,,patrzyli sobie w oczy z uczuciem szczęścia''. Razi to i gniewa, bo młody Żuławski miejscami wcale nieźle operuje świeżymi i prostymi porównaniami, które siedzą silnie w realiach.

Ze stroną faktyczną swej pseudopowieści załatwił się autor nad wyraz sprytnie i bezceremonialnie. Książka jest oczywiście do gruntu kłamliwa, ale tak napisana, że fałszu nie wykryje mało wyrobiony i słabo oczytany odbiorca.



Innym laureatem trzeciej klasy był w roku ubiegłym Stanisław Zieliński, który nagrodę trzeciego stopnia uzyskał za dwie powieści: *Ostatnie ognie* i *Jeszcze Polska...* (*). Są to dwie pierwsze części zamierzonej trylogii, której ostatni człon pt. *Minimum strategiczne* jeszcze się nie ukazał.

Stanisław Zieliński jest pisarzem świeżej daty. Przed paru laty debiutował dwoma tomami opowiadań, z których jeden, zatytułowany *Dno miski* i opisujący przeżycia oflagowe, wywołał pochlebne echa w niemarksistowskiej krytyce krajowej. Komuniści nie zainteresowali się wówczas dzisiejszym laureatem i dopiero *Ostatnie ognie* i *Jeszcze Polska* przyniosły mu laury, acz trzeciej kategorii. Nie dziwimy się nagrodzeniu dwóch ostatnich powieści Zielińskiego, bo obie te książki są peanem na cześć partii komunistycznej i nowego reżimu w Polsce. Postacie powieściowe są usłużnie podzielone na cnotliwych komunistów-,,patriotów'' z przezacnym generałem Jedlickim na czele i na nikczemnych hitlerowskich sługusów na żołdzie amerykańskim — Polaków i nie Polaków. W tekście aż roi się od historycznych kłamstw — tak jaskrawych i głupich, że jakaś rozsądna polemika z nimi jest niemożliwa. Oto jeden z licznych kwiatów bujających na tej oślej łące: Brytyjczyk Barton przekazuje Polakom w Kraju wypowiedź polskiego rządu emigracyjnego: ,,Będzie to piękny gest, nieomal bratni, gdy pomoc (Polsce) przyniosą dywizje odrodzonych, rzecz jasna moralnie, hitlerowców. Dlatego w walce nie będziemy osamotnieni''.

Zielińskiemu nie można odmówić pewnych zdolności literac-

(*) Zieliński Stanisław, *Ostatnie Ognie* i *Jeszcze Polska...*, Czytelnik, Warszawa, 1953.

kich. Powieści jego, choć bardzo płytkie, mają żywą akcję, doś plastyczne postacie, wartki dialog i niezłe tempo. Zieliński przy pomina pod wieloma względami przedwojennego, bardzo popu larnego, ale drugorzędnego pisarza Tadeusza Dołęgę-Mosto wicza. Tak jak u Zielińskiego mamy zwykle u Mostowicza wy raźnie postawiony temat, akcję pełną dynamiki i galerię bardz jednoznacznie ukształtowanych postaci. U obu wątki sensacyjn żerują na aktualiach, nurtujących życie czytelników, na proble mach politycznych, społecznych i obyczajowych. Mostowicz opi suje np. kryzys i bezrobocie, sprawy moralności i braku moral ności w życiu prywatnym i publicznym — wszystko na tle współ czesnym, podane ciekawie i sensacyjnie, i podlane obficie sose erotyzmu. Tego sosu jest u Zielińskiego mniej, bo komuniśc uprawiają swoisty purytanizm w tej dziedzinie, ale inne elemen ty przemysłu powieściopisarskiego Mostowicza są wyraźni wspólne Zielińskiemu. Obaj ordynarnie lecą na sensację, oba nie sięgają w głąb problemów, obaj z zamiłowaniem plotku i zabiegają o względy czytelnika usiłując się przedstawić za rzec ników szerokich mas. Zawsze byli i będą tacy pisarze, a w Polsce przedwojennej nikt by nie wpadł na pomysł nagradza nia Dołęgi-Mostowicza jakąkolwiek nagrodą literacką, choćb dziesiątego stopnia. A jednak trzeba o tym mówić, bo książk może być groźna — zwłaszcza dla młodzieży w kraju. Bo żeru na uczuciach patriotycznych, na nienawiści do hitlerowcó przedstawiając każdą akcję antykomunistyczną jako akcję zwi zaną z odrodzeniem hitleryzmu. W dodatku wszystkie te kłam stwa, jaskrawo widoczne dla każdego Polaka na Zachodzi mogą być przyjęte za dobrą monetę przez mniej rozgarniętyc czytelników w Kraju.

Akcja pierwszej części trylogii zaczyna się w ostatnich dniac dniach wojny na terenie Niemiec. Widzimy kolejno cofające s oddziały niemieckie i uchodzących wraz z nimi „polskich fasz stów", wkraczających do Niemiec Amerykanów i armię czerw ną. Druga część trylogii opisuje Polskę w okresie umacnian reżimu warszawskiego i oczyszczania przez Bezpiekę kraju z pa tyzantów antykomunistycznych. Oczywiście partyzantów prze stawia autor jako jakieś nieprawdopodobne *mixtum-compositum* złożone z wykolejeńców, głupców, potencjalnych i aktualnyc zbrodniarzy, resztki esesmanów, ukrywających się pod angie skimi szyldami — wszystko pod wodzą zrzucanych z Niemie instruktorów. Armia Krajowa nie istnieje dla Zielińskiego. Zr dukował po prostu kilkaset tysięcy żołnierzy i łaskawie zast pił ich „garstką faszystów z N. S. Z." (używam dosłownie jeg wyrażenia). Nie zapomina jednak autor skorzystać z każd okazji, aby ośmieszyć i zdyskredytować osiągnięcia dwudziest lecia. Każdy policjant, każdy urzędnik z tego okresu — t w książce Zielińskiego plugawy łajdak, zbrodniarz, złodziej i ł pownik.

Szczytem wynalazczości służalczego umysłu Zielińskiego je cała historia „amerykańska" w obu powieściach, a zwłaszcz

w *Jeszcze Polska*... Autor daje do zrozumienia, że nici całej walki z komunizmem w Polsce są w rękach niepolskich. Amerykanie, odmalowani groteskowo i jaskrawymi barwami — pijacy, durnie, rozpustnicy — pod wodzą starego złodzieja Joe Kelly nie spuszczają oka z tego, co się dzieje we Wschodniej Europie. Autor wspomina na marginesie także o rządach emigracyjnych, wysługujących się Amerykanom za parę groszy. Czyni to ze zręcznością słonia, usiłującego tańczyć na *pointach*. Bo kto uwierzy, że np. minister Wolnej Ukrainy ukradł opony Amerykanom i sprzedał je na czarnym rynku?

Ale to wszystko dla Zielińskiego jeszcze za mało. W jego wersji jakaś amerykańska „akcja na Polskę Old Fellow" jest po prostu w rękach Niemców — dawnych esesmanów, a nawet zbrodniarzy wojennych, wypuszczonych na urlop zdrowotny. Zieliński usiłuje pokazać, że Niemcy nadal panoszą się w Polsce pod płaszczykiem zagranicznych misji i instytucji. Oni to rzekomo rozkazują partyzantom i na ich ogniskach leśnych pieką swą własną pieczeń. „Ale ludzie giną, a ustrój trwa!" — woła triumfalnie.

Rekord lekceważenia prawdy i własnych czytelników osiąga Zieliński w zakończeniu swej drugiej powieści, którą zamyka ponurym obrazem rzekomej rozgłośni Radia Wolnej Europy, działającej w jego książce już w latach czterdziestych, czyli na kilka lat przed powstaniem tej instytucji.

J. JASIEŃCZYK i *O. ŻEROMSKA*

Notatki wydawnicze

Nawrócony komunista jest postacią dobrze nam znaną. Rzadziej się trafia nawrócony „towarzysz podróży". Nic w tym zresztą dziwnego: komunista poświęca się całkowicie, unicestwia swoją osobowość, spełnia wszystkie żądania partii aż do chwili kiedy następuje w nim głęboki psychiczny przełom. Trudniej o taki przełom u „progresisty", zachowującego rzekomą samodzielność osądu. Pierre Emmanuel uchodzi za jednego z najlepszych współczesnych poetów francuskich. Tak jak wielu intelektualistów jego pokolenia zbliżał się do komunizmu powoli, poprzez Front Populaire, hiszpańską wojnę domową, powiązania z okresu Résistance. Po wojnie był gorącym sympatykiem stalinizmu i nie będąc członkiem partii oddawał prawdziwe usługi komunistom. W *L'Ouvrier de la onzième heure* (Editions du Seuil, Paris, 1954) Emmanuel zdaje sprawę z długiego procesu rozczarowania, goryczy i obrzydzenia poprzez który odszedł od mitu którym żył przez kilka lat. Książka Emmanuela jest dość wyjątkowa także z powodu przekonywującej szczerości i bezwzględnego osądu własnych motywów. W wielu książkach eks-komunistów uderza, obok nienawiści do „boga który zawiódł", tendencja do przypisywania sobie pięknej roli nawet w okresie, kiedy należeli do partii. Ton Emmanuela pozbawiony jest nienawiści i nie wyrzeka się on swego dawnego „ja" — ale za to odnosi się do swoich ówczesnych motywów w sposób bezwzględnie krytyczny. Przełom jego stosunku do komunizmu nastąpił w roku 1947, podczas podróży do krajów

„demokracji ludowych". „Przed wyjazdem — pisze — z góry podziwiałem w wyobraźni cuda, nie gospodarstwa socjalistycznego ale tego nowego człowieka, którego tak dobrze znałem na podstawie całej literatury hagiograficznej. Dwa miesiące później wróciłem ze zgrozą w sercu i próżnią w duszy... Nie mogłem już dłużej się oszukiwać, ani pozwalać by mnie dłużej oszukiwano: to co widziałem to było tylko ohydne królestwo strachu". Jedynie w Jugosławii, właśnie dlatego że komunizm tamtejszy był autentyczny, i że już złym okiem patrzano na sowieckich ekspertów, znalazł Emmanuel „to czego spodziewał się od rewolucji: poczucie godności osobistej, szlachetność zrodzoną z równości". W Bułgarii, w Czechosłowacji, w Rumunii (w Polsce Emmanuel nie był), uderzyła go „mieszanina przekonania, hipokryzji i bluffu — czegoś gorszego od fałszu". Kapitalny jest opis przyjęcia w sowieckiej ambasadzie w Bukareszcie, z królem Michałem i Anną Pauker, z całą arystokracją rumuńską występującą po raz ostatni „światowo", z „nowymi ludźmi" reżimu. Rozdział ten ma opisową moc niektórych stron Balzaca.

Emmanuel po odejściu od komunizmu nie znalazł pozytywnego rozwiązania i jego stosunek do burżuazyjnego społeczeństwa jest równie surowy. A powstaje dla niego nowy świat — świat realnych spraw i rzeczy. Zamiast „człowieka", który nie egzystuje — Emmanuel odkrywa ludzi... Może dla tego że w obu wypadkach chodzi o poetów, doświadczenie Emmanuela uderzająco przypomina drogę przebytą przez Miłosza. *L'Ouvrier de la onzième heure* jest właściwie uzupełnieniem — od strony zachodniej — problemów „Zniewolonego Umysłu" i „Prise du Pouvoir".



Sprawy lata — witalność, młodość, gra muskułów, otwarte morze, otwarta nadzieja, po prostu radość życia — jakże trudno literaturze przekazać je w sposób ważny i nowy. Jakaż książka o kąpieli w morzu zastąpi, czy doda cokolwiek do samej kąpieli? Jakiż wiersz o biegaczu może coś znaczyć wobec samego biegu? Przychodzą mi na myśl tylko dwa wyjątki: Walt Whitman i Henry Miller. Stąd może rozczarowanie jakie mi sprawiła ostatnia książka Albert Camus *L'Eté* (Gallimard, 1954). Na pograniczu reportażu i błahego wspomnienia z młodości, książka ta nie wiele zyskuje przez drogie Camusowi nawiązywania do Prometeusza i ogólnoludzkie refleksje. Eseje zawarte w „Lecie" nie wydają się godne autora „L'Etranger", czy nawet „L'Homme Revolté". Kiedy pisarz staje się więcej niż twórcą literatury, kiedy jego działalność narzuca mu publiczną „postać", często podaje on światu drobne komentarze, nie mające same przez się wagi: *L'Eté* należy może na skutek tego procesu do tych licznych serii plakiet Gide'a czy Valéry, które powiększają jedynie objętość dzieł zbiorowych.



Drugi tom dziennika Ernsta Jüngera (*„Journal" (II), 1943-1945*, Juillard, Paris, 1953) jest przygnębiającą lekturą. Musi istnieć jakaś cecha psychologiczna wspólna pisarzom prowadzącym dzienniki, bo jak wytłumaczyć inaczej jednostajność tej formy, która nie jest właściwie ani osobista, ani literacka. Oto choćby trzy, bardzo różnorodne typy ludzkie : Gide, Green, Jüngen — a tak podobne tonem, formą, nawet treścią są ich dzienniki. Czyżby poza psychologicznym zróżniczkowaniem istniał stosunek „wielkiego europejskiego pisarza" do świata ? „Dziennik" Gidegreenjüngera? Jakże często bliska nam jest i droga ta „europejskość". Jakże cieszy ten familijny rodzinny stosunek do pięknego podwórka kultury. Stale obecne aluzje do najbliższych krewnych (Goethe, Montaigne, Pascal, Proust), odkrycia dalszych, bardziej ekscentrycznych powinowatych (czy będzie to Aubrey Beardsley, czy Maurice Scève, czy Belli). I rozmowy. I śniadania w „L

ur d'Argent". Ale nagle gorzki się staje ten chleb powszedni cywilizacji. padziernika 1943 Jünger notuje w dzienniku dokładne informacje do- rczone mu przez przyjaciela, również Niemca, również wojskowego, o eks- minacji Żydów w Polsce. Wszystko z detalami, do pieców gazowych włącz- . Jest ,,wstrząśnięty właśnie szczegółami". 17 października notuje uwagi pokrewieństwie Pascala, Poego i Św. Pawła. 18-go przyjęcie u Armance. m Jünger staje mi się przez to sympatyczny. Jest prawdziwym Europej- kiem. Co za pogarda dla Hitlera, przezwanego ,,Kniebolo". Co za solidar- ść z Picasso, Jouhandeau, Paul Morand, Marie-Louise Bousquet, których sto widuje w czasie okupacji w Paryżu. I przede wszystkim co za brak oryki, co za szczerość, co za uczciwość. Wszyscy wiemy o zbrodniach pełnianych co dzień w naszym imieniu. Ilu z nas było, jest czy będzie ć chociażby na gest Jüngera — potępienie ich pomiędzy dwoma wraże- ami estetycznymi? A zwłaszcza — na nie wyolbrzymienie tego oburzenia późniejszej perspektywy! Tak właśnie wyglądają dziś może najlepsze, taj- pisane dzienniki polskich pisarzy w kraju. Jünger zresztą ma syna który mal ginie w spisku przeciw Hitlerowi (uratowany przez niewiarogodną mbinację protekcji i szczęścia, padnie w dwa tygodnie później na froncie oskim). *Dziennik* Jüngera jest przykry tak jak każde spojrzenie od we- ątrz na grupę ludzi, czy na okres czasu objęte dla nas dotąd jakimś kralnym ,,tabu". Mimo nienawiści, mimo zbrodni, mimo niesprawiedli- ości, życie płynie zawsze swoim upartym torem. Późniejsi oskarżyciele żyją przyjaźni z ,,oprawcami". I to nie wina Jüngera, że ton sceptyka, ton nika (w ścisłym, szlachetnym znaczeniu), że tradycja Horacego czy Mon- igne'a wydaje się nam wspaniała rozsądkiem i wstrzemięźliwością w cza- ch ,,normalnych", a gorszy nas odruchowo w czasach ,,tragicznych" tym mym rozsądkiem i wstrzemięźliwością...

◆

Przeczytany przed dwudziestoma chyba laty w gimnazjum ,,Gog" Pa- niego zrobił na mnie, pamiętam, wielkie wrażenie odważnej, gwałtownej, zenikliwej książki. ,,*Le Livre Noire*" (Flammarion, Paris, 1953) — to lsze, powojenne już listy imaginacyjnego milionera Goga do Papiniego. łszywia głębia, fałszywy dowcip, fałszywa literatura i fałszywa erudycja : ekaw jestem czy w ciągu tych dwudziestu lat zmieniła się twórczość Pa- niego czy moja ,,odbiorczość" ? Jeden tylko ładny rozdział : o buncie awionych w niebie przeciw wieczności piekielnej kary, zapowiedź niedaw- wydanej książki Papiniego o diable i jego zbawieniu — podobno najlepszej go rzeczy od czasu młodzieńczych nowel.

◆

Claude Farrère i Henry Bordeaux mają wiele wspólnego : katolicy, nserwatywni, kobieciarze, gastronomi, światowi, osiemdziesięcioletni, łonkowie Akademii Francuskiej, a nawet powieściopisarze. Co prawda Far- re, podobnie jak Loti, zapewnił sobie drobne miejsce w literaturze (czas : czątek XX wieku; dział : morski egzotyzm); gdyby się był urodził o trzy- zieści lat później, byłby świetnym pisarzem kryminalnym (co za zadatki ,,L'Homme qui Assassina !"). Henry Bordeaux natomiast należy do tych iezawodnych nudziarzy, którzy w ślad za Bazinem czy Feuilletem ugrzęz- ą w bogobojne bagno zapomnienia. *Souvenirs* Farrère'a (Arthème Fayard, aris, 1953) i eseje Henry Bordeaux *Reconstructeurs et Mainteneurs*" (Plon, aris 1954) należy czytać równolegle, jako wyraz tej drobnej sekcji spo- czeństwa francuskiego, w stosunku do której słowo ,,reakcja" przestaje być ropagandowym żetonem i nabiera historycznego znaczenia.

◆

Pierantonio Quarantotti Gambini, znany pisarz włoski, autor ,,Regat San Francisco", pochodzi z Istrii i okupacja jugosłowiańska zastała go

w roku 1945 w Trieście. *Printemps à Trieste* (Del Duca, Paris, 1953) dziennikiem z tych czasów, szczerym, bezstronnym, napisanym z wyczuc i kulturą. Czytamy go po ośmiu latach z obojętnością i rosnącą nudą, dobnie jak cudzoziemcy muszą czytać najlepsze polskie wspomnienia okupacji sowieckiej.

•

Jan Holcman, młody polski muzykolog, zamieszkały w Nowym Jor znany czytelnikom „Kultury" z kilku artykułów i szkiców, napisał bar wnikliwą książkę o muzyce Szopena (*The Legacy of Chopin*, Philosoph Library, New York, 1954). Holcman analizuje podejście Szopena do muz i jej interpretacji z dużą intuicją i samodzielnością. Jest to bardziej z notatek muzyka niż źródłowy szkic, ale notatki te nacechowane są cz błyskawiczną inteligencją, zawsze zaś unikają oklepanych banałów i „p jętych myśli" (w sensie „idées reçues"). Wychodzi to zresztą książce wszech miar na korzyść, gdyż autentyczność listów Szopena do Delfiny tockiej, na których opiera się głównie Holcman wydaje się dziś bardziej wątpliwa. Mogłoby to szkodzić źródłowemu opracowaniu, przestaje zaś znaczenie, gdy autor używa tych listów jedynie w celu potwierdzenia sw własnych zawsze ciekawych i często przekonywujących dociekań.

(j)

Przegląd miesięczników

W piśmie *Socjalisticzeskij Wiestnik* (marzec-kwiecień 1954) znajduj artykuł Borisa Nikołajewskiego „Restauracja stalinizmu". Autor, je z najwybitniejszych znawców dzisiejszej Rosji, śledzący od lat zygzaki tyki Kremla, wypowiada w nim tezę wręcz przeciwną do tej jakiej cł tają się liczne koła na Zachodzie, przerażone zarówno terrorem za Elbą nowym „państwem strachu", które przybiera całkiem realne kształty w A ryce. Teza Mikołajewskiego, całkowicie niezgodna z wywodami np. Iz Deutschera, brzmi: *po chwilowych wahaniach, grupa rządząca w Mosk zdecydowała się kontynuować stalinizm, przypieczętowując tę decyzję kr Berii.* Ów zwrot nie oznacza jednak bynajmniej że wszystko ma zostać jak było.

Stalin w ostatnich latach swego życia dał wskazówki co do następn etapu, zwłaszcza w swojej pracy pt. „Ekonomiczne problemy socjali w Z.S.S.R.". Jego następcy, przede wszystkim Chruszczow, idą jednak lej. Kluczowym dokumentem, który pozwala zrozumieć o co chodzi, treść apelu Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Związku Sow kiego do wyborców (przy wyborach do „Wierchownego Sowietu") w 1 roku. Apel ten stwierdza, „że w naszym kraju istnieją dostateczne i zbędne dane do zbudowania w pełni komunistycznego społeczeństwa". waga tego oświadczenia uwydatnia się kiedy sięgniemy do podobnych li z 1946 i 1950 roku. Jakkolwiek wspominało się dotychczas o dąż w kierunku komunizmu, nigdy nie podkreślono w tym stopniu, że na puje przełom, początek nowej fazy. Nikołajewski jest zdania że mamy do czynienia z granicą dwuch okresów, taką jaką był rok 1929 — kiedy poczęto kolektywizację.

Komunizm, jako etap który osiągnie się po „zbudowaniu socjalizm był dla Lenina problemem organizacji podziału dóbr: „każdemu według potrzeb". Chociaż wcześnie przestał się posługiwać tym hasłem, podch cili je zarówno zlikwidowani przez Stalina starzy bolszewicy, jak

ospodarz" pokrywając tym swoją politykę nierówności. Dopiero powoli, ,,pierworodnym grzechem" egalitaryzmu należało zerwać i uczyniła to pomniana praca Stalina.

Problem ,,budowy komunizmu" został w niej przeniesiony z płaszczyz- podziału dóbr na płaszczyznę produkcji, przy czym w sposób ostry po- wiono sprawę stosunku miasta do wsi, przemysłu do rolnictwa. Według alina największą przeszkodą w realizacji komunizmu jest istnienie w Związ- u Sowieckim dwuch form własności: państwowej i kołchoźniczej. Podczas gy pierwszą nazwał ,,ogólnoludową" (,,obszczenarodnoj"), o drugiej po- edział że ,,nie można jej nazwać ogólnoludową". Droga dla dalszych kro- w dyktatury została przez to wytyczona. Jeżeli kołchoźnicza forma włas- ści jest przeszkodą, należy stworzyć na wsi takie warunki, aby chłop racił możność rozporządzania swoim produktem i aby produkt ten, już całości przechodził w rozporządzenie państwa. W ten sposób byłby tylko len sektor produkcyjny w kraju, zamiast dwuch. Liczne frazesy o pomocy a chłopstwa i sojuszu robotników i chłopów nie zmieniają zasadniczego u: walki z wsią.

Śmierć Stalina wywołała podobne reakcje ulgi jak kiedyś śmierć Miko- a I. Jednakże niebezpieczeństwa ustępstw, wywołujących panikę wśród jbardziej ,,żelaznych" kadr biurokracji, wkrótce stały się widoczne i za- ast flirtu z masami, przede wszystkim wiejskimi, przyjęto zasadę że trze- wieś złamać. Tak więc próby rozgryzienia problemu kołchozów (np. two- enie ,,agromiast" Chruszczowa jeszcze za życia Stalina) będą robione odbywa się obecnie poszukiwanie sposobów. Dąży się przede wszystkim do widacji resztek samorządu w kołchozach. Nikołajewski nie uważa żeby utrzymana ciągłość polityki mogła służyć za dowód, iż grupa rządząca st jednolita i mocno siedzi w siodle. Stalin zaczął przelewać krew swoich ewnętrzno-partyjnych przeciwników dopiero w dziesięć lat po zdobyciu ładzy, w latach ,,jeżowszczyzny". Obecni władcy zamordowali jednego ze voich w niespełna dziesięć miesięcy po śmierci dyktatora. W chwili obec- j ta część aparatu partyjnego, na której czele stoi Chruszczow i która ode- ała rolę najbardziej aktywną w likwidacji Berii, pracuje usilnie nad zmocnieniem swojej pozycji, natomiast Malenkow zbiera swoich stronni- w w aparacie rządowym, szczególnie wśród specjalistów gospodarczych. ajprawdopodobniej rozgrywki na szczytach dyktatury będą się toczyły po- iędzy tymi dwiema grupami.

◆

W tym samym numerze S. Szwarc (artykuł ,,W rok po śmierci Sta- na") podaje drobiazgowej analizie wypowiedzi moskiewskiej prasy, świad- ące o tym że mit ,,ojca narodów" jest usuwany w cień, co nie znaczy, że ąży się do przekreślenia jego pamięci. Wręcz przeciwnie ,,elita" uważa e legenda Stalina jest cementem spajającym masy. Należy zauważyć e Instytut Marksa-Engelsa-Lenina zmienił ostatnio nazwę na Instytut larksa-Engelsa-Lenina-Stalina. Natomiast widać tendencję ze strony woj- ka do odjęcia mu tytułu ,,genialnego stratega" i do relegowania go pomię- zy cywilów, jako kierownika partii, a nie generalissimusa.

Szwarc cytuje również ,,Trud" z 5 marca 1954, gdzie mówi się o Sta- nie ale spośród osobistości, wydelegowanych przez C.K. Partii do kierowania prawami wojskowymi w czasie wojny, wymienia się Bułganina, Żdanowa, zczerbakowa i Chruszczewa, natomiast nie wspomina się nic o Państwo- ym Komitecie Obrony, który rozwijał w latach walki przeciwko Niemcom gromną działalność i gdzie główną osobistością był Malenkow. Ta ostroż- a próba wydźwignięcia Chruszczowa w okresie wojennym i przemilczenie lalenkowa, wskazuje, zdaniem Szwarca, na to że walka o władzę w Mos- wie wstępuje w jakąś nową fazę.

K.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

CAMUS (Albert). *L'Eté*. Pp. 192. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 370).

LERNET-HOLENIA (Alexandre). *Le régiment des deux Siciles*. Pp. 275. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).

MOURGUE (Gérard). *La naissance de Vénus*. Pp. 214. (Ed. Julliard, Paris, 1954).

BOISSAIS (Maurice). *Le goût de péché*. Pp. 228. (Ed. Julliard, Paris, 1954).

BELLOW (Saul). *L'homme de Buridan*. Traduit de l'américain par Michel Déon. Pp. 259. (Ed. Plon, Paris, 1954, frs 450).

NAGLEROWA (Herminia). *Loves and ambitions*. Pp. 264. (Wyd. William Heinemann, Ltd., Melbourne-London-Toronto, Londyn, 1954, cena 12 sh. 6 d.).

MAGDINIER (Marcelle). *La Kahéna. L'épopée d'une reine berbère*. Pp. 250. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs 540).

CLAUDIO (Jean). *La saison chaude*. Pp. 268. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs 540).

CHAAMBA (Abdallah). *Le vieillard et l'enfant*. Pp. 270. (Ed. de Minuit, Paris, 1954).

CLAUDEL (Paul). *Mémoires improvisés*, recueillis par Jean Amrouche, Pp. 349. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 750).

ROY (Jules). *Le navigateur*. Pp. 212. (Ed. Gallimard, Paris, 1954, frs 390).

DOKUMENTY CHWILI

MAURIAC (François). *Paroles catholiques*. Pp. 154. (Ed. Plon, Paris, 1954, frs 330).

SARTRE (Jean-Paul). *Réflexi[...] sur la question juive*. Pp. 189. (E[...] Gallimard, Paris, 1954, frs 39[...]

MENDE (Tibor). *Regards sur l'H[...]toire de demain*. Pp. 172. (Ed. [...] Seuil, Paris, 1954).

HISTORIA

JARAY (Gabriel Louis). *Tableau [...] la Russie jusqu'à la mort de S[...]line*. Pp. 450. (Ed. Plon, Pa[...] 1954, frs 1.500).

TROTSKY. *Ma vie*. Pp. 658. (E[...] Gallimard, Paris, 1953, frs 1.15[...]

MARX (Karl). *La Russie et l'E[...]rope*. Pp. 259. (Ed. Gallimard, [...]ris, 1954, frs. 480).

POEZJE

ŁAWRYNOWICZ (Zygmunt). *E[...]tafium jesieni*. Poezje Stron [...] (Wyd. Polskie Towarzystwo Li[...]rackie, Londyn, 1953). Okład[...] M. Paszkiewicza.

RÓŻNE

ROBIN (Armand). *La fausse [...]role*. Pp. 62. (Ed. de Minuit, [...]ris, 1953).

BORDEAUX (Henry). *Reconstr[...]tions et mainteneurs*. (Ed. Pl[...] Paris, 1954, frs 540).

KOSTKA (Jan Andrzej). *O przec[...]nikach zjednoczenia słów kilka* Str. 30. (Wyd. Londyn, 1954, ce[...] 1 sh.).

HAMELIN (Jacques). *Procès ima[...]naires*. Préface de Jacques Ch[...]pentier. Pp. 189. (Ed. de Minu[...] Paris, 1954).

ZANIEWSKI (Romuald ks. d[...] *Teorie o pochodzeniu i rozwoju [...]cia a naturalizm chrześcijańs[...]* Słowo wstępne dr J. Korab-Br[...]zowski. Str. 247. (Nakł. Kat. O[...] Wyd. „Veritas”, Londyn, 195[...]

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Pewnego razu jadąc tramwajem w Montrealu przysłuchiwałem się roz-
wie francuskich robotników, wracających z pracy i zapamiętałem jeden
kny aforyzm: *Le travail, cela me remplit de contradiction.*
Podobną reakcję odczuwam, czytając prace Witolda Gombrowicza —
atnio „Fragmenty z Dziennika".
W związku z lekturą książki Miłosza „Zniewolony Umysł" pisze Gom-
wicz: „...przeraża mnie, że facet, którego znałem jako Iksa, *nagle* staje
Ygrekiem, *zmienia sobie* osobowość, jak marynarkę"... etc. (podkr. wł.).
Mnie natomiast przeraża łatwość, z jaką Gombrowicz pomija rzeczy-
stość, i przeraża mnie lapidarna lekkość, z jaką traktuje tych ludzi, któ-
h umysły zostały zniewolone. Od września 1939 roku minęło kilkanaście
. Kilkanaście lat zniewalania. Kilkanaście lat różnego bicia, z przerwa-
i na wyrywki. Kilkanaście lat strachu. Wiele się może stać z człowie-
m przez taki czas, pod taką presją. Termin „nagle" wydaje mi się tu
nym *understatement* i nie całkiem *fair play*. Także nie *fair play* jest
ierdzić, że oni tam „zmieniają sobie osobowość" bo nie oni *sobie*, tylko
stem zmienia osobowość *im:* po to jest ten system i, jak wiadomo, spe-
lizuje się w zmianie osobowości. Z posiadanych informacji wiemy, że
ceder jest dość skomplikowany i raczej bolesny — nie wielu mogło od-
wić „zmiany marynarki".
Wydaje mi się, że Gombrowicz — jak wielu innych, co wyjechali z kra-
dość wcześnie, by uniknąć fizycznego lub psychicznego uszkodzenia, jest
petto zażenowany tym szczęściem, a, jak to zwykle bywa z podświado-
ścią, ujawnia się ten kompleks w nieoczekiwanej formie, to jest postawą
onno-zaczepną, pogardą dla ludzi w kraju za ich „śmieszny zgon", „gro-
kowy los"; to zwykła projekcja, przerzucone na innych potępienie samego
bie za wyimaginowaną winę, za nieobecność.
Tym samym mechanizmem należałoby tłumaczyć, przypuszczam, usta-
czne ataki Gombrowicza na kulturę Zachodu. Przebywa on, niestety, od
w pustelni argentyńskiej, gdzie „na miarę Fidjasza" właściwie nic się
dzieje, zaś echa z północnej półkuli dochodzą tylko słabym rekoszetem.
k więc będąc z daleka od wszystkich spraw ważnych stara się nas prze-
nać, że nie są ważne. Bo w głębi duszy jest przekonany, że nie ma racji,
les absents ont tort.
Miłoszowi i innym pisarzom Zachodu zarzuca Gombrowicz, że ulegają
ematom, że nie mają właściwej oceny komunizmu. (Czy łatwiej oceniać
munizm z argentyńskiego dystansu, czy z dystansu własnej skóry?). Za-
uca im, że dają się ponosić masowym sloganom, że „wyolbrzymiają komu-
zm", że „budują w wyobraźni zjawisko tak potężne i tak wyjątkowe"...
. Czy trzeba jeszcze dowodzić, że nie ma w XX wieku zjawiska bardziej
tężnego, niż komunizm? Że nazizm i maccarthyzm, że związki zawodowe
Plan Beveridge'a — to fakty, wynikające pośrednio, lub bezpośrednio z ko-
unizmu — a nie produkty masowej wyobraźni. I jeżeli ludzkość, względ-
e „nasza" cywilizacja zginie niezadługo atomowym sposobem, to też bę-
ie skutek komunizmu. Tego zjawiska nie podobna „wyolbrzymić".

Wszyscy się chyba zgadzamy, że wolność jest zasadniczą potrzebą cz wieka. Ale wolność wymaga odpowiedzialności. Odpowiedzialny pisarz, kt zestawia siebie z Kościołem; który poucza i potępia, musi zdobyć się głębszy wysiłek, niż szereg wykrzykników, negacji i ataków. A prz wszystkim musi zrewidować swoją mglistą ideologię, która w tej chwili gląda na humanitarną megalomanię z egocentryczno-mesjanicznym zabarw niem. Mimo wszystkich ataków bowiem na Mickiewicza, Sienkiewicza et Gombrowicz ma silną tendencję do narzucania nam nowej misji dziejo — tylko dla odmiany już nie mamy być przedmurzem, ani arką przymier ale „my, synowie wschodu" (?) mamy stworzyć nowy „obraz świata, cz wieka, kultury" — tylko tyle! Mamy potraktować europejską, zachod sztukę *po polsku, z góry* (podk. wł.) i w ogóle chyba jak zeusowy byk cwałować z Europą na wschodnie wertepy.

Gombrowicz jest zjawiskiem rzadkim i cennym w naszej literatu jest pełen pasji, gwałtownych przekonań, jest odważny, szczery, ucz Gdyby ten pisarz — czy przez łaskę Boską, czy psychoanalizę, zdołał s rzeć na siebie i świat z większym zrozumieniem, a także gdyby prze obalać *en passant* Gide'a, Eliot'a (i mniej więcej wszystkich z wyjąt Montaigne'a i Rabelais) to może by wówczas zdobył zintegrowany św pogląd i odkrył, co tak gwałtownie wzywa: prawdziwe „widzenie czło ka". Człowieka, który czuje swoją nieskończoność, ale widzi mur, któr otacza. Człowieka, który zna swoją odrębność, ale wie, że nic nie zn bez zbiorowości. I że od tego podwójnie sprzecznego losu nie ma apel Bo to jest *la condition humaine.*

Ludmiła ZIELIŃSKA

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Do francuskiego streszczenia artykułu o recesji amerykańskiej („ tura Nr 78) wkradła się omyłka. Artykuł *nie* zawierał tezy, że Stany Z noczone mogłyby uniknąć kryzysu, gdyby finansowano inwestycje w jach *gospodarczo zacofanych*, również nie mówił o potrzebie stworzenia tralnego Banku *Świata* (który to Bank już istnieje). W szerszym miast niż recesja amerykańska kontekście, autor artykułu poruszył koni ność zliberalizowania handlu międzynarodowego między krajami woln świata i potrzebę stworzenia Centralnego Banku *Anglo-Amerykański* przy czym autor miał na myśli finansowanie przez ten Bank anty-rece nych poczynań polityczno-gospodarczych w przyszłości w *czołowych* kra wolnego świata. Oczywiście nie ma to żadnego praktycznego związku z cesją amerykańską, która już jest w toku i która musi być „bronio środkami już dziś będącymi w dyspozycji rządu U.S.A.

Na stronie 111 w tymże numerze „Kultury" sens kilku zdań z zniekształcony przez pokręcenie wierszy .W 12-tym wierszu od dołu winno być: „Siła nabywcza społeczeństwa jako całości decyduje o rozmi krajowego aparatu wytwórczego, który ze swej strony decyduje o możn zaspakajania potrzeb w ramach tej siły nabywczej".

Stanisław ZARZEWSKI

◆

Fragment G. Bernanosa pt. „Brat Marcin" drukowany w poprzed numerze „Kultury" w moim tłumaczeniu został poprzedzony bez mojej dzy i w obcym tłumaczeniu epigrafem wyjętym z przedmowy Alberta

ri do pierwodruku ogłoszonym w miesięczniku „Esprit". Epigraf ten inien brzmieć jak następuje :
„Któż ośmieli się twierdzić, że owa tragiczna przygoda nikomu dzisiaj zagraża i że nie mogłoby się powtórzyć podobne zerwanie do którego otkane niezrozumienie lub wrażenie samotności skłania nieodmiennie ze żarliwe. Wszelako Bernanos, zdobywszy, dzięki swej bolesnej świadoci niezwykłą przenikliwość, może nam dopomóc w zrozumieniu tego co dzieje, kiedy rozpacz urzeka najodporniejsze serca i wtrąca je w bunt. Wtedy, kiedy sądząc z pozorów, zdawałoby się, że Kościół nie jest po nie tych, którzy cierpią, trzeba czegoś więcej niż odwagi optymistów cierpieć *przez* Kościół.

Maria CZAPSKA



Do numeru 4/78 „Kultury" zakradła się pomyłka w tytułi poszczególnych pieśni „Odyssei", przełożonych z greckiego ez Józefa Wittlina. Mianowicie tytuły winny brzmieć: „Odyspieśń pierwsza" i „Odyssei pieśń piąta". Za nieuwagę przeszamy autora i czytelników. (Redakcja).

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

« *Rubis d'Orient* » : c'est sous ce titre français que Pawel HOSTOEC évoque ces bijoux couleur de sang coagulé, qui nous venaient sie et qui dans ces pays d'Europe Orientale, exposés aux invasions, joué si longtemps le rôle de lettres de change, d'un capital portatif... ces bijoux ciselés, l'auteur passe à la joalerie des mots, à ces phrases idaires qui, seules présentes dans la mémoire, sont devenues le trésor tatif de tant d'émigrés. Cet essai qui évoque toute une culture de ıtière se termine par une analyse de l'œuvre du Roumain — Cioran du Polonais — Parnicki.

François FEJTO, l'écrivain hongrois, a tâché de tracer pour « KULRA » des « Prespectives de l'Est Européen en 1954 ». Il analyse les ditions de la prise du pouvoir communiste dans les « démocracies ɔulaires », l'efficacité économique de communisme stalinien, les trois pes de l'évolution politique des « démocracies populaires », la crise nomique de 1952-1953, la « nouvelle ligne » politique et économique ès la mort de Staline, les erreurs de planification, le rôle des « classes endantes » et le rapport entre la situation internationale et l'avenir de st Européen. Il entrevoit l'avenir de ces pays plutôt sous la forme n *status quo* libéralisé que d'un renouveau général...

Le poète polonais Joseph LOBODOWSKI étudie l'évolution d
poésie ukrainienne du XXe siècle.

La critique littéraire est cette fois la « bête noire » de Witold G
BROWICZ, dans un nouveau « Fragment de Journal ».

Tymon TERLECKI nous donne, à l'occasion de la publication réc
à Londres d'« Œuvres Choisies » de Cyprian Norwid, une nouvelle
luation de l'œuvre de ce grand poète au XIXe siècle.

Stanislaw WESTFAL remonte dans une étude sur le Moyen-Age,
plus anciennes sources de la langue polonaise.

« KULTURA » présente une nouvelle analyse de la lettre des évê
polonais adressée à Bierut le 8 mai 1953. A la lumière des faits ultéri
cette lettre paraît constituer le document catholique le plus impo
de l'après-guerre : nous y voyons le récit d'une expérience unique —
de la coexistance de l'Eglise avec un régime communiste — et de l'é
de cette expérience.

La « Chronique anglaise » de « KULTURA » est consacrée à
passe dans laquelle se trouvent les travaux des leaders émigrés polo
consacrés à l'Union Nationale en exil.

Stanislas ZARZEWSKI consacre sa revue économique au probl
du commerce Est-Ouest. Il pense que la reprise de ce commerce
apporter certains avantages économiques aux pays occidentaux, ma
se montre très sceptique quant aux espoirs de ceux qui voient en ce
merce un panacée économique et un moyen de raffermir la paix m
diale. Et il ne croit guère qu'une reprise de relations commerc
puisse contribuer à une libéralisation politique dans les pays de
Européen.

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA",
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris-(IVe).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 2e trimestre 1954

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

◆

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 5 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
RGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica żki Polskiej», Serrano 2076, Buenos Aires.....	10 peso	60 peso	120 peso
USTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
ELGIA i KONGO BELG.: Janina Korab Brzo-ska-Csaky, 62, Vandrekindere, Bruxelles-e, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
RAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Barcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio aneiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, tiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiará 139, Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
YT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Ugan- Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
RANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Ile, s-IVe	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
ANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar-N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winni-/Man.; **H. R. Radomski,** 107 Rose Park Drive, nto/Ont., Tel.: HY-0829; **Stanisław Zybała,** 9 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związko-:" (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
IEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal , Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
IEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann-n-Schoenau, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone **Mikiciuk,** Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, ichen 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
ZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, ève, Tél. 2-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
ZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan /, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
RUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, tevideo-Malvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee ., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** «Gryf I.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; **L. Dudarew-tyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali-ia; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los eles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 27 rdeen Ave., Cambridge, Mass.; **Christian M. towicz,** 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; **rzej Pleszczyński,** P.O. Box 750, Santa Bar-, California; **M. Szyprowski,** 11 Cooper Street, York 34, N.Y.; **Kazimierz Trojanowski,** 8805 I St., Detroit 14, Michigan; **S. Sokołowski,** E. Indiana St., Philadelphia 34, Pa.; **Polish Ame-n Book Center,** 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
V. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169 , Battersea Church Road, London, S.W.11 ..	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
VŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trie- 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

◆

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru : 30 frs.

◆

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: **Jerzy GIEDROYC,** 1, Av. Corneille, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 12.000 fr.; 1/2 str. 7.000 fr. fr. (okładka +50%)

Cena 180 frs.

Imprimerie RICHARD, Paris-18e